

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 12/543**

**1992**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

V. HAVEL: **GODOT NIE PRZYJDZIE...**

I. SEVCENKO: **UKRAINA MIĘDZY  
WSCHODEM A ZACHODEM**

D. MORAWSKI: **POMIĘDZY SACRUM  
I PROFANUM**

**INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW  
ROCZNIKA „KULTURY” ZA ROK 1992**

## SPIS RZECZY

Vaclav Havel:	<i>Godot nie przyjdzie, bo go nie ma ...</i>	3
Ihor Sevcenko:	<i>Ukraina między Wschodem a Zachodem</i>	8
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	19
Lidia Ciołkoszowa:	<i>100-lecie PPS</i> .....	34
Robert Kaczmarek:	<i>Mała Youko i groźny celnik</i> .....	43
<b>WIERSZE</b>		
Adam T. Bąkowski:	<i>Uczeń; - My</i> .....	53
Zbigniew Machej:	<i>Droga na północ</i> .....	54
Jerzy Pietrkiewicz:	<i>Dwa przekłady z hiszpańskiego</i> .....	55
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (26)</i> .....	57
Jan Winczakiewicz:	<i>Nie igrać z referendum</i> .....	63
<b>KRAJ</b>		
Krzysztof Wolicki:	<i>Przesuwanie rządu</i> .....	67
Stanisław Polaczek:	<i>Znaczenie Maastricht dla polskiej gospodarki</i> .....	73
Smecz:	<i>Z ukosa</i> .....	81
—	<i>Koalicje rządowe</i> .....	92
<b>SĄSIEDZI</b>		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i> .....	93
Alina Grabowska:	<i>Polacy w Niemczech</i> .....	98
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Marek Adamiec:	<i>Pin jaki był, jest i będzie</i> .....	101
—	<i>List otwarty</i> .....	107
—	<i>Nagrody</i> .....	109
—	<i>Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim</i>	111
<b>WOLNA TRYBUNA</b>		
Dominik Morawski	<i>Pomiędzy sacrum i profanum</i> .....	112
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Józef Dużyk	<i>Polski Rzym dzisiaj</i> .....	121
<b>KSIĄŻKI</b>		
Leon J. Grabowski	<i>Historia pod prąd</i> .....	124
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca i Kronika australijska i nowozelandzka</i> .....	130
•		
T.J. Błachut, A. Czerniawski, J. Katz-Hewetson, A. Podgórecki, J. Venulet, K. Wolicki, T. Wyrwa:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	137
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	145
—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1992</i> .....	146

Varsovie W006

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień-Décembre 1992

**INSTYTUT**  **LITERACKI**

REDAKCJA «KULTURY» SKŁADA SWOIM  
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM  
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Halina Grodzicka, Buenos Aires, po raz 14-ty .....	F. 480,00
François Prause, Changmai (Tajlandia), po raz 36-ty .....	F. 300,00
Teresa Romer, Saint-Eustache, PQ (Kanada), po raz 18-ty — Dol. c. 60,00 .....	F. 251,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (U.S.A.), po raz 28-y — Dol. US 20,00 .....	F. 108,00
Lila Semkow, Niemcy — dla uczczenia pamięci drogiego przy- jaciela Fryderyka Topolskiego .....	F. 320,00
Tadeusz Żaba, Ennetbaden (Szwajcaria) .....	F. 369,00
Bezimiennie z Paryża — zamiast kwiatów na grób Juliusza Majskiego, zmarłego w Genewie 7 listopada 1992 r. ....	F. 200,00

Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc dla Polaków  
w Rosji — £10,00 .....

F. 81,00

DZIĘKUJEMY!

---

---

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.  
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □  
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.  
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.  
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.  
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ  
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili  
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej  
Wyspie Świętego Ludwika.

---

---

## Godot nie przyjdzie, bo go nie ma

(MOWA VACLAVA HAVLA Z OKAZJI PRZYJĘCIA  
GO DO FRANCUSKIEJ AKADEMII NAUK  
MORALNYCH I POLITYCZNYCH 27.10.1992)

Panie i Panowie,

Przybywam do Was z kraju, który długie lata czekał na wolność. Niechaj mi wolno będzie skorzystać z tej okoliczności, by zastanowić się chwilę nad zjawiskiem czekania.

Czekać można rozmaicie.

Na jednym krańcu szerokiej palety rozmaitych form czekania mieści się „czekanie na Godota” — ucieleśnienie wyzwolenia czy też uniwersalnego zbawienia. Czekanie wielu z nas, ludzi ze sfery komunizmu, często, a może wręcz stale, było bliskie tej skrajnej pozycji. Okrążeni, ujęci w dyby, skolonizowani od wewnątrz przez totalitaryzm, ludzie porzucili wszelką nadzieję i wolę działania, stracili nawet poczucie, że mogą działać. Krótko mówiąc, stracili nadzieję.

Ale nie stracili potrzeby nadziei; nie mogli jej pogrzebać, bo życie bez nadziei traci sens. Dlatego czekali na Godota. Nie mogąc wykrzesać nadziei z siebie samych, ulokowali ją w niesprecyzowanym zbawieniu, które miało spłynąć z zewnątrz. Jednak oczekiwany Godot nie nadchodzi nigdy, po prostu dlatego, że nie istnieje, jest tylko zastępczą postacią nadziei. Ten twór naszej niemocy nie jest nadzieją, lecz złudą, która ma załatać poszarpaną duszę, ale i ta szmatka jest podarta. Nadzieja osobników wyzutych z nadziei.

Na przeciwnym krańcu palety widnieje inny rodzaj czekania: cierpliwość. Temu czekaniu przyświeca wiara, że opór po-

przez mówienie prawdy jest kwestią zasad, że po prostu należy to robić bez obliczania, czy zaangażowanie wyda owoce, czy też pozostanie na zawsze daremne. To czekanie czerpie siły z przekonania, że powtarzanie prawdy ma sens samo w sobie, chociażby ten, że stanowi wyłom w powszechnym kłamstwie, niezależnie od tego, czy buntownicza prawda zostanie kiedyś doceniona, czy zwycięży, czy też, przeciwnie, zostanie — jak już tyle razy — zduszona.

Takiemu czekaniu przyświeca też — choć dopiero w drugim rzędzie — wiara, że posiane ziarno zapaści korzenie i któregoś dnia wszędzie. Kiedy, nikt nie wie. Kiedyś. Być może dla następnych pokoleń. Taka postawa, którą dla uproszczenia nazwiemy dysydencką, zakładała i kultywowała cierpliwość. Nauczyliśmy się być cierpliwi. Nauczyliśmy się czekać: czekanie było cierpliwością. Było wyrazem nadziei, a nie jej braku. Można powiedzieć, że czekanie na Godota nie ma sensu, że w ten sposób okłamujemy samych siebie i marnujemy czas, natomiast ten inny rodzaj czekania ma sens. Nie jest usypiającym kłamstwem, lecz gorzkim życiem w prawdzie; w ten sposób nie traci się czasu, lecz go się wypełnia.

Czekanie, aż wszędzie zdrowe nasienie jest czym innym niż czekanie, aż zakwitnie lilia, której nigdy nie zasadziliśmy.

Strzeżmy się nieporozumień: żyjący w strefie komunistycznej obywatele nie dzielili się na czekających na Godota i dysydentów. Wszyscy w jakimś stopniu raz czekaliśmy na Godota, a raz byliśmy dysydentami; jedni silniej i częściej optowali za pierwszą postawą, a drudzy — za drugą. Mimo to można z tego doświadczenia wyciągnąć wniosek, że jedno czekanie nie jest równe drugiemu.

Moje rozmyślenia nie wynikają rzecz jasna z nagłej potrzeby nostalgicznego wspomnienia przeszłości. Pragnę dzięki nim odkryć, co z tego doświadczenia wynika dla terażniejszości i przyszłości.

Pozwólcie Państwo, że przez chwilę będę mówił w pierwszej osobie: mimo, że byłem zaprawiony do właściwego dysydenckim cierpliwego czekania i przekonany o jego głębokim sensie, w ostatnich trzech latach, to znaczy od chwili pokojowej rewolucji antytotitarnej, wpadłem jak żółtodziób w niecierpliwość graniczącą z rozpaczą. Zamartwiałem się, że zmiany nie zachodzą dość szybko, że mój kraj wciąż nie ma nowej, demokratycznej konstytucji, że Czesi i Słowacy wciąż nie potrafią ułożyć wspólnego pożycia w jednym państwie, że nie dość szybko zbliżamy się do demokratycznego świata Zachodu i jego instytucji, że nie umiemy mądrze stawić czoła przeszłości, że za wolno usuwamy resztki dawnego reżymu i jego nędzy moralnej.

Rozpaczliwie pragnąłem zrealizować choć jeden z tych

celów i wykreślić go z kalendarza jako problem rozwiązany, czyli zlikwidowany. Niechby praca, którą wykonywałem na czele państwa, wydała wreszcie widoczny, niepodważalny, namacalny, niezaprzeczalny owoc, coś skończonego. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że polityka nie ma końca, podobnie jak historia, że jest procesem, który nigdy nie pozwala powiedzieć, iż coś zostało skończone, dokonane, zamknięte.

Tak jakbym najzwyczajniej zapomniał, że należy czekać, czekać w tym jedynym dorzecznym sensie słowa.

Dziś, z oddalenia, mogę spokojnie o tym pomyśleć. I zaczynam rozumieć, że przez niecierpliwość wpadłem w tę właściwą pułapkę, którą zawsze poddawałem krytycznej analizie. Padłem ofiarą destrukcyjnej niecierpliwości, właściwej współczesnej cywilizacji technokratycznej, zadufanej w swój racjonalizm, mylnie przekonanej, że świat jest wielką krzyżówką, w której dla każdego problemu istnieje tylko jedno właściwe rozwiązanie — jakoby obiektywne — o którym terminie sam decyduję.

Nie byłem tego świadom, ale faktycznie dałem się uwieść perwersyjnej pewności, że jestem absolutnym władcą rzeczywistości, którego jedyną misją jest udoskonalenie tej rzeczywistości według ustalonej formuły. A ponieważ ja jeden miałem decydować, kiedy się to stanie, nie widziałem powodu, by nie stało się zaraz.

Słowem, uznałem, że jestem panem czasu.

Był to wielki błąd.

Światem, istnieniem i historią rządzi ich własny czas; możemy, to prawda, twórczo interweniować, nikt nim jednak nie włada całkowicie. Świat i istnienie nie są ślepo posłuszne nakazom technokratów i techników od polityki; nie po to istnieją, aby czynić zadość ich zamiarom. Świat, człowiek i historia mają swoje niespodzianki i sekrety, którymi zaskakują nowoczesny, w gruncie rzeczy racjonalistyczny rozum, i toczą się własnym pełnym zakrętów podziemnym nurtem. Kto chce zlikwidować tę niepojętą zawilść, stawiając przed nią diabelskie tamy, podejmuje ogromne ryzyko, od wyschnięcia wód podziemnych po tragiczne zmiany w biosferze.

Wspominając z namysłem moją niecierpliwość polityczną, muszę stwierdzić, że dzisiejszy i jutrzejszy polityk — niech mi będzie wolno nazwać go politykiem post-nowoczesnym — musi nauczyć się czekać, czekać w najszlachetniejszym i najgłębszym sensie tego słowa. Nie chodzi o czekanie na Godota. Czekanie, o którym mówię, musi wyrażać szacunek dla immanentnego ruchu i ładu przyrody, dla natury rzeczy, dla ich istnienia i ich autonomicznej dynamiki, która opiera się wszelkim gwałtownym manipulacjom. Tak czekać, to znaczy pozwolić każdemu zjawisku, aby swobodnie rozwinęło swą naturę, swą prawdziwą substancję.

Postępowanie post-nowoczesnego polityka powinno opierać się nie na bezosobowej analizie, lecz na wizji osobistej. Zamiast opierać się na pysze, winno żywić się pokorą.

Świat nie jest maszyną, opiera się więc absolutnej kontroli. Podobnie nie można go przebudować od fundamentów aż po dach w imię jakiegoś technicznego konceptu. Utopiści, którzy tak myślą, powodują w końcu niewymowne cierpienia. Gdy rozum oddzieli się od duszy człowieka — która z natury jest jedyna i niepowtarzalna — i mianuje się głównym motorem działania politycznego, może sprowadzić wyłącznie nieszczęścia.

Świat buntuje się przeciw ładowi narzuconemu przez rozum, który najwidoczniej zapomniał, że jest tylko skromnym trybikiem w przebogatej konstrukcji architektonicznej, jaką jest świat. Im bardziej świat musi się — ściśle i niecierpliwie — naginać do kategorii rozumu, tym silniejsze są irracjonalne wybuchy, którymi nas zaskakuje.

Ja, sarkastyczny krytyk pyszałkowatych egzegetów naszego padołu, musiałem sobie przypomnieć, że świat należy nie tylko tłumaczyć, trzeba go również rozumieć. Nie wystarczy narzucić mu swoich własnych słów, trzeba też nadstawić ucha, by usłyszeć jego często sprzeczne, polifoniczne komunikaty. Nie wystarczy naukowo opisać mechanizmy rzeczy i zjawisk, trzeba je czuć i wypróbować.

Nie należy liczyć wyłącznie na kalendarz, który sobie wyznaczaliśmy dla wpływania na świat, trzeba uszanować kalendarz znacznie bardziej zawyły, kalendarz, który ustala świat i który jest jednym z tysięcy samodzielnych kalendarzy, które rządzą nieskończoną mnogością zjawisk naturalnych, historycznych i ludzkich.

Nie należy czekać na Godota.

Godot nie przyjdzie, bo go nie ma.

Nie sposób go też wymyślić. Typowym przykładem Godota z urojenia, Godota, który przyszedł, a więc był fałszywy, Godota, który obiecywał zbawienie, a tylko niszczył i dziesiątkował, był komunizm.

Stwierdziłem więc z przerażeniem, że moja niecierpliwość, aby jak najszybciej odbudować demokrację, miała w sobie coś komunistycznego, lub, szerzej mówiąc, coś racjonalistycznego, coś oświeceniowego. Chciałem przyspieszyć bieg historii, jak dziecko, które ciągnie roślinę, aby szybciej rośla.

Myślę, że trzeba się uczyć czekania, tak jak uczymy się tworzenia. Trzeba cierpliwie siać, systematycznie nawilżać ziemię i dać roślinom czas, bo taka jest ich natura.

Rośliny nie można oszukać, historii też nie. Można ją jednak podlewać. Cierpliwie, dzień po dniu. Ze zrozumieniem,

pokorą, ale też z miłością.

Jeśli politycy i obywatele nauczą się czekać — w najsłabszym sensie tego słowa — okazując w ten sposób szacunek dla immanentnego ładu świata i jego niezgłębionych tajemnic, jeśli zrozumieją, że każda rzecz na tym świecie wymaga czasu i ważne jest nie tylko to, czego oni oczekują od świata, ale także wiedza o tym, czego świat i historia oczekują od nich, wtedy ludzkość nie skończy tak źle, jak sobie niekiedy wyobrażamy.

Panie i Panowie,

przybywam z kraju pełnego ludzi niecierpliwych. Być może niecierpliwia się dlatego, że tak długo czekali na Godota i mają wrażenie, że nareszcie przyszedł. Jest to błąd równie wielki jak ich poprzednie czekanie. Godot nie przyszedł. I chwała Bogu, bo gdyby przyszedł, byłby tylko Godotem z urojenia, Godotem komunistycznym. Natomiast to, co miało dojrzeć, dojrzało. Być może owoc dojrzałby wcześniej, gdybyśmy go starannie podlewali. Przed nami stoi teraz tylko jedno zadanie: przekształcić owoce z tego zbioru w nowe nasiona i cierpliwie je podlewać.

Jeśli umiejętnie posiejemy i starannie będziemy podlewać, nie ma powodów do niecierpliwości. Wystarczy zrozumieć, że nasze czekanie nie jest pozbawione sensu.

Ma on sens, gdyż wyrasta z nadziei a nie z rozpacz, z wiary a nie z desperacji, z pokory wobec czasu jaki obowiązuje na tym świecie, a nie ze strachu — jego spokojowi towarzyszy nie nuda, lecz napięcie. Takie czekanie jest czymś więcej niż zwykłym czekaniem.

Jest życiem, życiem rozumianym jako radosny udział w cudzie istnienia.

Dziękuję Państwu za uwagę.

Vaclav HAVEL

## Ukraina między Wschodem a Zachodem

*I zrozumij, jakij ty Azijat mizernyj*

Pantelejmon Kulisz (1882)

*Da, Skify-my! Da, azjaty — my,  
S raskosymi i żadnymi oczami!*

Aleksander Błok (1918)

W Kijowie nietrudno o ilustrację do tytułu mego eseju<sup>1</sup>. Na przykład ci z nas, którzy znaleźli czas na zwiedzenie katedry św. Sofii, zdali sobie sprawę, że ta jedenastowieczna świątynia, ze swymi bizantyjskimi mozaikami i greckimi napisami wewnątrz, na zewnątrz jest niemal całkowicie pokryta architektonicznymi dodatkami w stylu zachodniego baroku. Inny przykład: gdy otworzymy ostatnią książkę H. N. Lohvyna o sztychach w ukraińskich drukach XVI-XVIII w., to znajdziemy tam sztychy z Poczaiewa, datowany 1768, przedstawiający św. Łukasza Ewangelistę w trakcie malowania obrazu Najświętszej Marii Panny<sup>2</sup>. Jest Ona przedstawiona jako czysto bizantyjska ikona, natomiast Ewangelista siedzi w pozie zachodniej, barokowej i dramatycznej. Te dwa przykłady powinny wystarczyć, by pokazać, że w kulturze ukraińskiej, przynajmniej artystycznej —

1. Esej ten jest nieco rozszerzonym tekstem wykładu odczytanego na pierwszym kongresie Międzynarodowej Asocjacji Ukrainistów w Kijowie w sierpniu r. 1990. Oprócz postscriptum oraz okolicznościowych aluzji w tekście wersja obecna nie zamierza uwzględniać wszystkich gwałtownych zmian, które zaszły w Europie Wschodniej i na Bałkanach od końca roku 1990.

2. Z *hlybyn. Hravjuri ukrajins'kich starodrukiv XVI-XVIII stolit'* (Kijów 1990).

wpływy przychodzące ze wschodu i z zachodu następowały po sobie i współistniały między wiekiem jedenastym a osiemnastym.

Tutaj jednak powstaje pewna trudność: Bizancjum — czy też jeśli kto woli, Konstantynopol — leży nie na wschód, lecz na południe, a nawet na południowy zachód od Kijowa. Wynika z tego, że w przypadku Bizancjum powinniśmy mówić o wpływie wywieranym na Ukrainę nie przez Wschód, lecz przez część cywilizacji śródziemnomorskiej. Mimo to czujemy instynktownie, że Wschód oznacza Bizancjum, a Zachód oznacza „Europę”. Skąd to przekonanie?

Przeciwstawne pojęcia „Wschód” i „Zachód” powstały dobre kilka stuleci zanim Ukraina znalazła się w zasięgu cywilizacji. Jeśli mowa o literaturze, to — pozostawiając na boku Homera — spotykamy to pojęcie u Herodota, którego zadaniem było opisanie konfliktu między Grekami (to jest Zachodem) a Persami (czyli Wschodem). Jeśli chodzi o terminologię administracyjną, to pojęcia te pojawiły się w świadomości historycznej późnej starożytności na skutek podziału administracyjnego późnego Cesarstwa Rzymskiego na część wschodnią i zachodnią. Granica między nimi przebiegała na wschód od dzisiejszej — lub raczej wczorajszej — Jugosławii. Wynika z tego, że niemal cała była Jugosławia należała niegdyś do Zachodu. Klin wbity w półwysep bałkański przez słowiańskich najeźdźców w szóstym wieku przyczynił się do poczucia, że Wschód i Zachód są oddzielone od siebie. Administracja kościelna, zorganizowana na tych samych zasadach co państwowa, rozróżniała jednostki terytorialne Kościoła zachodniego od wschodnich, które nazywano *ecclesiae orientales*. To rozróżnienie nie oznaczało bynajmniej uprzedzenia antywschodniego. Wręcz przeciwnie, wśród wczesnych chrześcijan śródziemnomorskich Wschód cieszył się specjalnym szacunkiem jako miejsce narodzin Zbawiciela. Wszystko to było zrozumiałe z geograficznego punktu widzenia w ówczesnych ośrodkach władzy: Konstantynopol (to jest miasto Bizancjum) znajdował się w rzeczy samej na wschód od Rawenny, która była jedną ze stolic Cesarstwa Zachodniego oraz od Rzymu, siedziby głównego patriarchatu zachodniego. Podział Kościołów, który nastąpił w wieku jedenastym, a jeszcze bardziej napaść zachodnich krzyżowców na Bizancjum w roku 1204, przyczyniły się do pogorszenia sytuacji, gdyż od tego czasu „Wschód” wyposażony jest w oczach Kościoła zachodniego w skojarzenia negatywne, a Bizantyńczycy z kolei zaczynają nienawidzić łacińskiego Zachodu.

Rebelia — niektórzy historycy mówią uzurpacja — Karola Wielkiego i jego koronacja w roku 800 jako osoby, która „rządziła Cesarstwem Rzymskim” — nawiasem mówiąc, w tym roku jeszcze nie użył tytułu „cesarza rzymskiego”! — były działa-

niami antybizantyjskimi, które stworzyły podwaliny pod powstanie nowoczesnej Europy. Może z tego powodu poczynając od dziesiątego wieku a kończąc na piętnastym, można znaleźć teksty, z których wynika, że Bizantyjczycy nie uważali swej stolicy za część Europy, mimo że wiedzieli doskonale — jako że czytali a nawet wydawali geografów starożytnych — iż granica między Azją a Europą przechodzi przez Bosfor i rzekę Don. Tak więc, gdy Kijów Włodzimierza przyjął chrześcijaństwo, znalazł się w sferze kulturowej, która w oczach Zachodu uchodziła za Wschód, a sama nie zawsze uważała się za część Europy. Ten punkt widzenia przetrwał do naszych czasów. Nawet dzisiaj nie tylko ludzie mieszkający w Sofii, Belgradzie, Bukareszcie czy Stambule, ale również ludzie mieszkający w Moskwie lub Kijowie podróżują „do Europy”, mimo że wiedzą jeszcze ze szkoły, iż Europa kończy się na Uralu i że wobec tego są Europejczykami w sensie geograficznym tego terminu. Nowoczesne ukraińskie dążenie „ku Europie”, którego przedstawicielami byli pisarze Chwyłowij i Zerow, uważać można za reakcję przeciwko stanowisku, które ma długą tradycję. To samo można powiedzieć o oświadczeniu, które przeczytałem będąc w Kijowie w roku 1990, że centrum geograficzne Europy znajduje się w Ukrainie podkarpackiej. Oczywiście to odrzucenie „Wschodu” jest wyrazem postawy współczesnych wschodnioeuropejskich warstw wykształconych, choć nie wszystkich, jak pokazują dwie linijki Aleksandra Błoka, zacytowane na początku mego artykułu. Na poziomie folkloru wschodnioeuropejskiego jednakże pojęcie „Wschodu” zachowało swe asocjacje pozytywne, odziedziczone z późnego pogaństwa i przejęte przez wczesne chrześcijaństwo: należy się modlić z twarzą zwróconą ku wschodowi, siedzibie bogów, później Boga, podczas gdy Zachód jest miejscem pobytu demonów, później Diabła.

Jeśli pojęcia „Wschód” i „Europa” wymagają wyjaśnienia w ramach naszego tematu, to pojęcie Zachodu wyjaśnienia takiego nie potrzebuje, gdyż jego kontekst geograficzny i kulturalny jest ten sam. Proszę o wybaczenie, jeśli w tym krótkim przeglądzie roli jaką odegrał Zachód w kulturze ukraińskiej, nie będę dyskuutował poszczególnych wczesnych wydarzeń, takich jak stosunki między księżną Olgą a cesarzem Ottonem I w dziesiątym wieku lub podróże książąt Iziaslawa i Jaropołka do Rzymu w wieku jedenastym, jeśli nie wskażę na wielką przewagę liczebną jedenasto- i dwunastowiecznych małżeństw członków dynastii kijowskiej z partnerami z Polski, Skandynawii, Węgier, Niemiec i Francji nad małżeństwami z partnerami pochodzącymi z Bizancjum i jeśli pominię takie fakty, jak kampanie wojskowe na zachodzie i koronację (r.1253) przez papieża księcia Daniela Halickiego, który — warto podkreślić — był jednocześnie wasa-

lem Złotej Ordy. Opuszczam je, gdyż zamierzam zwrócić Państwa uwagę na zjawiska długotrwałe, szczególnie w dziedzinie historii kultury.

Z perspektywy historyka kultury wpływ zachodni na niektóre części obszaru Ukrainy rozpoczął się przed rokiem 1340, nasilił się po roku 1569 i trwał na szerokim obszarze ziem ukraińskich do roku 1793. Jeśli weźmiemy pod uwagę wpływ polskich elit na ziemie zachodnioukraińskie i na prawobrzeżną Ukrainę, to wpływ ten trwał do roku 1918, a nawet do roku 1939. Zachód ten był przeważnie ubrany w polski kontusz — późniejszy wpływ habsburski był ograniczony w czasie i przestrzeni — a jego główne posłanie kulturalne w decydującym punkcie zwrotnym w okresie przełomu z szesnastego na siedemnasty wiek zawarte było w polskim wariacie kontrreformacji. Jezuici wprowadzali łacinę i nowe metody pedagogiczne, a prawosławni je przejmowali. Nawet nowopowstałe zainteresowanie greką było jedynie reakcją na inkursje dokonane na Ukrainie przez łacinę i łaciński sposób bycia. Jedną z konsekwencji było, że w pierwszej połowie XVII wieku po raz pierwszy w historii elit ukraińskich powstała możliwość bezpośredniego kontaktu ze źródłami kultury starożytnej. Było tak dlatego, że Ruś kijowska niemal nie znała greki. Jednakże, z praktycznego punktu widzenia, kultura wyższa docierała do Ukraińców nie za pośrednictwem łaciny i greki, ale poprzez polski. Wynikiem zwycięskiej kampanii tego ostatniego było powstanie czegoś w rodzaju żargonu polsko-ukraińskiego, używanego w piśmie, a może i w mowie, przez lokalne elity prawosławne i greckokatolickie w wieku szesnastym i siedemnastym.

Ta ofensywa z Zachodu wywołała częściowo adaptację, a częściowo wrogą reakcję zagrożonych elit ukraińskich. Ruch ten nazywamy odrodzeniem się wiary „ruskiej”. Odrodzenie to znalazło wyraz w literaturze polemicznej i w powstaniu kolegium ostrońskiego oraz kolegium mohylańskiego, jak również innych szkół wywodzących się z tych dwu instytucji. Walka przeciw pozornie niezwyciężonemu Zachodowi prowadzona była w imię greckiej wiary przodków, ale w gruncie rzeczy prowadzono ją za pomocą tych samych broni, którym Zachód zawdzięczał swe sukcesy: jezuickich metod nauczania, katolickiej nauki i katolickiej literatury.

W ten sposób Zachód, bardziej niż Grecy, dostarczył większości ukraińskich elit bodźców i środków dla obrony bizantyjskich wartości kulturalnych. Ta obrona „własnego” Wschodu Ukraińców za pomocą zachodniego oręża nie była wyjątkowym zjawiskiem w szesnasto- i siedemnastowiecznej Europie. Podobne mechanizmy działały wzdłuż innego pasa granicznego między

kulturą zachodnią a bizantyjską. Na obszarach tych mówiono po grecku, lecz zostały one podbite przez Wenecję po roku 1204. Zjawisko to było specjalnie wyraźne na Krecie. Na tej wyspie nie powstał wprawdzie żargon grecko-wenecki, ale zdarzyło się coś podobnego, a mianowicie masowa penetracja elementów weneckich do słownictwa greckiego. Co więcej, w szesnastym i siedemnastym stuleciu greccy poddani imperium weneckiego również odrzucali unię kościelną i tworzyli własną literaturę — tak zwaną literaturę kreteńską — ale tworzyli ją na podstawie bezpośrednich przekładów lub zapożyczeń z dzieł weneckich, częściowo nawet jezuickich.

Ofensywa Zachodu na ziemie ukraińskie groziła utratą jedności narodowej. Przychodzi tu na myśl porównanie z Serbami i Chorwatami. Jeśli chodzi o te dwa narody, to tożsamość językowa (z grubsza biorąc) nie doprowadziła do jedności narodowej, jako że te dwie grupy dzieliły granice i wiara począwszy od jedenastego wieku. Trzy powody przyczyniły się do zachowania jedności narodowej Ukrainy: po pierwsze długi okres, w czasie którego większość ziem ukraińskich pozostawała pod panowaniem jednego, to jest polsko-litewskiego, państwa, po drugie stosunkowo krótki okres, podczas którego ten sam obszar znajdował się pod panowaniem kilku państw (1772-1945), po trzecie nieobecność całkowitej katolicyzacji ziem zachodnioukraińskich.

Mimo zachodniej penetracji na ziemie ukraińskie — która trwała szereg stuleci — Ukraińcy stali się „Wschodem” w oczach Zachodu stosunkowo wcześniej, jeszcze przed pierwszym rozbiorem Polski. Stało się tak nie tylko dlatego, że większość Ukraińców wyznawała „wschodnią wiarę” i podporządkowana była wschodniemu patriarsze aż po koniec XVII w. (bo ostatecznie unicy podporządkowani byli patriarsze Zachodu). Stało się tak także dlatego, że państwo polsko-litewskie (które jeszcze w XVI wieku odczuwane było przez Zachód jako część Zachodu) począwszy od połowy wieku siedemnastego i daleko w głąb wieku osiemnastego odczuwane było — nawiasem mówiąc bezpodstawnie — jako coś związanego ze Wschodem. Ten nowy sposób widzenia powstał zresztą już wcześniej. Weźmy jako przykład obraz Rubensa, obecnie w bostońskim Muzeum Sztuk Pięknych. Pochodzi on z roku 1625 i na podstawie Herodota przedstawia Tomiris, królową scytyjskich Masagetów z VI w. przed Chrystusem z okolic Morza Kaspijskiego. Na obrazie Rubensa członkowie świty królowej występują w strojach polskiej szlachty. Nie tylko orientalizacja strojów polskiej szlachty i jej ukraińskich odpowiedników przyczyniła się do tej reputacji Rzeczypospolitej polsko-litewskiej. W wieku osiemnastym Żydzi Rzeczypospolitej (w tym tak wielu żyjących w miastach Ukrainy) również się do tego przyczynili, jako że ich lisie

czapki i długie kaftany budziły odrazę oświeconych obserwatorów w krótkich żabotach i biało pudrowanych perukach.

Pod wpływem wypadków ostatniego półwiecza co najmniej jeden pesymistyczny polski krytyk podpisał się pod tezę, że jego kraj przesunięty został kulturalnie na Wschód, umieszczając swych rodaków z roku 1992, „Europejczyków mimo wszystko”, równo pośrodku między Azją a Europą. Ubolewam, że sugerował również, iż Azja zaczyna się za Bugiem czyli na obecnej granicy polsko-ukraińskiej<sup>3</sup>.

Nic więc dziwnego, że sukces Jurija z Drohobycza w Bolonii — jedynego Ukraińca, który został rektorem jednego z wielkich zachodnich uniwersytetów — możliwy był w wieku piętnastym, gdy Polskę uważano niedwuznacznie za część Zachodu. Jeśli przyjmiemy tę perspektywę, to łatwiej nam będzie zrozumieć, dlaczego w świadomości Ukraińców przyłączenie części terytorium ukraińskiego do niewątpliwego Zachodu datuje się od roku 1772, gdy to *Galizien* i *Lodomerien* przestały być częścią zorientalizowanej Polski i włączone zostały do imperium Habsburgów.

Jako wstęp do następnej części mojego tekstu chciałbym przytoczyć przykład z roku 1990. Nie jest może aktualny dzisiaj, ale zachowuje ważność w perspektywie szerszej. Gdy w kijowskim hotelu „Moskwa” — proszę zauważyć tę prestiżową nazwę — Aeroflot reklamował lot Kijów-Afiny-Kijów, to użył rosyjskiej, początkowo bizantyjskiej i nowogreckiej, formy dla miasta Peryklesa i Platona. Jeżeli dzisiejszy kijowianin leci również „v Afiny” zamiast „v Ateny” lub nawet „do Aten”, które to formy oznaczałyby kontynuację zachodnich tradycji Kolegium Mohylańskiego, to czyni tak, gdyż jego przodkowie padli ofiarą kontrofensywy bizantyjskiego Wschodu. Kontrofensywa ta trwała od roku 1650, choć jej postępy były różne w różnych okresach i na różnych obszarach terytorium Ukrainy.

W tym miejscu znowu powstaje trudność. Widzieliśmy na początku, że pierwotne wpływy bizantyjskiego „Wschodu” przysły do Ukrainy z południa, zarówno z samej stolicy Bizancjum, jak przez zbizantynizowane Bałkany. Warto więc się zastanowić nad tym, że drugi wpływ bizantyjskiego „Wschodu” przybył z północy, w jakiejś mierze z carstwa moskiewskiego, ale głównie później z cesarstwa rosyjskiego. Naturalnie, w początkowym stadium stosunków kulturalnych między Moskwą i Rosją z jed-

3. Por. Smecz w *Kulturze* nr 537, Paryż, czerwiec 1992, str. 73. Stając tak po stronie Pantelejmona Kulisz — zobacz pierwsze motto na początku tego artykułu — p. Smecz, podobnie jak Kulisz, nie oddał należnej sprawiedliwości osiągnięciom Polski w przekazywaniu kultury zachodniej ziem ukraińskim.



nej strony a Ukrainą z drugiej kontrofensywę Północy poprzedziła obrona tubylczej oryginalności Północy typu bizantyjskiego. Szło to razem ze zręcznym wykorzystaniem zarówno ukraińskich osiągnięć kulturalnych jak i usług członków ukraińskich warstw wykształconych. Przypomnijmy sobie dysputę, która miała miejsce w rezydencji patriarchy moskiewskiego z nieśczęsnym Wawrzyńcem Zyzanią w roku 1627; przypomnijmy sobie „oczyszczenie” tekstów religijnych przez patriarchę Nikona, rzekomo przy pomocy wzorów greckich, w rzeczywistości jednak głównie kijowskich; albo też moskiewskie wydanie „Anfologionu” z roku 1660, w którym teksty kijowskie pojawiają się w odmiennej, miejscowej ortografii i przypomnijmy na koniec moskiewską karierę ukraińskich uczonych-hellenistów, takich jak Epifaniusz Sławiniecki.

Sytuacja ta trwała aż do ostatniej ćwierci siedemnastego wieku. Wkrótce potem nastąpił punkt zwrotny. Jest on znany wszystkim. Neobizantyzm, główna podpora kultury carstwa moskiewskiego, przegrał, nie bez oporu ariergardy, do której należeli zarówno uczeni goście z Grecji jak i imigranci oraz uczeni tubylcy, tacy jak Jewfimij z monasteru cudowskiego. Po upływie niecałych pięćdziesięciu lat nowe Cesarstwo Rosyjskie zaczęło importować kulturę z Zachodu na wielką skalę i to ono zaczęło wkrótce zaopatrywać swe ukraińskie posiadłości w wartości zachodnie. W latach 1730-1740 Włoch Rastrelli i Niemiec Johann Gottfried Schedel wzniesli lub zaprojektowali budynki w Kijowie (Wielka Dzwonnica, Cerkiew św. Andrzeja). Nie zapominajmy jednak, że przybyli oni do Kijowa nie wprost z Włoch lub Niemiec, ale w ten czy inny sposób z Petersburga.

Przykład Rastrellego przywodzi nam na myśl jedną ważną cechę ukraińskich kontaktów kulturalnych ze „Wschodem” jak i z Zachodem. Cechą tą jest brak bezpośredniego dostępu do źródeł podczas długich okresów historii Ukrainy. Ukraińcy otrzymywali wartości kulturalne zza granicy przez pośredników. Wspomniałem już, że Ruś kijowska ledwo że znała grecki — otrzymywała ona literaturę bizantyjską głównie przez Bułgarię. Jeśli chodzi o kulturę kontrreformacji (którą czasem nazywamy nieprecyzyjnie renesansem i barokiem), to Ukraińcy otrzymali ją głównie przez Polskę. Klasycyzm w architekturze przyszedł do nich przez Cesarstwo Rosyjskie. Nawet pisarze neoklasycy dwudziestego wieku zwrócili się ku francuskim poetom-symbolistom i *parnassiens* nie bez pewnej podniety, otrzymanej od rosyjskich poetów tak zwanego srebrnego wieku. Prawda, że możemy zacytować paralele tej „wtórności” skądinąd, jak na przykład u Bułgarów, jako że barok i rokoko bułgarskiego odrodzenia mają niektóre ze swych korzeni w sztuce ottomańskiego Stambułu. Te paralele niewiele jednak pomagają. Faktem jest, że ukraińska

wtórność oznaczała pewną słabość.

Nie zamierzam zajmować się tutaj „prawdziwym” Wschodem i jego koegzystencją kulturalną z Ukrainą: Kumanami, Karakałpakami, ich sojuszami z książętami ruskimi włącznie z sojuszem z r. 1223 przed bitwą nad Kałką, ich małżeństwami z rodzinami książąt kijowskich ani też tureckim graffiti w katedrze św. Sofii. Nie będę się też zajmował, gdy przejdziemy do późniejszych czasów, elementami tureckimi w strukturze instytucji Siczy Zaporoskiej, ani też chanatem krymskim i jego ukraińską ludnością — chanat ów bywał to sojusznikiem Ukrainy, to jej wrogiem, a nawet podbił ukraińskie ziemie. Na koniec nie zamierzam się zajmować Portą Ottomańską, którą Ukraińcy plądrowali, przeciw której prowadzili wojnę jako wojska pomocnicze Polski i której bywali niekiedy wasalami. Nie jest to moja dziedzina.

Odważę się jedynie na jedno ogólniejsze przypuszczenie: że wczesne kontakty kulturalne Ukrainy z „prawdziwym” Wschodem są w naszych źródłach literackich reprezentowane niewystarczająco albo przemilczane. Przyczyną tego jest niekiedy nieliteracki poziom tych kontaktów oraz jednostronność wyznaniowa źródeł. Ograniczę się do dwóch uwag dotyczących tego „prawdziwego” Wschodu. Na najwyższym pięttrze nieudolnie odrestaurowanej Złotej Bramy w Kijowie można było obejrzeć w roku 1990 eksponaty przedstawiające orężę dawnej Rusi. Zwiedzający mógł zdać sobie bez trudu sprawę, że „prawdziwy” Wschód dostarczał Rusi technologii wojskowej. Mógł się zapoznać z takimi tureckimi lub mongolskimi nazwami broni jak *kujak*, *juszman*, *tegaliaj*, *bachtereć* i — mógł tam znaleźć tylko jedno słowiańskie *zercalo*, ale nawet to „zwierciadło” było prawdopodobnie kalką pochodzenia wschodniego. Tutaj znowu, jak poprzednio w Bizancjum, ten „prawdziwy” Wschód był przeważnie południem. Zastanówmy się chwilkę, gdzie leży Bakczysaraj czy Stambuł.

Ogólnie biorąc my historycy koncentrowaliśmy się tak bardzo na osi Wschód-Zachód, tak ważnej dla rozwoju kultury ukraińskiej dzisiaj, że zwracaliśmy mniej uwagi na oś Północ-Południe. A jednak, jak wielokrotnie mówiłem, to właśnie jest oś, na której leży Moskwa, Bizancjum oraz jego dziedzic, Cesarstwo Ottomańskie. Na swym własnym terytorium to ostatnie było obrońcą prawosławia przeciw zagrożeniom pochodzącym z Zachodu. Kontakty kulturalne z ośrodkami prawosławnymi leżącymi wewnątrz granic Cesarstwa Ottomańskiego miały miejsce na osi Północ-Południe i tutaj Ukraina nie była tylko odbiorcą, lecz także miejscem, z którego wpływy szły dalej na południe.

Na pierwszym miejscu należy tu wymienić przedstawicieli pobizantyjskiego Kościoła Wschodniego, patriarchów ekumeni-

cznych i innych, biskupów, a nawet zwykłych *daskalów* (nauczycieli), w większości Greków. Zatrzymywali się oni na pewien czas na Ukrainie, pomagając sprawie prawosławnej czy to bractw czy też księcia Ostrogskiego i zarabiając jako nauczyciele albo też przejeżdżając przez Ukrainę w drodze do Moskwy. W Moskwie były władza i pieniądze, ale zgodnie z często cytowanym świadectwem jednego z nich, Syryjczyka Pawła z Aleppo, w Ukrainie można było oddychać swobodnie. Po drugie, musimy wspomnieć o wzajemnych wpływach, które istniały między obszarem ukraińsko-białoruskim a krajami bałkańskimi w szerszym sensie tego słowa: metropolita kijowski Piotr Mohyla wspierał prasy drukarskie w Mołdawii i na Wołoszczyźnie, a w wiekach szesnastym i siedemnastym możemy śledzić wpływ, który ówczesni Grecy, Bułgarzy i Mołdawianie (w części przynajmniej wykształceni na Zachodzie) wywierali na kijowskie dzieła hymnograficzne.

Z drugiej strony wczesne druki kijowskie, w tym dzieła Symeona Połockiego, trafiały do Serbii i Bułgarii. Wymownym tego świadectwem jest pokaźna liczba dobrze zachowanych egzemplarzy tych wczesnych druków, które przechowywane są dzisiaj w bibliotece bułgarskiego sanktuarium narodowego i religijnego, jakim jest klasztor w Rile. Wreszcie w osiemnastym wieku Mychajło Kozaczyński, absolwent a następnie profesor Akademii Kijowskiej, wykładał w Serbii i pisał na tematy serbskie.

Przechodzę do uwag końcowych. Historyk kultury opisuje, nie jest jego zadaniem udzielać rad. Istnieje jednak możliwość udzielania rad pod maską opisu i zamierzam ulec tej pokusie. Po pierwsze, historyk kultury, który przewędrował wszcz i wzdłuż terytoria byłych imperiów, ottomańskiego, austro-węgierskiego i rosyjskiego (ograniczam się tutaj do imperiów, które zawały się w latach 1917-1918) zdaje sobie sprawę, że elity narodów, które były częścią tych trzech całości — pomijając oczywiście narody panujące — skazane były na prowincjonalizm kulturalny, kompensowany nieraz przez przesadne lub nawet nieuzasadnione pretensje do oryginalności w dziedzinie kultury. Po drugie, pomiędzy końcem wieku siedemnastego a pierwszą połową wieku osiemnastego Rosjanie zdecydowali, że jest dla nich bardziej korzystnym zwrócić się ku Zachodowi nie przez pośrednictwo Ukrainy, lecz bezpośrednio, i ta decyzja wyszła im niewątpliwie na dobre. Bezprzykładnie szybki rozkwit kultury moskiewskiej a później rosyjskiej między epoką cara Aleksandra Michajłowicza a czasami Aleksandra I, za którego tworzył Puszkina, da się wytłumaczyć w znacznej mierze bezpośrednimi kontaktami z Zachodem. Wśród swych osiemnastowiecznych wędrownych uczonych Rosjanie mają Łomonosowa, który uczył się

na uniwersytecie w Marburgu, a Ukraińcy Hryhorowycza-Barśkiego, który był nauczycielem na wyspie Patmos.

W Ukrainie, w okresie panowania sowieckiego, przekonanie o potrzebie bezpośrednich kontaktów z Zachodem panowało w środowisku, z którego wyszli Chwyłowij i Zerow: pamiętamy wszyscy projekt zrezygnowania z pośrednictwa Północy. I znamy wszyscy los, zgotowany temu projektowi w latach trzydziestych. Dzisiaj żyjemy w nowych warunkach i projekt ten może stać się rzeczywistością, jeśli podejmiemy do zadania, które stoi przed nami, spokojnie i bez polemik. Tym razem termin „Zachód” należy rozumieć jako cały szeroki świat. W tym szerokim świecie współcześni Hryhorowicze-Barscy mogą nie zwrócić na siebie uwagi tak wysoko postawionych osobistości jak ambasador Jego Imperialnej Mości przy Wysokiej Porcie, który wypytywał Barśkiego w Stambule o to, co ten ostatni widział podczas swych peregrynacji. Zamiast tego zainteresowani będą rodacy, żyjący na szerokim świecie.

Gdy zajmiemy się wprowadzaniem w życie idei bezpośrednich kontaktów z szerokim światem, to rzućmy okiem na Bułgarów i na Serbów, nawiasem mówiąc dwa narody bardziej „chłopskie” niż Ukraińcy. Ich młode elity zaczynają swe przygotowania opanowaniem kilku języków obcych jako wstęp do studiów na Zachodzie. Ale przede wszystkim Ukraińcy muszą się pospieszyć z nawiązaniem bezpośrednich kontaktów na właściwym poziomie. Inaczej „szeroki świat”, który będą wchłaniać szybko, bez znajomości języków, bez podróży i bez wysiłku, składać się będzie z naśladowania džinsów, saszetek na pasku, Pepsi-Coli i grup rockowych.

Ten rodzaj artykułu — krótki, ogólny szkic — nie wymaga przypisów. Jednakże dla przykładu i kontrastu wymienię dwa dzieła, które zbliżają się do naszego tematu: Eduard Winter „Byzanz und Rom im Kampf um die Ukraine. 955-1939” (Lipsk 1942) (autora interesują przede wszystkim problemy organizacji kościelnej) oraz Ivan L. Rudnytsky „Ukraine between East and West” w zbiorze esejów tegoż autora „Essays in Modern Ukrainian History” (Edmonton 1987), str. 1-9 (tekst ukazał się po raz pierwszy w roku 1963, przekład ukraiński w r. 1976, polski w r. 1988. Autor zajmuje się rolą, jaką odegrał Zachód i oba Wschody — koczowniczy i bizantyjski — w powstaniu ukraińskiego charakteru narodowego). Ponadto w szeregu artykułów ogłoszonych w miesięczniku *Suczasnist'* między rokiem 1963 a 1991 szereg autorów (takich jak George Łuc'kyj, Omeljan Pritsak, George Shevelov, Wasyl' Stus i George Tarnav'skyj, aby wy-

mienić najwybitniejszych) zajmowało się — przeważnie na sposób normatywny — wyborem Ukrainy między orientacją wschodnią a zachodnią, przy czym Bizancjum z reguły otrzymywało złe stopnie, a dzinsy i gitary elektryczne niekiedy dobre. Porównaj też artykuł Bohdana Strumińskiego „*Suczasnist' (1961-1991)*” w *Kulturze* nr 536 (maj 1992), szczególnie stronicie 128-131. Aby zilustrować odmienną perspektywę, z której patrzy na nasz temat współczesna nauka rosyjska, zacytuję: *Rus między Wostokom i Zapadom: kultura i obszczestwo X-XVII w. (Zarubeżnye i sovetskie issledowanija, czast' I)* [AN SSSR, Otdelenie Istorii (...)] (Moskwa 1991).

Uniwersytet Harvarda

Przekład autoryzowany Andrzeja Vincenza

Ihor SEVCENKO

*Postscriptum z czerwca 1992:* Szybkie i sensacyjne zmiany, które miały ostatnio miejsce na Ukrainie, nie pozbawiają aktualności problemów, o których mowa w obecnym artykule. Zmiany takie mają tendencję do zwracania uwagi miejscowych elit oraz Ukraińców za granicą na Zachód i na przyszłość — co samo w sobie jest korzystne — lecz jednocześnie zachodzi przy tym ryzyko skrócenia i zamącenia perspektywy historycznej. Dziedzictwo bizantyjskie zarówno prawosławnych jak i grekokatolickich Ukraińców oraz późniejsze długofalowe wydarzenia — ostatnim jest rosyjski wpływ kulturalny na większość ziem ukraińskich — mogą zejść na drugi plan w upajającej atmosferze obecnych przemian, ale skutki tych wydarzeń nie znikną z dnia na dzień.

I. S.

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 7 września 1992

Zakochany w Wenecji, lubię czytać co mają o niej do powiedzenia (czy do wyznania) inni zakochani. Istnieje szczególnie język deklaracji miłosnej? Na pewno istnieje, ale grozi mu szybkie spłaszczenie, jeśli zakochany mówi za dużo o sobie, za mało o oblubienicy. Jest to przypadek szkicu Brodskiego, który otwiera „wenecki” numer *Zszytów Literackich*. Wieloletni romans z Wenecją tego świetnego eseisty (kto wie, czy nie lepszego eseisty niż poety) odwołuje się naturalnie, jak wszystkie romanse z tym miastem, do „weneckiego lustra”; zakochany przegląda się w nim jednak sam trochę za często. Pozostaje mu wynalazek „woda *alias* czas”, ładny (choć nie rewelacyjny), co wobec niezbyt szczodrej ręki w opisie innych uroków ukochanej spada niezasażenie do rangi banału.

Gdy w „numerze specjalnym” niefortunne jest ustawienie głosu dominującego, zazwyczaj pruje się lub rozłazi cała reszta. („Numery specjalne” czasopism wymagają wielkiej umiejętności antologicznej, prawie zawsze związane są ze znacznym ryzykiem, pokażę to później na przykładzie *NaGłosu* poświęconego Brunonowi Schulzowi). Dość ubogi jest *Album wenecki*. Trzy linijki wystarczają Mickiewiczowi i Norwidowi, żeby powiedzieć coś istotnego: „Wenecją stawili Bogowie”. Mickiewicz, „Wenecja ma misję świadczenia człowiekowi, że jest fantastyczna sfera życia” Norwida. Gorzej ze współczesnymi: „kataryniarstwo” Słonimskiego, wiersz wenecki Wata niespodziewanie (dla mnie) lepszy od weneckiego wiersza Miłosa. Myślę, bez fałszywej skromności, że wenecki fragment mojego dziennika jest w gruncie rzeczy wierszem prozą o mieście „zbudowanym przez Bogów”, o mieście „fantastycznej sfery życia”.

Po co Chateaubriand? Sam słusznie usunął z *Pamiętników*

zza *grubu* rozdziały weneckie, a Paweł Hertz ten produkt deklamacyjnego zadęcia i pustawej grandilokwencji zaleca jako „stronicę z antologii” i z namaszczeniem przywraca potomności. Smutkiem napelniał mnie *Baron Corvo w Wenecji* Zygmunta Kubiaka. Tłumacz *Wierszy zebranych* Kawafisa i autor doskonałego portretu poety aleksandryjskiego ma o Baronie Corvo mgliste pojęcie, oparte tylko na lekturze jego książek i ciekawej zresztą biografii Symonsa. To za mało. Rolfe-Corvo był wenecką postacią na miarę Casanovy, pobieżna lektura odnalezionych (przez zmarłego już bibliofila weneckiego Angiolo Tursi) strzępów jego dziennika czy notatnika osobistego uświadomiła mi, że *The Quest for Corvo* (tytuł biografii Symonsa), poszukiwanie weneckich śladów „Barona” (takiego jak „Hrabia” Casanova) musi się dopiero zacząć. Aby włączyć się potem do nurtu, który on sam w „powieści o dzisiejszej Wenecji” nazwał *The Desire and Pursuit of the Whole*, „pragnieniem i poszukiwaniem całości”.

Nie zająłbym się tak obszernie „weneckim” numerem *Zeszytów Literackich*, gdybym nie dostał równocześnie z Londynu wydanego świeżo tomu Tony Tannera *Venice Desired*. Tanner jest profesorem literatury angielskiej i amerykańskiej w Cambridge, co wyjaśnia jego przesadną skłonność do uniwersyteckiego „dłubactwa” i błogosławioną słabość do rozrutnego cytowania. Na swój sposób jest to tom fascynujący, między innymi dlatego, że Tanner należy również do zakochanych w Wenecji. Co zrobił? Rzecz na pozór prostą, choć wymagającą nadzwyczajnej znajomości przedmiotu. Opisał mianowicie i dokładnie zanalizował, z użyciem narzędzi komparatystyki, romans z Wenecją sześciu pisarzy: Lorda Byrona, Johna Ruskina, Henry James’a, Hugo von Hofmannsthal’a, Marcela Prousta i Ezry Pounda (w rozdziale końcowym, zatytułowanym *Konkluzja: Brzeg Pożegnań*, występują także Rilke, Tomasz Mann, Sartre).

Nieuchwytna, raz zarysowana z cudowną i czystą ostrością, to znowu uciekająca w norwidowską „sferę fantastyczną”, o wielu twarzach zmiennych jak maski, niekiedy aż nazbyt realna aby po chwili rozchwiać się w swoich konturach, zamknięta w magicznej kuli morza przemieszanego z niebem, zawieszona między pragnieniem całości i rozbięciem na drobne kryształki, nasycona aurą w której nic nie jest jednoznaczne, nieśmiertelna i zarazem groźnie śmiertelna — oto Wenecja wsączająca się do żył sześciu wybranych przez Tannera pisarzy. Ruskin kochał się w niej namiętnie i później gwałtownie odkochał. Równowagę przywróciło zdanie, skierowane do amerykańskiego historyka sztuki: „Jestem rad, że zajmuje się pan Wenecją. Nie znajdzie pan równie pięknego tematu. Dla mnie jest ona teraz za wielka,

too big”. Jeśli jest za wielka dla Ruskina..., dorzuca na stronie Tanner. Hofmannsthal poradził sobie z podobną przeszkodą, dzieląc wielką Wenecję na setki małych Wenecji. Dla Prousta zatarła się granica między Czasem skończonym i rozpoczętą Wiecznością. Przymuszczałnie *La place inviolable du Passé*, ogładana pod kolumnami obok Świętego Marka, poruszyła krew w jego projekcie powieściowym. „Marmurowe miasto? — pytał Ruskin. — Nie, raczej złote miasto wybrukowane szmaragdem”. W oczach Pounda „biały las marmuru”.

Osobny rozdział stanowi Henry James. Przyglądał się Wenecji ostrożnie, nawet nieufnie, zakochiwał się w niej powoli, aż wreszcie „weneckość” przeniknęła głęboko do jego powieści i opowiadań swą zagadkową atmosferą. Nie potrafię sobie wyobrazić, by gdziekolwiek poza Wenecją mogła się rozegrać historia *The Aspern Papers*. To wspaniałe opowiadanie jest weneckie do szpiku kości. Nie da się tego powiedzieć o głośnej, tak bardzo przecenianej noweli Tomasza Manna, chociaż do weneckiej specyfiki pretenduje już w tytule.

#### 10 września

Bruno Schulz. Pisarz bardzo wybitny, miejscami genialny. Pośmiertną sławą na świecie przesłania niekiedy Gombrowicza, Witkacego, Miłosza. A jednocześnie pisarz prawie nieznaną w odbiorze krytycznym. Najwięcej ma o nim do powiedzenia Jerzy Ficowski. Pisał o nim w dzienniku Gombrowicz, ale tonem protekcyjnego poklepywania po ramieniu (podobnie jak o Witkacym). Trafne spostrzeżenia zdarzały się Sandauerowi, niestety przerabiane natychmiast na papkę w jego żarłocznych żuchwach krytycznych. Posiadamy więc i nie posiadamy Schulza. Co pewien czas jakiś sławny pisarz na Zachodzie wystawia mu krótki atestat, zaświadczenie-przepustkę na Parnas. Drażni mnie to okropnie. Jeżeli los pozwoli, napiszę kiedyś szkic *Mandelstam i Schulz*, w którym złączą ich nie tylko okoliczności śmierci w totalitarnym „wilczym wieku”.

Tymczasem jednak, z okazji stulecia urodzin i pięćdziesięciolecia śmierci, mnożą się schulzowskie zjazdy i sesje naukowe. „Numer specjalny” *NaGłosu* poświęcony Schulzowi nie wróży najlepiej zabiegom postawienia Schulza na pomniku. Po wycięnięciu nie pozostaje w ręce prawie nic: fragmenty listów Schulza, szkice Ficowskiego i Kaśkowa. A poza tym? Kilka zagranicznych „zaświadczeń”, fragmenty powieści Cynthii Ozick i Dawida Grossmana „na temat Schulza”, które cóż mają wspólnego ze znajomością jego dzieła?, dość głupawa rozmówka o Schulzu sławnej pary Philip Roth-Bashevis Singer. Daleko

jeszcze do prawdziwego przyswojenia Schulza literaturze polskiej (piszę „polskiej”, bo jego rozgłos światowy jest według mnie naskórkowy, odarty z magii językowej).

### 13 września

Witkacy. Reporterka Joanna Siedlecka napisała książkę *Mabatma Witkac*, wkładając w nią masę pracy dokumentacyjnej i upartego krążenia wokół postaci tytułowej. Rezultaty są odwrotnie proporcjonalne do obu tych wysiłków. Książka zadziwia swą zdawkowością, jak gdyby Witkacy nie poruszył w sercu autorki żadnej poważnej struny. Poruszył za to sporo pomniejszych, pozbawionych znaczenia. Drzewo genealogiczno-rodzinne Witkacego jest przez Siedlecką odrysowane z taką hojnością i drobiazgowością, że czytelnik gubi się w jego gałęziach i gałązkach. Seria „świadczeń”, wydobytych od ludzi którzy jeszcze Witkacego gorzej czy lepiej pamiętają, sprowadza się do sztancy, oklepanej od bardzo, bardzo dawna: był pijusem, kobieciarzem, narkomanem w stadium wstępnym czy raczej eksperymentalnym, fabrykantem portretów, oryginałem strugającym wariata, samotnym jeźdźcem Apokalipsy, niekiedy (rzadko) miłym i uroczym człowiekiem, przystojnym mężczyzną, amatorskim filozofem etc. etc. Większość świadczeń nie przekracza granic chwalebnej skromności, niektóre irytują („intelektualne” miny Oli Watowej, idiotyzmy Michała Rusinka i Adolfa Rudnickiego). Dwa tylko rozdziały zasługują na żywszą uwagę: historia Jadwigi Witkiewiczowej, żony Witkaca; jego „drugi pogrzeb” w roku 1988. Ten „drugi pogrzeb”, czyli przeniesienie z Jezior na Polesiu, gdzie popełnił samobójstwo 17 września 1939 i został pochowany na wiejskim cmentarzu, do rodzinnego grobu w Zakopanem rzeźbionych zwłok Witkacego, w rzeczywistości zwłok Poleszuka mianowanego Witkacym przez władze ukraińskie i władze PRL, przy pełnej nieświadomości tłumy narodowych żałobników i przy dźwiękach podniosłej oracji pogrzebowej księdza Tischnera (ocenzurowanej potem w *Tygodniku Powszechnym*) — toż to jest wyborna, za grobem obmyślona komedia autora *Szewców*. Kto ją, pod zaświatowe dyktando Witkacego, napisze? Na pewno nie Siedlecka.

Dlatego, po prostu, że jest niewolnicą polskich sztanc i schematów. Trzeba to otwarcie powiedzieć. W szerokiej polskiej opinii publicznej Witkacy jest przede wszystkim fabrykantem portretów i profetycznym samobójcą, który jako jedyny zdobył się 17 września 1939 na protest w imieniu całego, „ugodzonego zdradziecko w plecy” narodu. Tylko nieliczni widzą prawdziwą wielkość Witkacego w jego powieściopisarstwie i dramaturgii.

Nie należy do nich z pewnością autorka *Mabatmy Witkaca*. Śmiesz mi trochę waga, jaką przywiązuje ona do „fabryki portretów”. Przed laty widziałem w Paryżu (z Jankiem Lebensteinem) wystawę portretów Witkacego; wyszliśmy z niej, delikatnie mówiąc, ze wzruszeniem ramion. Był rzeczywiście „fabrykantem”, sprawnym i szybkim, niczym więcej. Ale w momencie wybuchu jego światowej sławy setki jeśli nie tysiące jego portretów w Polsce, dotychczas lekceważonych, stały się nagle czymś w rodzaju banknotów twardej waluty. Wie o tym dobrze Siedlecka.

Natomiast pisarstwo Witkacego! Niezwykłe, codziennie bardziej wizjonerskie i aktualne, może dlatego omijane (z tzw. respektem) przez lekko załknioną publiczność. Hołdy należą się portreciście i samobójcy z 17 września. A to co można z jego pism wycisnąć na temat ojczyzny i rodaków? No ostatecznie był artystą i postrzelonym dziwakiem...

Uradował mnie fragment otrzymanego w tych dniach listu Włodzimierza Boleckiego: „Myślę sobie właśnie o Witkacym, bo pracuję nad edycją *Pożegnania jesieni* dla Biblioteki Narodowej. O Witkacym, który całe życie walczył z bezideowością polskich tzw. elit. W każdym jego artykule dostaje się od 'kretynów', 'idiotów', 'ciamkaczy', 'półgłówków' nie byle komu tylko najwybitniejszym nazwiskom. A powiedz dzisiaj, że jakiś autorytet polityczny, moralny czy inny wygaduje głupoty, to zostaniesz uznany za 'faszystę'. Zdaje się, że niedługo zostanie utworzona Państwowa Lista Autorytetów Nietykalnych”.

Niech zatem żyje nowa generacja Kocmołuchów i Kapenów, oraz sekundujących im dzielnie „elit”!

### 20 września

Nie wierzyłem prawie własnym oczom, gdy zaprzyjaźniony wydawca z Bolonii przysłał mi włoski przekład autobiografii Stephena Spendera *World Within World*. W jakim celu wydał teraz ten „pamiętnik poetycki i polityczny” z lat 1928-1939? Spender jest poetą dość miernym, nie zasługuje na wyławianie z zakurzonych półek wszystkiego co w życiu napisał. A jego „pamiętnik polityczny” zalatuje zapachem stęchlizny po wydarzeniach minionego półwiecza. Autobiografia Spendera ukazała się w Londynie w roku 1951, przed śmiercią Stalina i dalszą reakcją łańcuchową w obrębie tzw. „ideologii komunistycznej”. Napisałem o niej wówczas artykuł zatytułowany *Spowiedź dziecięcia wieku*. Czy taka spowiedź, doprowadzona do wybuchu drugiej wojny światowej, może dziś jeszcze kogokolwiek interesować, poza naturalnie dziejopisami (odsyłacz *petitem* w roz-

dziale o wylęgarni ideowych komunistów, sympatyków czyli *fellow-travellers*, albo po prostu zwykłych agentów w Oxford i Cambridge)?

A jednak, przejrawszy na nowo książkę w tłumaczeniu włoskim po czterdziestu latach (i przeczytawszy mój ówczesny artykuł), doszedłem do wniosku, że w epoce post-komunistycznego „polowania na intelektualistów” (jak swoją ankietę nazwała krakowska *Arka*) warto przyrzeć się młodemu Spenderowi i jego rówieśnikom. Christopher Isherwood, przyjaciel Spendera i lepszy od niego pisarz, nazwał w podtytule swoją autobiografię *Education in Twenties*, wyjaśniając francuskim określeniem że chodziło o *l'éducation neurotique*. Trzecim muszkieterem był Auden, natomiast Orwell odskoczył instynktownie od trójki. Chłopcy, którzy nie byli jeszcze w latach 1914-1918 zdolni do noszenia broni, przeżywali kompleks „wyłączenia z historii”. Spender, wychowany w klasycznej rodzinie liberalnej, cierpiał nad „letniością” liberalizmu; jego towarzysze *idem*. Najpierw ucieczka od religii wolności indywidualizmu w freudyzm; przyciągały tajemnicze siły podświadomości. Fascynacja trwała krótko: wystawieni bezlitośnie na sztych krzyżowych pytań psychoanalizy, młodzi wyznawcy indywidualizmu zaczęli gwałtownie szukać ratunku w religii zbiorowości, uwalniającej człowieka od brzemienia odpowiedzialności za samego siebie. Czyli zwrot w stronę komunizmu. „Społeczeństwo — wspomina Spender — odsłaniające się w świadomej formie komunizmu, zdawało się wskazywać wyjście z moich dylematów. Podsuwało mi mianowicie myśl, że ostatecznie nie jestem przecież samym sobą. Jestem po prostu wytworem mojego burżuazyjnego otoczenia. Przechodząc na stronę proletariatu i wkraczając w inny układ stosunków, mogę się stać innym gatunkiem projekcji społecznej”. Trójca Spender-Auden-Isherwood przeszła więc na stronę proletariatu i historii. Auden, który miał niewątpliwie przeważający wpływ na swych dwóch komilitonów, był trochę demonicznym kapłanem nowatorstwa poetyckiego i głosił konieczność zbliżenia sztuki do przemian technicznych i przemysłowych stulecia, zapoczątkowując tym akces znacznego odłamu młodzieży literackiej owych czasów do społecznego radykalizmu. Ale w gruncie rzeczy co najmniej Spender i Auden mogliby o sobie już wtedy powiedzieć słowami Stendhala z *Henri Brularda*: „Zrobiłbym wszystko co w mojej mocy, by zapewnić szczęście ludowi; myślę jednak, że wolałbym raczej spędzić co miesiąc dwa tygodnie w więzieniu, niż być zmuszonym do życia razem ze sklepikarzami”. Jedynym w Anglii autentycznym pisarzem lewicowym tego pokolenia był Orwell. „Orwell był *naprawdę* tym, czym setki innych udawały tylko że są” — przyznaje sam Spender.

Dla wyrostków, którzy cierpieli skrycie nad tym że nie zdążyli przejść przez bojowy chrzest męskości w latach 1914-1918, upragnionym i z dawna oczekiwanym momentem „wielkiej próby” stała się wojna domowa w Hiszpanii. Barcelona i Madryt zamieniły się błyskawicznie w ośrodki turystyki rewolucyjnej i uzdrowiska terapii neurotycznej. W urzędach propagandy, w rozgłoszeniach radiowych i na kongresach obrony kultury zaroilo się od znudzonych i zawiedzionych indywidualistów, którzy o pierwszym zetknięciu z „prawdziwą wojną” i „walczącym ludem” myśleli z takim samym dreszczem emocji, z jakim starzejąca się dziewica myśli o pierwszym stosunku z mężczyzną. Ale podczas gdy na prawdziwym froncie bili się i ginęli prawdziwi rewolucjoniści typu Malraux i Orwella, na tyłach pętali się lewicowi turyści i poszukiwacze „wielkiej przygody” w rodzaju Spendera. Jest coś odpychającego w opowiadaniu Spendera o tym, jak wpakowawszy swego młodziutkiego przyjaciela Jimmy Youngera do komunistycznych oddziałów liniowych, waha się, mimo jego rozpaczliwych nalegań i prób, czy ma prawo wyciągać go w ogniu walki z szeregów czerwonej Hiszpanii, a jednocześnie obją się sam na tyłach w charakterze antyfaszystowskiego komiwojażera i zachęcony w czasie jednej z wizyt prasowych w okopach do oddania symbolicznego strzału — pociąga za spust, modląc się w duchu, by jego pocisk nie drasnął przypadkiem kogoś z Maurów generała Franco.

Minęło parę lat, zbliżała się decydująca rozprawa z hitleryzmem i faszyzmem, a więc zdawałoby się okres „największej próby” dla tych którzy jej pragnęli. Dosłownie w przededniu drugiej wojny światowej Auden i Isherwood spakowali manatki i wyjechali do Ameryki, a Spender spisał się co prawda chlubnie w oddziałach londyńskiego pogotowia przeciwpożarowego, ale w swoim pamiętniku wspomina z przekąsem, że *Battle of Britain* była czymś różnym od indywidualistycznego antyfaszyzmu lat trzydziestych.

Zapewne, *Battle of Britain* była „prozaiczna” w przeciwieństwie do „poetyckiej” wojny domowej w Hiszpanii, o której Auden pisał w wierszu *Spain 1937*:

*Dziś rozmyślnie spotęgowanie szans śmierci,  
Świadome przyjęcie winy w niezbędnym morderstwie;  
Dziś siły obracane  
Na płaską przemijającą ulotkę i nudne wiece.*

Orwell tak skomentował wiersz Audena: „Ta strofa jest pomyślana jako coś w rodzaju szybkiego szkicu węglem z życia dobrego członka partii. Rano kilka politycznych mordów, dziesięciminutowa przerwa dla uciszenia burżuazyjnych skrupułów,

szybki obiad, po południu i wieczorem pisanie hasel na murach i kolportaż ulotek. Bardzo budujące. Ale proszę zwrócić uwagę na zwrot 'niezbędne morderstwo'. Mógł go napisać tylko człowiek, dla którego morderstwo jest co najwyżej słowem. Audenowska odmiana amoralizmu możliwa jest tylko wówczas, jeśli się jest człowiekiem, który znajduje się zawsze nie tam, gdzie padają strzały. Takie myślenie lewicowe jest rodzajem igrania z ogniem ludzi nie wiedzących nawet, że ogień jest gorący".

Strofę wiersza Audena i komentarz Orwella wzięłem z wydanej w roku 1957 broszurki Kingsley Amisa *Socialism and the Intellectuals* (Amis jest autorem bardzo dobrej powieści *Lucky Jim*).

### 30 września

Niezbyt długo trwa — jeżeli dostępuje się w ogóle tej łaski — interludium między snem i jawą. Wynurzenie się ze snu podobne jest właśnie do wypłynięcia z głębokiej toni na powierzchnię wody. W twarz uderza ławica światła, jaskrawego, natężonego, ale mrok wody i nocy wlecz się jeszcze z tyłu, nie daje się tak szybko rozproszyć pierwszym promieniom dnia. W tej przerwie, kiedy przez jakiś czas świt oczyszcza myśl, pamięć i obrazy przed oczami lub pod powiekami z resztek snu, na samym styku majaków sennych i widzeń na jawie, władze umysłu i ostrość wzroku działają z podwojoną siłą, dokonując cudów.

Cudów czego? Chyba świeżości i wrażliwości, z jaką wspomina się nagle zatarte w pamięci wiersze, fragmenty prozy, dzieła malarstwa i rzeźby. Trwa to (powtarzam) niezbyt długo, lecz z intensywnością, która rekompensuje ulotność. Od kilku tygodni moje interludium wypełnione jest nostalgicznie malarstwem i rzeźbą, ze szkodą dla literatury (zresztą nie wartęj ostatnio pamiętania), dlatego — jak sądzić — że przestałem niemal podróżować, co oznacza: przestałem odwiedzać ulubione miejscowości, gdzie mogłem pić wprost ze źródła, bez pośrednictwa reprodukcji.

Zagadką musi pozostać dlaczego, zawieszony po przebudzeniu między snem i jawą, widzę z niezwykłą dokładnością i obfitością akurat te dwie rzeczy: *Cappella degli Scrovegni* Giotto w Padwie i florenckie Baptysterium z płaskorzeźbami Ghibertiego. Jest prawdopodobne, choć nie pamiętam tego dobrze, że w moich dawnych podróżach włoskich łączyłem, wytyczając trasę, Padwę i Florencję.

Najbogatszy obywatel Padwy, Enrico Scrovegni, kupił teren pod budowę kaplicy rodu w roku 1300. Zbudował ją dla odku-

pienia grzechów swego ojca lichwiarza (którego Dante strącił do piekła) w roku 1303. Kroniki zdają się wskazywać, że Giotto w asyście uczniów pokrył wszystkie jej ściany freskami w roku 1305, czyli w dwa lata po namalowaniu w Asyżu, w Górnej Bazylice, *Życia Świętego Franciszka*. Historycy sztuki zauważają w padewskiej kaplicy „dwa style”. Przymuszczytelnym wytłumaczeniem jest fakt, że asycki Giotto zrobił krok do przodu, a jego uczniowie powtarzali bez zmian to, czego się poprzednio od Mistrza nauczyli.

Ja, w moim porannym widzeniu na granicy snu i jawy, rozumiem (albo tak mi się wydaje) na czym polegał „krok do przodu” Giotto. Zawsze miał dar malarskiego opowiadania, w Asyżu jednak był jako narrator bardziej realistyczny, nawet motywy legendarne, mityczne, starał się sprowadzić na ziemię. W Padwie oderwał się całkowicie od swego realizmu, nasycił freski atmosferą bajki. To jest olśniewające, zapiera dech w piersiach z zachwyty, mam (nie wstydzę się tego) wilgotne oczy, gdy ewokuję *Pokłon Trzech Króli*, *Ucieczkę do Egiptu*, *Ostatnią Wieczerzę*, *Biczowanie*, *Sąd Ostateczny*. Lecz bajka nie jest tu znakiem naiwności. Jest niewiarygodnym połączeniem prostoty i rafinacji, nieziemskiej anielskiej rafinacji. Giotto bezwiednie odpychał od siebie pokusy dramatyzacji, potrafił na przykład złagodzić scenę *Oplakiwania* tonacją prawie jasełkową. Wiara była dla niego czystym, radosnym śpiewem ptaka. Jego freski w Kaplicy Scrovegnich można także oglądać jako rzadki dowód, że taka wiara kiedyś istniała.

### 1 października

Lorenzo Ghiberti, najpierw kamieniarz, potem złotnik (wyborny, niezrównany, chwalił go Benvenuto Cellini), w końcu rzeźbiarz. U progu XV stulecia wygrał konkurs na pierwszą i drugą bramę kościoła Świętego Jana Chrzyciela (późniejszego Baptysterium); obie miały być płaskorzeźbą w brązie, jak gotowa już trzecia brama dłuta wielkiego Pisano. Pracował wolno, bardzo wolno, dzieło jego życia zajęło mu pół wieku. Rządzący wówczas Medyceusz (Cosimo) nie ponaglał go. „Wypędzą mnie kiedyś z Florencji — mówił — ale zostanie to, co za mojego panowania budowano”. Ghiberti nie pracował sam, pomagali mu młodzi artyści o wielkich w przyszłości nazwiskach: Donatello, Paolo Uccello, Benozzo Gozzoli, Pollaiuolo, Luca della Robbia. Pierwsza brama zawiera dwadzieścia osiem płyt, ilustrujących sceny z Nowego Testamentu; druga dziesięć scen ze Starego Testamentu. Michał Anioł nazwał drugą bramę Bramą Raju. Hippolyte Taine opisał najtrafniej płaskorzeźby Ghibertiego:

plaskorzeźby, które Nicola Pisano zbliżył już do malarstwa, pod dłutem Ghibertiego stały się malarstwem. Światłem i cieniem zastąpił linię i formę. Osiągnął niespotykaną dotąd głębię przestrzeni. Ożywił drobiazgi w sposób zdumiewający. Chodząc dokoła Baptysterium, staje się przed serią płócien w brazy.

Wspominam z największą emocją drugą bramę. *Mojżesz na Górze Synaj, Jozue obłęza Jerycho, Procesja Arki Przymierza, Dawid i Goliat. Dawid wraca do Jerozolimy z głową Goliata i Królowa Szeba w świątyni jerozolimskiej.* Ghiberti przekładał bezbłędnie Stary Testament na język malarskiej rzeźby. Nie uchodził jego uwadze ani jeden szczegół tekstu. Twórca drugiej bramy uczcił biblijny język rzeźbionym kształtem Słowa.

Gdy widzę go tak wyraźnie w interludium między snem i przebudzeniem, przychodzi mi do głowy, że powracająca wizja łączna Kaplicy Giotto i Bramy Raju Ghibertiego nie jest tylko skutkiem łączenia Padwy i Florencji w trasach moich dawnych podróży. Ludwig Goldschneider, monografista Ghibertiego, zauważył bardzo słusznie: „Musimy traktować starotestamentowe plaskorzeźby Ghibertiego nie jako legendy religijne, lecz jako nowele, *novelle* (literatura florencka uległa podobnej transformacji od Jacopone da Todi i Dantego do Boccacia). Florencja nie okazywała szczególnego entuzjazmu dla religii, nigdy nie brała udziału w procesjach samobiczowników i w krucjatach. Cosimo de Medici miał raz powiedzieć, że w jego księgach rachunkowych Bóg nie występuje i nie wystąpi jako dłużnik”.

Słabość do malarskiej czy malarsko-rzeźbiarskiej *narracji* połączyła w moich rojeniach Giotto z Ghibertim.

#### 4 października

Mrozek. Przyjaźnimy się od wielu lat. Był bardzo młody, gdy wstąpił do Neapolu w drodze powrotnej ze Stanów do Polski, za namową Wiktora Weintrauba. Od razu uderzyło mnie jego „oczko”, niezmiernie celne i przenikliwe, szczególnie wyczuwane na polską rzeczywistość pod panowaniem komunizmu. Nie wymądrzał się, nie znosił „filozoficznych” dysput w sosie „postępowym”, trafiał natychmiast w sedno rzeczy jedną zwięzłą, niemal aforystyczną uwagą, którą w salonikach intelektualnych uznano by prawdopodobnie za co najmniej „uproszczoną”, jeśli nie wręcz „prostą”. Ale wiedział doskonale, że warunkiem zachowania względnego zdrowia umysłowego i psychicznego pod rządami bandziorów w asyście szaleńców jest wystrzeżenie się jak zarazy „postępowych” saloników intelektualnych, zaprawionych w robieniu wody z mózgu.

Pierwsze spotkanie dało mi pewność, że zaprzyjaźnimy się

łatwo i szybko. Dopomógł temu jego przyjazd na dłużej do Włoch, z żoną Marą (uroczą). Widywaliśmy się to w Neapolu, to w Rzymie, to w Chiavari na Wybrzeżu Liguryjskim, gdzie zamieszkał. Mieszkali tam również Maria i Bohdan Paczowscy (Bohdan był jego kolegą na wydziale architektury w Krakowie). Jeździłem wtedy do *Kultury* pociągiem, w połowie drogi powrotnej zatrzymywałem się w Chiavari na noc u Sławków, żeby trochę odsapnąć. Długie rozmowy z zamieszkałą w Chiavari czwórką polską miały dla mnie wielkie znaczenie.

Mrozek czyli spostrzegawczość błyskawiczna i elementarna, posunięta do granic absurdu w swojej nieustępliwej i wyzywającej trzeźwości, pokłóconej organicznie z bełkotem „ideologicznym”. W rozmowie z nim było to równie wyraźne, jak w jego utworach scenicznych i opowiadaniach. Ludzie posługiwali się skrótami „to z Mrozka” albo „jak u Mrozka”, nazywając bezpiecznie za jego zmetaforyzowanym lekko pośrednictwem rzeczywistość zdegradowaną i załganą. W Chiavari zapytałem go raz skąd czerpie znajomość Polski codziennej, przyziemnej, skoro od lat już jest poza Krajem. Odpowiedział bez namysłu: „Z lektury Machejka”. Nie żartował. W klimacie komunizmu Machejek był jedynym barometrem, który dziwną, koślawą polszczyzną coś jednak autentycznego choć groteskowego mówił o społecznej i politycznej pogodzie.

W roku 1968, po inwazji Czechosłowacji, wybrał w Paryżu los emigranta. Zastanawiałem się czasem, czy na dalszą metę nie odczuje, przy swoim pisarskim zacięciu, braku polskiego „surowca”. Zwłaszcza że z późniejszych krótkich podróży do Polski, w sprawach rodzinnych, wracał dosłownie chory; a podczas swoich pobytów w Polsce starał się nie wychodzić w ogóle z domu. Jego odraza do komunizmu była absolutna, bez ani jednej wąskiej choćby szczeliny. Ale, na szczęście, nie tak wystawiana na pokaz w oprawie własnego niepokalania jak u Tyrmanda.

Dostałem od niego przedwczoraj list, wysłany z Meksyku we wrześniu, napisany zaraz po powrocie z pięciodniowej wizyty w Krakowie. Drugą to wizytą po krakowskim „Festiwalu Mrozka” i po jego ciężkiej chorobie w Meksyku. List zawiera kilka mądrych uwag, które przytoczę, wiedząc że Sławek nie ma zwyczaju pisywać do druku relacji ze swoich podróży.

„Polacy zachowują się tak, jakby ostatnio spotkała ich kolejna, też niesłychana katastrofa. Tak się przyzwyczaili do roli ofiary, że nie mogą zagrać innej. Narzekają ponad miarę. Tymczasem nie jest w Polsce aż tak źle, jak to wynika z ich opowiadań. Oczywiście jeśli pominąć sprawy Rządu, Zarządu i Samorządu, które są żalosne i wkrótce mogą stać się groźne.

Polacy dzisiejsi chcą mieć wszystko, natychmiast i za nic...



Otrzymali ostatnio od historii nie wielkie nieszczęście, ale wielką szansę. Tymczasem są na nią ślepi. Być może nie wynika to z jakiegoś organicznego niezgultwa, ograniczenia i ciemnoty, ale z komunistycznego zatrucia...

Zaborcy były zdrowsze, niż komunizm. Tępienie języka polskiego mniej sprawiło Polakom szkody, niż przywłaszczenie sobie tego języka przez komunizm i mielenie nim przez czterdzieści lat. Pod zaborami Polacy nie mieli wątpliwości, że są pod zaborami; i kiedy z nieba spadła im niepodległość, dostrzegli że to był skarb i umieli być niebu wdzięczni... Dziś Polacy, mimo szumnych oświadczeń i ruchów pozornych, nie czują że dokonała się jakaś zasadnicza cezura, że stało się coś, co im całkowicie odmieńa sytuację. Dlatego nie umieją się w tej odmiennej sytuacji znaleźć. Pewnie dlatego, że spora ich część nosi tę starą sytuację w sobie, choć historycznie, na zewnątrz, już jej nie ma. Stare, starawe i nie całkiem młode pokolenia muszą wyrzeć, zanim zniknie ta niezborność. Nawet ludzie czterdziestoletni są jakoś trzaśnięci, pokrzywieni tym co było. Nie mówiąc już o moim pokoleniu. Jedynymi, z którymi czułem się swobodnie, z którymi mogłem przebywać nie obawiając się że stąpam po odciskach, to dwudziestoparoletni”.

10 października

Wiosną 1990 roku Alain Besançon i Michał Heller przyjechali do Neapolu na sympozjum „sowietologiczne”. Wieczorem zjedliśmy razem kolację. W trakcie rozmowy Besançon zwrócił się do mnie z pytaniem: „Dlaczego w Polsce nie pociąga się do odpowiedzialności ludzi, winnych nadużyć władzy (mówiąc bardzo eufemistycznie) za panowania komunistycznego?”. Odpowiedziałem: „Jak pan sobie to wyobraża w kraju, w którym upadek komunizmu i odzyskanie niepodległości zostały przypięczone wyborem b. pierwszego sekretarza partii na wysoki urząd prezydenta republiki? I to za sprawą grupy posłów z Solidarności”. Besançon skinął potakująco głową, Heller mruknął pod nosem „no właśnie”. Nie warto było wchodzić w korzenie i analizę wypadków, cofać się do „okrągłego stołu” (nieuniknionego, to prawda, w imię uniknięcia rozlewu krwi, ale prowadzonego pod znakiem trzęsienia portkami i sutannami po stronie opozycji, pozorowania siły po stronie władzy), do filozofii „grubej kreski” (głupiej i szkodliwej). Istotny pozostawał fakt, który rozmieiliśmy już wtedy wszyscy trzej: że wypadki przeskoczyły potrzebny społecznie i politycznie proces dekomunizacji — potrzebny jako poczucie, że w życiu Polski zaszła rzeczywiście głęboka zmiana, podobnie jak „epuracja” po upadku faszyzmu

była dla Włochów widowym znakiem rozpoczęcia nowego rozdziału w ich dziejach. Dekomunizacja okazała się natychmiast niewypałem. Jeżeli Krzysztof Kozłowski, „grubokreskowy” minister spraw wewnętrznych w rządzie Mazowieckiego, zatrzymał w swoim resorcie b. pułkownika SB, o którym wiadomo było, że znęcał się nad działaczami opozycyjnymi, to możemy go (Kozłowskiego) nazwać wyznawcą dewizy Denga, że nie jest ważne czy kot jest biały czy czarny, byle tylko łapał szybko i sprawnie myszy. Sęk w tym, że naturalna u ministra policji dewiza nie mogła wzbudzać entuzjazmu b. ofiar b. pułkownika. Nawiasem mówiąc, ów esbecki kot-myszołowca, to czarny to biały, wkradł się również w łaski późniejszego ministra policji Macierewicza, co dowodzi że Macierewicz (Wielki Lustrator w przeciwieństwie do Kozłowskiego) nie pogardzał zanadto, w razie potrzeby, „grubą kreską”.

Dekomunizacja była więc najpierw niewypałem, zmarnowano w ten sposób jedyny może, właściwy okres jej przeprowadzenia (łącznie z rozliczeniem *wierchuszki* systemu przed Trybunałem Stanu). Potem wypaliła niespodzianie; okazało się, że ma spóźniony zapłon. I natychmiast stała się tym, czym nie powinna była być ani przez chwilę: rozgrywką polityczną, wzajemnym skakaniem sobie do oczu i gardel, słowem — igrzyskiem, w którym chodzi nie tyle o społeczny i polityczny postulat odcięcia się od poprzedniego ustroju, ile o walkę kilku stadek partyjnych sępów czy kruków, dziobiących się zapamiętałe, wyrwijających sobie nawzajem z wrzaskiem resztki padliny. *Taka* dekomunizacja — abstrahując od okoliczności, że było już na nią za późno — nie mogła nie przynosić więcej szkody, niż pożytku.

Wspomniałem o „epuracji” włoskiej po upadku faszyzmu. Przez jakiś czas przyglądałem jej się w Rzymie. Sytuacja włoska była o tyle trudniejsza i bardziej zapalna od polskiej, że agonia faszyzmu posiadała wszelkie cechy wojny domowej (dopiero teraz historycy nazywają rzeczy po imieniu: dokładnie rok temu wyszedł imponujący i doskonale udokumentowany tom Claudio Pavone *Una guerra civile 1943-1945*; dość, tytułem przykładu, powiedzieć że we Florencji został z ukrycia zastrzelony filozof faszyzmu Gentile). A jednak, mimo napięcia, mimo bez porównania szerszego uczestnictwa Włochów w faszyzmie, niż Polaków w komunizmie, „epuracja” włoska trzymała się dwóch *nieodczownych* warunków jej powodzenia i pożytku: odbywała się bez rozgłosu, bez bicia zwycięzców w bębny, w specjalnych urzędach weryfikacyjnych; przestrzegała swej niezależności od partii politycznych. Miała według mnie spore znaczenie wychowawcze, choć w praktyce oznaczała dla dużej części „epurowanych” coś w rodzaju krótszej bądź dłuższej kwarantanny. *Wierchuszka* nie czekała na Trybunał Stanu, lecz uciekła z kraju do Południowej Ameryki *via* Hiszpania i Portugalia.

14 października

Jest pewne, że admirał Wilhelm Canaris, szef *Abwehry*, w skrytości swego konserwatywnego ducha miał więcej niż niechętny stosunek do hitleryzmu i w ramach swoich możliwości starał się osłaniać pierwsze przejawy ruchu oporu w armii. Był też na pewno w kontakcie ze spiskiem, który 20 lipca 1944 skończył się nieudanym zamachem na Hitlera. Himmler zdemaskował go i uznał za zdrajcę już wcześniej, ale aresztowano go dopiero po tym nieudanym zamachu. Został rozstrzelany w kaciecie w Flossenburgu w kwietniu 1945.

Brak natomiast absolutnej pewności, czy nawiązał również potajemny kontakt z aliantami i czy przekazywał im ważniejsze informacje, jakkolwiek wymijające odpowiedzi alianckie w stylu *no comment* pozwalają traktować na serio taką hipotezę. Nasuwa się zatem pytanie: czy gdyby Canaris przeżył wojnę, byłby w powojennych Niemczech Adenauera (w kraju rządowego kultu hrabiego von Stauffenberga) uważany, pod naciskiem wojska, za zdrajcę i surowiej lub łagodniej ukarany? Nie sądzę. Przypuszczam, że nie byłby również obwołany bohaterem narodowym; że sam nie życzyłby sobie żadnych odznaczeń; i że zaszyłby się w jakiejś zapadłej dziurze prowincjonalnej, korzystając z zasłużonej emerytury.

Wolno, przy zachowaniu wszelkich proporcji, zestawić sprawę admirała Canarisa ze sprawą pułkownika Kuklińskiego. Dla Jaruzelskiego Kukliński był zdrajcą; co więcej — „rehabilitując go, należałoby rozwiązać wojsko”. Jeszcze jeden dowód mocno przecenianej inteligencji generała, który ostatecznie nie może nie widzieć (choćby z daleka), jak jego dawni oficerowie przenoszą się żwawo z zajęć Polwychu na Msze Święte, okazując znaczną elastyczność w zmianie „orientacji historycznej”, w każdym bądź razie nie zmierzając bynajmniej w kierunku „rozwiązania wojska”.

A czym jest dla nas? Ponieważ nie lubię w takich wypadkach liczby mnogiej, powiem raczej czym jest dla mnie. Nie jest zdrajcą, zwykłym szpiegiem, skoro za stopy użytecznych dla Amerykanów informacji nie brał zapłaty. Powodowały nim pobudki ludzkie i „polskie”, jak u Canarisa odgrywały główną rolę pobudki ludzkie i „niemieckie” (celowo nie używam zgranego, oklepanego słowa „patriotyczne”). Jerzy Giedroyc pisze mi w liście, że „takie rzeczy mogą być robione tylko wtedy, jeżeli odbywają się za wiedzą i aprobatą czynników państwowych”. Teoretycznie — zgoda. Ale w praktyce? Kogo miał informować, u kogo miał szukać „aprobaty” Kukliński? U rządu polskiego w Londynie? Wolne żarty, nie mówiąc już o tym, że

nazajutrz panowie ministrowie z Eaton Place szeptałiby z dumą o swoim „sukcesie” przy stolikach Ogniska lub Dakowskiego. Nie, nie, Kukliński nie miał innego wyjścia, jak działać samotnie i w śmiertelnej tajemnicy. A jedynym sprawdzianem jego działania jest, czy też powinno być, kryterium użyteczności dla Polski i Polaków. Uciekając w ostatniej chwili z Warszawy, Kukliński zdołał zabrać dokumentację związaną już na ostatni guzik stanu wojennego i projektu delegalizacji „Solidarności”. Tę dokumentację Amerykanie, z niewiadomych przyczyn, które ocierają się o skandal, jeśli nie o infamię, włożyli do sejfów i nie raczyli nawet zawiadomić „Solidarności”, co jej grozi. Jaruzelski niepojętą ciszę Waszyngtonu uznał za milczącą amerykańską akceptację stanu wojennego. Słusznie. Dopóki Brzeziński nie wyjaśni autorytatywnie tego wstydliwego epizodu, nie uda mu się zrobić z Kuklińskiego „bezsportnego bohatera narodowego”, kandydata do awansu i wysokich odznaczeń R. P. Sam Kukliński zaś, jeżeli chce utrzymać w sobie i innych poczucie, że działał wyłącznie z myślą o interesach polskich, musi szybko zwrócić swój medal amerykański.

Pozostanie mu powrót na stare lata (z rodziną) do kraju, bez szumu, bez awansu i bez orderów, oraz usunięcie się w cień. Pozostanie mu też, jeżeli zechce, pisanie pamiętników dla BGW, tej osobliwej fabryczki memuarów, zasługującej na nazwę „Okrągły stół” (pożyczoną od francuskiego wydawnictwa *Table Ronde*), gdzie Jaruzelski z Bujakiem, Kiszczak z Kuroniem, Rakowski z Łętowską, Gierek z Kuczyńskim prezentują szeroką panoramę polskich losów...

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Stulecie PPS

*„Jedyna droga — to twardo stać przy zasadach prawdziwej niepodległości, prawdziwej demokracji, prawdziwego socjalizmu”.*

Kazimierz Pużak (1946 r.)

W listopadzie bieżącego roku przypada stulecie Polskiej Partii Socjalistycznej. O ważności tej rocznicy w historii polskiej myśli politycznej świadczy fakt, że PPS jest pierwszym, politycznym, robotniczym stronnictwem w Polsce, które obchodzi stu-letni jubileusz. Ten uroczysty moment przynosi doskonałą okazję zarówno podsumowania ogromnego dorobku partii, jak i ukaza-nia jej zadań w kształtowaniu obecnego i przyszłego losu Polski.

Stulecie to także niezwykle wzruszająca chwila, budząca wspomnienia o ogromnej rzeszy PPSowskich działaczy, którzy poświęcili całe swoje życie ideom socjalistycznym. Z głębokim uczuciem, miłością i przywiązaniem wracamy dziś pamięcią do nich wszystkich. W czasie tak znamienitej rocznicy uczcijmy ich zasługi i ich pamięć.

Od zarania swego istnienia PPS jest wyrazicielką trzech zasad: niepodległości narodowej, demokracji i sprawiedliwości społecznej. Od haseł tych PPS nigdy nie odstępowała i broniła ich zawsze do końca. W ciągu stu lat zarówno nazwa partii, jak i jej cele nie zmieniły się. PPS była zawsze wierna masom pracującym, tworzyła program budowy państwa opartego na demokracji parlamentarnej i na przestrzeganiu praw człowieka i obywatela. Podstawą PPSowskiego systemu wartości było i jest poszanowanie wolności narodowej, społecznej i osobistej, wolności sumienia i myśli. PPS zawsze skutecznie czyniła to, co w danej chwili było najważniejsze w życiu narodu, o czym świadczy zarówno wkład partii w walkę o niepodległość w okresie

zaborów i w czasie drugiej wojny światowej, jak i próba obrony demokracji w okresie Drugiej Rzeczypospolitej.

PPS była zawsze partią antykomunistyczną. Niezbitym tego dowodem jest jej walka z Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy z PPS-Lewicą, z komunistami w okresie międzywojennym i wojennym oraz z sowieckim i rodzimym reżimem w okresie powojennym.

Rocznica stulecia PPS nie oznacza oczywiście początków istnienia polskiego socjalizmu, albowiem socjalizm ten był dziełem emigracji polistopadowej i postycziowej, emigracji powstańczej we Francji, Belgii i Anglii — państwach, gdzie idee socjalistyczne krzewiły się już od pewnego czasu. Wczesny socjalizm polski miał charakter chrześcijański i niepodległościowy i był socjalizmem chłopskim. Przewodziły mu idee romantyczne. Wszak to Adam Mickiewicz widział w socjalizmie popęd ducha ku lepszemu bytowi, nie indywidualnemu lecz wspólnemu i solidarnemu.

W języku polskim po raz pierwszy słowo socjalizm pojawiło się w dokumencie Gromady Grudziąż Ludu Polskiego z daty 6 maja 1835 roku.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że polscy socjaliści pierwszej połowy dziewiętnastego wieku zasiliли wszelkie socjalistyczne ruchy i odłamy, jakie istniały na Zachodzie. Wielu z nich było aktywnymi członkami Pierwszej Międzynarodówki, powołanej w 1864 roku na wieść o upadku Powstania Styczniowego. Międzynarodówka ta, obejmując organizacje socjalistyczne różnych krajów europejskich, wzmocniła i ożywiła ówczesny socjalizm, już nie chłopski, ale robotniczy i przemysłowy.

Okres polskiego socjalizmu na emigracji trwał do początków lat siedemdziesiątych XIX wieku. Wojna francusko-niemiecka i zwycięstwa niemieckie zmieniły sytuację polityczną w całej Europie. Upadek Komuny Paryskiej i podpisanie później traktatów carsko-niemieckich ograniczyły w dużej mierze działalność polityczną polskich emigrantów. Od tej pory emigracyjne ośrodki polityczne stają się siłą pomocniczą dla kraju, a ruch socjalistyczny przenosi się na ziemię polskie. W tym samym okresie następują ważne zmiany dotyczące samego charakteru polskiego ruchu socjalistycznego. Socjalizm romantyczny, co było rzeczą nieuniknioną, zostaje zastąpiony socjalizmem nowoczesnym, robotniczym, kielkującym we wszystkich trzech zaborach.

Pierwszym ośrodkiem socjalistycznym na ziemiach polskich był Lwów. Sytuacja polityczna w zaborze austriackim pozwoliła na rozwój jawnego i masowego ruchu socjalistycznego, który w późnych latach 90-tych XIX wieku rozwinął się pod sztandarami Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej (PPSD), głównego politycznego sprzymierzeńca PPS. Do najznakomitszych działaczy ruchu socjalistycznego w zaborze austriackim należeli: Bolesław

Limanowski, Ignacy Daszyński, Herman Diamand, Kazimierz Czapiniński, Artur Hausner, Zygmunt Marek, Jędrzej Moraczewski i Zygmunt Żuławski.

Zupełnie inaczej kształtowała się sytuacja w zaborze pruskim, gdzie silna władza okupanta uniemożliwiła rozwój sprężystego, polskiego ruchu socjalistycznego. Zasłużonymi socjalistami w tym zaborze byli: Józef Biniszkievicz, Franciszek Morawski, Jerzy Haase i Estera Golde-Stróżecka.

Na ziemiach pod panowaniem caratu, Szymon Diksztajn, Kazimierz Hildt, Karolina Świącicka i Wacław Świącicki — autor „Warszawianki” — Józefa i Kazimierz Pławiński i Ludwik Waryński byli pierwszymi rzecznikami tajnych i nielegalnych kółek socjalistycznych. W ostatnich dwóch dekadach XIX wieku ruch socjalistyczny w zaborze rosyjskim był rozbity na cztery ugrupowania, wśród których siłą swoją wyróżniał się *Proletariat*. Sytuacja, jaką narzucał zaborca wskazywała potrzebę stworzenia silnej, sprężystej partii robotniczej, która łączyłaby walkę o prawa robotników z dążeniami do niezawisłego bytu państwowego. Przelomowym wyznaniem wiary polskiego socjalizmu niepodległościowego był cykl artykułów Witolda Jodki-Narkiewicza, opublikowany w *Przedświcie*, w którym idee socjalizmu i patriotyzmu były ukazane jako nierozłączne.

Przykładem, jak bardzo zadania niepodległościowe zaczęły nabierać pierwszorzędnej ważności w polskim ruchu socjalistycznym, jest przemówienie Bolesława Limanowskiego na kongresie Drugiej Międzynarodówki w Paryżu w 1889 roku, w którym autor głosił: „Niepodległość jest nam potrzebna, jest nam konieczna, chcemy ją mieć, musimy ją mieć i będziemy ją mieć”.

Zjazd polskich socjalistów, odbywający się w Paryżu w robotniczej dzielnicy Montrouge w dniach 21 do 27 listopada 1892 roku, otworzył nową kartę w dziejach polskich. Zjazd paryski stał się symbolem narodzin PPS. Od chwili jego obrad liczymy nasze stulecie. Na zjeździe tym, pomimo ścierania się różnych politycznych kierunków i programów, stworzono podstawy ideologiczne i polityczne Polskiej Partii Socjalistycznej. Jak dalekowzroczny i nowoczesny był to program świadczy fakt, że jego założenia ekonomiczne i społeczne znalazły się później w ustawodawstwie ochrony pracy Drugiej Rzeczypospolitej. Program paryski dawał podwaliny rozwoju demokracji parlamentarnej, a za naczelne zadanie bieżące uznał walkę o wolną ojczyznę i postanowił powołać do życia na terenie zaboru rosyjskiego Polską Partię Socjalistyczną.

Pierwszy zjazd PPS w kraju miał miejsce w połowie 1893 roku w Górach Ponarskich pod Wilnem. Jeszcze w tym samym roku demonstracjom robotniczym w Warszawie przewodziły hasła i emblematy PPS. Spopularyzowanie i rozpowszechnienie

idei PPS stało się naczelnym zadaniem, torującym drogę wystąpieniom masowym polskich robotników. Nieocenionym twórcą techniki tajnego kolportażu w tym okresie był Aleksander Sulikiewicz, Tatar z pochodzenia, poległy później w Legionach na polu bitwy.

PPS adresowała swe piśmiennictwo nie tylko do robotników i inteligencji, ale i do chłopów i robotników rolnych i mniejszości narodowych. W 1894 roku PPS przystąpiła do wydawania w kraju *Robotnika*, który w latach późniejszych stał się sztandarowym pismem partii. Pierwszymi redaktorami pisma byli Jan Stróżecki i Józef Piłsudski.

Józef Piłsudski nie był twórcą PPS, ale jej aktywnym i oddanym działaczem. Należy podkreślić, że chociaż drogi PPS i Józefa Piłsudskiego rozeszły się zupełnie po przewrocie majowym 1926 roku, a sam Piłsudski opuścił szeregi partii w 1916 roku, to jednak jego wkład pracy i poświęcenie dla rozwoju partii były nieocenione.

W tym wczesnym okresie wielkim dorobkiem PPS było zorganizowanie po raz pierwszy na ziemiach polskich uroczystości pierwszomajowych w 1898 roku.

„Zupełna pustka stała się w ulicy. Nagie ściany domów, zamknięte okna, zatrzaśnięte drzwi i nagi bruk, Nagi bruk...”

Z poprzecznego zaułka wyszedł niespodziewanie jakby ruchomy odłam muru. Szynele koloru skostniałej ziemi, żółtawe baszłyki, niby skiby roli podoranej.

Na ten widok wyrwała się z pęt i wybuchła pieśń. Stała się okrzykiem wolności, wydartym z głębin ducha wielkiego ludu. Niby z otchłani lecąca strzała, której żeleźce dymi się jeszcze od krwi, padła w pustą ulicę i w nastawiony polsk karabinów”<sup>1</sup>.

Za sprawą PPS rewolucja 1905-1907 roku przerodziła się na ziemiach zaboru rosyjskiego w powstanie narodowe przeciwko zaborcy, a w zaborze austriackim doprowadziła do osiągnięcia wolnych wyborów, w których Ignacy Daszyński i Jan Kozakiewicz zostali wybrani posłami do wiedeńskiego sejmu.

W czasie trwania rewolucji PPS dowodziła strajkami we wszystkich polskich ośrodkach przemysłowych pod panowaniem caratu. *Organizacja Bojowa PPS* prowadziła doskonale rozwiniętą akcję zamachową. Nieocenioną rolę w rewolucji odegrało Koło Obrońców Politycznych. Młodzi adwokaci: Stanisław Patek, Eugeniusz Śmiarowski, Leon Berenson i Wacław Szymański do końca, zwykle bezinteresownie, bronili oskarżonych bojowców.

Rewolucja 1905 pochłonęła życie tysięcy robotników na terenie całego zaboru rosyjskiego i spustoszyła boleśnie szeregi PPS.

1. Stefan Żeromski, *Nagi bruk. 60 lat PPS*, Londyn, 1952, s. 26-27.

Józef Montwiłł-Mirecki, robotnicy: Henryk Władysław Baron, Hipolit Kopiś i Stefan Okrzeja z godnością oddali życie na stokach cytadeli.

W 1907 roku, na dziesiątym zjeździe PPS, odbytym w Wiedniu, uchwalono drugi program partyjny. Ten nowy program był koniecznością, albowiem z końcem 1905 roku nastąpił rozłam w PPS na PPS-Lewicę i PPS-Frakcję Rewolucyjną, która opowiedziała się za niepodległością i zjednoczeniem ziem polskich pod zaborami. PPS-Lewica odrzuciła postulat niepodległości a później, pod koniec grudnia 1918 roku, połączyła się z SDKPiL w jedną partię pod nazwą Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (KPRP).

O tym, że PPS miała niezwykle dobre wyczucie międzynarodowej sytuacji politycznej i zbliżającej się wojny, świadczy powołanie do życia dwóch organizacji wojskowych, tworzących podstawę przyszłych walk o niepodległość: *Związku Walki Czynnej* na czele z Kazimierzem Sosnkowskim i *Związku Strzeleckiego* pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. Faktem zupełnie pomijanym przez wielu historyków jest ideowe powiązanie PPS z obydwoma tymi organizacjami. Oficerowie ZWC i wyżsi oficerowie Związku Strzeleckiego składali przysięgę, że uznawać będą tylko taki rząd, który uzna PPS.

Polscy socjaliści tworzyli trzon polskich organizacji wojskowych w przeddzień wybuchu I wojny światowej, w czasie której z poświęceniem walczyli w Legionach i POW. W pierwszych dniach wolności PPS-owcy wraz z milicją robotniczą i polskim wojskiem rozbrajali resztki wojsk zaborczych.

7 listopada 1918 roku w Lublinie powstał rząd oparty o demokratyczne stronnictwa polskie, z Ignacym Daszyńskim jako premierem. Rząd ten chciał budować państwo o zasadach demokracji parlamentarnej i całkowicie odrzucał sowiecką dyktaturę proletariatu. Manifest Rządu Lubelskiego ogłosił całkowite równouprawnienie wszystkich obywateli, swobody polityczne i osobiste z wolnością strajku włącznie. Zapowiadał też wniesienie na sejm ustawodawczy projektów ustaw o wywłaszczeniu wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddaniu ziemi w ręce ludu pracującego, o ochronie pracy, wreszcie o powszechnym i bezpłatnym nauczaniu szkolnym.

W czasie obrad pierwszego sejmiku PPS żądała jednoizbowego parlamentu i głosowała przeciwko konstytucji, uważając ją za zbyt centrową. Ogromnymi zasługami PPS z tego okresu było przeprowadzenie ustawodawstwa robotniczego — 8-godzinnego dnia pracy i ustawodawstwa społecznego — ustawy o ubezpieczeniach społecznych, która należała do najbardziej postępowych w ówczesnej Europie.

W 1920 roku, gdy wojska bolszewickie zagroziły samej nie-

podległości kraju, PPS wezwała masy pracujące do stawienia czoła wrogowi. Rząd Obrony Narodowej Wincentego Witosa i Ignacego Daszyńskiego spełnił swoje zadanie historyczne. Warto wspomnieć, że w bitwie nad Wisłą, w sierpniu 1920 roku poległ jedyny poseł, Aleksander Napiórkowski — socjalista — poseł na sejm z robotniczej Łodzi.

W okresie międzywojennym PPS przyszło toczyć walkę z obozem sanacyjnym i prawicą w obronie demokracji i sprawiedliwości społecznej.

Partia cieszyła się ogromnym autorytetem wśród klasy robotniczej i inteligencji. PPS opierała swój program na sojuszu 'myśli i pracy'. Działalność PPS nie ograniczała się tylko do walki politycznej. Dzięki wpływom partii kultura robotnicza rosła z każdym rokiem. Najdobitniejszym tego dowodem jest powstanie na znak protestu po zabiciu prezydenta Narutowicza *Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego*, tworzonego przez samych robotników i dla robotników. Do nieocenionych przywódców Tur-u należał Kazimierz Czapiński, zamordowany przez Niemców w czasie okupacji.

Drugą taką organizacją, która szerzyła oświatę w środowisku robotniczym było *Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci*.

Koncepcji kulturowej PPS przyświecały idee praw człowieka i obywatela, wolności nauki, myśli i sztuki.

Polscy socjaliści stali na stanowisku współpracy z socjalistycznymi partiami mniejszości narodowych. W wielu radach miejskich PPSowcy wraz z przedstawicielami mniejszości narodowych tworzyli wspólne kluby członków rady.

Polscy socjaliści stali na stanowisku współpracy z socjalistycznymi partiami mniejszości narodowych. W wielu radach miejskich PPSowcy wraz z przedstawicielami mniejszości narodowych tworzyli wspólne kluby członków rady.

Naturalnie w PPS jak w każdej partii byli ludzie, dla których mandaty i stołki były celem samym w sobie. Na szczęście ludzie ci wśród działaczy i przywódców stanowili nieliczną grupę. Należy podkreślić, że pomimo najrozmaitszych rozłamów i trudności, stosunki w partii pomiędzy górą a dołem były niezwykle. Atmosfera, jaka panowała w PPS, opierała się na życzliwości i przyjaźni pomiędzy robotnikami i inteligencją.

W służbie PPS nie tylko działali bojowcy i politycy, ale także pisarze i poeci. Stefan Żeromski i Andrzej Strug, „ludzie idei i konfliktu”, stali się symbolem tradycji ideowej PPS. Do twórców liryki powstałej z ducha socjalizmu należeli: Maria Markowska, Gustaw Daniłowski i Wacław Sieroszewski. W latach międzywojennych największą popularnością na zebraniach i wiecach partyjnych cieszyły się wiersze Konopnickiej i Kasprowicza, „Palenie kawy” Antoniego Słonimskiego i utwór Edwarda

Szymańskiego poświęcony pamięci Ignacego Daszyńskiego.

Z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej partia brała czynny udział w walce z najazdem hitlerowskim. Jej członkowie stanęli w szeregach Brygady Robotniczej Obrony Warszawy i Czerwonych Kosynierów w Gdyni. W walkach o obronę stolicy udziału również wzięły Bataliony Bundowskie sprowadzone z Łodzi przez Samuela Zygielbojma.

Już w pierwszych dniach okupacji niemiecko-sowieckiej PPS przystąpiła do utworzenia tajnych struktur pod nazwą Ruch Mas Pracujących Miast i Wsi — Wolność-Równość-Niepodległość, na czele z Tomaszem Arciszewskim, Kazimierzem Pużakiem — przyszłym prezesem Rządu Jedności Narodowej, Mieczysławem Niedziałkowskim i Zygmuntem Zarembą. Z polecenia Pużaka Adam Ciołkosz przedostał się za granicę, aby tam pełnić funkcję pełnomocnika PPS-WRN.

Jednym z ważnych rozłamów politycznych wewnątrz PPS, w czasie gdy Rosja stała się sojusznikiem Anglii i Ameryki, była sprawa Paktu generała Sikorskiego i ministra Majskiego, regulująca sprawy polsko-rosyjskie. W przeciwieństwie do emigracyjnego rządu i zagranicznego Komitetu PPS, krajowa PPS-WRN opowiedziała się przeciwko brzmieniu paktu Sikorski-Majski, uważając, że pakt ten „nie gwarantuje całości Rzeczypospolitej i nie rozwiązuje najważniejszych spraw stanowiących treść stosunków polsko-radzieckich”.

PPS-WRN była jedną z głównych sił tworzących polskie Państwo Podziemne i Armię Krajową. Pod koniec wojny emigracyjny rząd na czele z socjalistą Tomaszem Arciszewskim potępił decyzje konferencji jałtańskiej i tym protestem spełnił swe historyczne zadanie.

Tak zwane wywołanie Polski przez Armię Czerwoną spowodowało rozbitcie PPS-WRN. Sponsorowana przez sowieckie władze PPS koncesjonowana — na czele z Osóbką, Cyrankiewiczem i Szwalbem, renegatami socjalizmu — była sztucznym tworem, nie mającym z PPS-WRN nic wspólnego. Ale należy zaznaczyć, że do jej szeregów weszło tysiące polskich socjalistów, którzy wierzyli, że uda im się utworzyć opozycję przeciwko PPR. Komunistyczne władze w okrutny sposób rozprawiły się z polską opozycją polityczną, w tym członkami PPS-WRN, którzy ginęli w sowieckich więzieniach Moskwy, Mokotowa, Rawicza i Wronek. Proces WRN, odbyty w Warszawie w 1948 roku, w wyniku którego zginęli Kazimierz Pużak, Antoni Zdąnowski i Józef Dziegielewski, jest jedną z największych hańb nowego komunistycznego reżimu.

Po wojnie PPS w swym tradycyjnym, niezawisłym kształcie przetrwała jedynie na emigracji. Przewodzili jej Adam Ciołkosz i Zygmunt Zaremba. Dojście Gomułki do władzy w Polsce i

wiara w jego reformy wywołała wśród części PPS z Zygmuntem Zarembą na czele poważny rozłam. Zwolennicy Zaremby uznali, że jest to moment, kiedy PPS powinna porzucić politykę jedności narodowej i uznawania legalizmu rządowego. Ugrupowaniu temu przeciwstawili się PPSowcy z Adamem Ciołkoszem na czele. Rozłam ten trwał około dwudziestu lat i zakończył się zjednoczeniem partii. Krok ten został zrobiony świadomie, po to aby ułatwić powołanie do życia PPS w kraju.

Dzięki narodzinom Solidarności możliwe było odrodzenie PPS krajowego, co nastąpiło w Warszawie w listopadzie 1987 roku pod przewodnictwem niedawno zmarłego Jana Józefa Lipskiego. Kolejnym etapem na drodze konsolidacji partii było zjednoczenie struktur krajowych i PPS emigracyjnej jesienią 1990 roku na 25-tym Kongresie PPS.

Program PPS uchwalony na tym Kongresie wytycza nowe zadania i kierunki rozwoju partii. Wskazuje, jak trudna i poważna rola stoi przed PPS w obecnym czasie. Narodziny Solidarności zapoczątkowały proces rewolucji demokratycznej, który w wyniku późniejszych politycznych wydarzeń został zahamowany. Obecnie narzucony społeczeństwu model przemian politycznych i gospodarczych bardzo często stoi w sprzeczności z hasłami z okresu walki o Solidarność.

PPS jako partia, która zawsze stała na straży godności i honoru polskiego robotnika, z niepokojem obserwuje obniżający się poziom życia mas robotniczych. Przeszłością i siłą PPS byli robotnicy i partia nadal chce się opierać na masach pracujących. PPS uważa, że tworzenie nowych grup inteligenckich jako grup socjalistycznych jest w dzisiejszych czasach nierealne. Dla PPSowskich działaczy obecne konflikty robotniczo-inteligenckie są zupełnie niezrozumiałe i świadczyć tylko mogą o komunistycznym spadku.

W bezładzie, jaki powstał po obaleniu reżimu komunistycznego we wszystkich krajach Europy Środkowej i Wschodniej postępuje przerażający wzrost nacjonalizmu. PPS stawia sobie za cel walkę z wszelkimi przejawami rasizmu, szowinizmu i ksenofobii, bez względu na to, czy źródłem jest postkomunistyczny sposób myślenia, czy kołtuństwo nacjonalistycznej prawicy polskiej.

Partia popiera ścisłą współpracę pomiędzy krajami europejskimi. Przedwcześnie zmarły Jan Józef Lipski w ostatnim swoim artykule *My, polscy socjaliści*, tak określił założenia PPS, dotyczące kształtowania nowych stosunków międzynarodowych w Europie:

„I na koniec czwarte zadanie, stojące przed Polską: wejście do Wspólnoty Europejskiej. Nie jest to problem uboczny, lecz zasadniczy, który ma wiele aspektów. Warto wyliczyć przynajmniej najważniejsze. Po pierwsze — wspólna Europa stanowi regionalny układ bezpieczeństwa zbiorowego, którym jesteśmy szczególnie zainteresowani, gdyż szczególnie przez historię

doświadczeni. Również kolosalną wagę ma polska świadomość kulturowa, która w związkach z Europą zachodnią upatruje istotną cechę naszej tożsamości.

To wszystko musi pociągnąć daleko idącą przebudowę mentalności dużej części polskiego społeczeństwa...

Polska Partia Socjalistyczna zdecydowana jest brać istotny udział w procesie wchodzenia naszej ojczyzny do ojczyzny ojczyzn, Europy”.

Partia opowiada się za jednoizbowym parlamentem i za proporcjonalną ordynacją wyborczą z progiem. PPS popiera wielosektorowy system gospodarki rynkowej, w którym własność grupowa — spółdzielcza i samorządowa — odgrywać będzie znaczącą rolę. Powrót do gospodarki opartej wyłącznie na zasadach kapitalizmu PPS uważa za szkodliwy dla społeczeństwa i niemożliwy w obecnych warunkach gospodarki światowej. Należy podkreślić, że formy gospodarki mieszanej zdobywają coraz więcej zwolenników zarówno wśród krajów wysoce rozwiniętych, jak i krajów ubogich. Bliska PPS jest koncepcja państwa opiekuńczego, które chroniłoby interes obywatela i społeczeństwa.

Naporowi prawicy w obecnym życiu politycznym może się przeciwstawić jedynie silna, solidarna lewica z wykluczeniem partii postkomunistycznych, z którymi jakkolwiek współpraca organizacyjna jest niemożliwa. PPS widzi w rozbijaniu politycznym polskiej lewicy ogromne niebezpieczeństwo dla rozwoju demokracji w kraju. Żadne zmiany dążące do wykreślenia słowa socjalizm — powołując się na jego szpetność i niestrawność — ze współczesnej sceny politycznej kraju nie przyniosą pozytywnych zmian w łonie polskiej lewicy. Jak słusznie zauważył Gustaw Herling-Grudziński w polemice ze Ryszardem Bugajem<sup>2</sup> — nie wyrzuca się na strych stuletniego sztandaru dorobku ruchu Limanowskiego, Piłsudskiego, Perla, Daszyńskiego, Arciszewskiego, Pużaka, Ciołkoszów”. Należy również pamiętać, że PPS pomimo wewnętrznych rozłamów w ciągu stuletniego istnienia krzewiła tradycję, która okazała się niezbędna dla polskiej państwowości.

PPS stoi na stanowisku, że polska lewica wyrosła z idei socjalizmu powinna działać jako solidarna i zjednoczona organizacja. We wspólnej walce o demokrację należy jednoczyć, a nie rozbijać starsze i młodsze pokolenia lewicy, robotników i inteligencję.

Choć PPS nie może w decydujący sposób wpłynąć na dzisiejszy bieg wydarzeń w kraju, jest rzeczą niewątpliwą, że masy robotnicze uznają za swój jej program i że PPS odzyska pozycję i wpływy godne jej wielkiej wolnościowej i demokratycznej tradycji.

Lidia CIOŁKOSZOWA

2. Gustaw Herling-Grudziński, „Oprzytomnienie”, *Rzeczpospolita*, 22. 9. 1992.

## Mała Youko i groźny celnik

Być może największe wrażenie w Japonii zrobiła na mnie szybkość, z jaką zostałem okradziony. Zbliżałem się do tego kraju zaindoktrynowany długim okresem studiów, rozważań i lektury, pełen utrwalonych obrazów i sztanc pojęciowych, jak przystało na człowieka z kraju, w którym japoński fenomen budził ulotne, choć namiętne nadzieje zrodzone w Priwislanskim Kraju fajerwerkiem Cuszimy i dalekowschodnią misją Piłsudskiego, a odgrzane wiele lat później sarmackim zawołaniem drugiej Japonii. Korzystnym zbiegiem okoliczności Japonka, która w samolocie zajmowała sąsiednie miejsce, mówiła biegle po francusku. Dziewczyna była bardzo zbuntowana przeciwko obyczajom swoich ziomków. Jest Pan w głębokim błędzie, mówiła, oczekując od nas impulsu kulturowego na dużą skalę. My umiemy jedynie pracować, a i to w grupie. Japończyk pozostawiony sam sobie traci wszystkie swe zalety, staje się nieskończenie bezradny. Górę bierze wówczas pragnienie ucieczki od odpowiedzialności, wtopienie się w większą całość, gdzie jego rola zostanie mu szczegółowo określona. To jest powodem, że u nas nigdy niczego nie wymyślono — natomiast doskonale udają się nam naśladownictwa. Proszę się nie martwić intensywną pracą i krótkim odpoczynkiem moich rodaków. Gdyby wprowadzono u nas miesięczne urlopy, po paru dniach część wróciłaby do pracy, a reszcie pozostałoby chyba tylko harakiri. Dotyczy to również młodych. Wprowadzenie wolnych sobót w szkołach niczego nie zmienia, ponieważ większość uczniów natychmiast zapisuje się na seminaria i szkolenia. To naród posłusznych termitów... *Mademoiselle*, wtrąciłem, a czy u was kradną? Nie wziąłem w podróż *travellers cheques*, tylko gotówkę... A, to co innego, rozjaśniło się skośnookie stworzenie, nikt Panu niczego nie ruszy. Niedawno moi znajomi, zwiedzając Paryż, wstąpili do MacDonald'sa i celem zajęcia stolika zostawili

na nim portfele i torebki, po czym udali się do kolejki; oczywiście już ich nie zobaczyli. Nie namawiam Pana na odtwarzanie ich doświadczenia we Francji, ale wyjaśnia to wiele z obyczajów panujących w Japonii.

Zasobny w informacje już na lotnisku wyjąłem z torby miešek z biletem na przejazd do hotelu i wetknąłem do bocznej kieszeni marynarki. Zniknął w sekundzie, w mgnieniu oka, nie zdążyłem zrobić ruchu, a już go nie było. *Mademoiselle*, zwróciłem się zatem do towarzyszkii podróży, *j'ai une question à vous poser*. Gdzie mogę kupić bilet na przejazd do hotelu? Zaraz Panu powiem — powiedziało stworzenie i przerwało na moment, bo właśnie zbliżaliśmy się do budki celnika. Przeszła barierki bez kłopotu i zatrzymała się, oczekując na koniec moich formalności. Pan w jakim celu? — zapytał celnik bez szczególnych ceregieli. Spojrzałem w dół: jego twarz wydawała mi się dość nieprzyjazna. *Me... conference on ferrites...* Celnik wybałuszył oczy i zeszytniał, na co dziewczyna zrobiła krok w naszą stronę, najwyraźniej pragnąc służyć za tłumacza. Precz! — urzędnik wystrzelił palcem w przeciwnym kierunku, z ust jak w komiksie wypłynął mu gwałtowny strumień rozcapirzonych krzaczków. Japonka zawirowała, odchyliła się do tyłu jak pod silnym podmuchem tajfuna i zniknęła. Już jej nie odnalazłem, gdy wreszcie celnik wypuścił z rąk moje skarpetki, koszule i konferencyjne wykresy.

To zbieg okoliczności, rozmyślałem unoszony ekspresem Narita-Tokyo Station. Przez okno wpływały fale słonecznego ciepła, przysłanianego od czasu do czasu konturami pagórków z ciemnozieloną, gęstą roślinnością o drobnych liściach, znaną z filmów i sztychów. Po chwili pociąg wpadł w gęstwinę chaotycznie pobudowanych domków jednorodzinnych o dachach w kolorze lapis lazuli. Domki rychło ustąpiły miejsca osiedlowym mrówkowcom, pokrytym spływającą z góry do dołu mozaiką suszącej się pościeli; widocznie mieszkańcy korzystali z przejaśnienia. — Przypadek był dwojakiego rodzaju: po pierwsze na lotnisku otoczony byłem podróżnymi z mojego Boeinga, wśród których część stanowili Europejczycy, być może jeden z nich gwizdnął mi bilet. Z kolei trudno brać przypadek celnika za typowy. Z iloma Japończykami miałem w Paryżu do czynienia, wszyscy byli uderzająco uprzejmi, a dwie Japonki przerwały nawet fotografowanie Notre Dame, by grzecznie poprosić mnie o pozwolenie zrobienia kilku zdjęć mojemu synowi.

W istocie uczciwość i uprzejmość Japończyków rzuciły mi się w oczy przez cały okres pobytu, aż do ostatniego zakupu przed odlotem, kiedy zdezorientowana ekspedientka gnała za mną przez pół lotniska, by oddać poniechanego przeze mnie jednego yena. Incydent z ukradzionym biletem, przy całej swej

przypadkowości, symbolizować może nową sytuację tego narodu, który już nie żyje w odosobnieniu. Nadal zadziwia on odrębnością i wewnętrzną siłą — ale obecność obcych rozsądza tradycję i silnie zmienia jego obraz.

Najlepiej widać to w dziedzinie rozrywek i sportu. Z dwunastu kanałów tokijskiej telewizji kilka naraz może transmitować imprezy przejęte skądinąd. O ile *sumo* uznaje się za sport narodowy, to największą popularnością cieszy się *baseball*, a potem chyba piłka nożna i golf. Uniwersalizm zachodnich gier w szczególny sposób zresztą uwypukla odrębność Japończyków; ich futbol jest dobry technicznie i efektowny od strony taktyki, gdzie wirtuozeria sportowców podporządkowana jest zbiorowemu celowi — ale notując wrzucone na kadr obrazu dane wyróżniających się uczestników, na przykład 164 cm i 62 kg, łatwo uzmysłowić sobie lokalny zakres ich sportowego wysiłku.

Obserwowałem Japończyków z dużym zaangażowaniem, podglądałem ich gdzie się dało, z ciekawością Europejczyka, którego dręczy pytanie — jak oni to robią, drobni mieszkańcy przeludnionego, peryferyjnego kraju, pozbawionego bogactw mineralnych i przemysłowej tradycji, przed laty bezapelacyjnie zwyciężeni i nadal politycznie uzależnieni od Stanów — którym dziś dyktują swoje prawa.

Zaradność Japończyków wydaje się rozpięta pomiędzy instynktem zapobiegliwości i ćwiczeniem stoicyzmu w obliczu katastrofy. Zamknięty w maleńkim pokoju hotelowym podziwiałem porządek przedmiotów bez wytchnienia układanych przez pokojówkę aż do najmniejszego szczegółu. Rolka papieru toaletowego na przykład nieodmiennie zachęcała pracowicie złożonym końcem w kształcie trójkąta, co nadzwyczaj ułatwia łapczywe uchwycenie go w chwili potrzeby. Celem zaś pełnego rozluźnienia wystarczyło przeczytać instrukcje dla gości hotelowych, gdzie informowano, że w razie silnego trzęsienia ziemi należy zachować spokój i oczekiwać na dalsze instrukcje.

Opanowanie, dyscyplina i celowo zamierzony wysiłek: taka postawa jest dla Japończyka w pełni zrozumiała, ponieważ udowodniła swą przydatność w życiu wszystkich pokoleń. Od tysiącleci skuteczna uprawa ziemi uzależniona była od zgodnych wysiłków, podporządkowanych centralnej woli. Deszcze są tam wprowadzane częste i rzeki obfite w wodę, ale ich krótkie koryta prowadzą szybkie nurty do morza nie zatrzymując biegu w wolnych rozlewiskach, które ułatwiłyby zagospodarowanie pól ryżowych; w rezultacie Japończycy od zawsze rozwijać musieli skomplikowane systemy hydrauliczne dla potrzeb rolnictwa. Wymagało to silnej więzi pomiędzy mieszkańcami i hierarchicznego układu społecznego.



## HISTORIA

Japonia jako organizacja państwowa wyłoniła się z dziejowych mroków przed paroma tysiącami lat, kiedy, jak się zdaje, Korea i wyspy archipelagu tworzyły jedno królestwo. Około piętego wieku naszej ery nawiązany został kontakt z Państwem Środka. W tym okresie z Korei i Chin przeszczepiona została religia buddyjska, a także zapoczątkowana urbanizacja kraju, oparta o model miast chińskich. Cywilizacyjna rola Chin przypomina trochę tę, jaką w średniowieczu odegrały kraje niemieckie w stosunku do Polski, poprzez upowszechnienie magdeburskiego prawa miejskiego, wsparcie i rozwój struktury Kościoła oraz patronat niemieckich cesarzy.

Japonia przejęła także chińskie pismo, upraszczając jego system z dziesięciu tysięcy znaków do dwu tysięcy. Około XI wieku rozwinięto ponadto pismo sylabiczne, początkowo przewidziane dla potrzeb kobiet; skoro już pozwolono tym istotom kształcić się, to i dostarczono stosowny instrument poznania, złożony z pięćdziesięciu znaków. Stało się to punktem wyjścia dla rozwoju literatury i świadomości narodowej. Wreszcie w XX wieku rozwinął się trzeci system języka i pisma, poprzez asymilację wyrazów obcych, głównie amerykańskich: na przykład wyraz „rower” określony jest przez amerykański odpowiednik *bike* (wym.: bajk), do którego dołączono lokalną partykułę „u”, w sumie *bajku*. Do dziś w użyciu są wszystkie trzy systemy.

Państwo feudalne okrzepło około 1160 roku, na jego czele stanął szogun; cesarz pełnił rolę czysto figuracyjną. W tym okresie przeniknęła z Chin nowa sekta buddyjska zen, szybko zyskując wpływy wśród samurajów. W XIII wieku Japonia uniknęła inwazji mongolskiej dzięki boskiemu wiatrowi kamikaze, który rozproszył flotę najeźdźców. W wiele lat później pamięć tego wydarzenia stanowić będzie inspirację samobójczych akcji pilotów cesarskich.

Trzy stulecia od XIV do XVI w. to czas wojen klanowych i krwawych walk o władzę centralną, przedzielanych okresami spokoju, który sprzyjał nasilaniu się stosunków handlowych z Azją, głównie Chinami. Zbrojna ekspansja kierowała się wyłącznie w kierunku Korei i była nieskuteczna; po jednej z nieudanych prób władzę objął w roku 1615 nowy szogun Tokugawa, dając początek dynastii trwającej dwa i pół wieku. Był to okres stabilności i rozwoju gospodarczego, osiągniętego w warunkach izolacji kraju od zagranicy.

Zamknięcie zadekretowano w pierwszej połowie siedemnastego wieku, rozpoczynając ją od fali prześladowań milionowej wówczas rzeszy chrześcijan. Wydarzenia te zwykle uchodzą za

ilustrację japońskiej ksenofobii. Cóż jednak mieli robić szoguni, obserwując błyskawiczny rozwój misji u siebie i rozważając katastrofę środkowej i południowej Ameryki, poddanej nienasyconym apetytom iberyjskich kolonizatorów, którym wiara posłużyła jako skuteczne alibi w procesie obracania w przynęę kwitnącej cywilizacji?

Izolację przerwał amerykański komandor Perry, który w roku 1853 wprowadził swe kanonierki do zatoki Edo (dziś Tokyo) i w imieniu prezydenta USA zażądał otwarcia kraju. Szogun zmuszony został do ustąpienia, natomiast cesarza zainstalowano w Edo, przekazując mu kluczową rolę w stabilizacji nowego reżimu, którego stał się zwińczeniem i symbolem podniesionym do boskiej rangi. Cesarz zajął się głównie pisaniem sonetów i pozostawił ich po sobie ponad sto tysięcy; przyjmując jednak boskie atrybuty ułatwił pracę wojskowym i politykom, dostarczając im skutecznej sankcji inspirującej zorganizowany wysiłek społeczeństwa wokół narodowych celów. Era Mejdzi przyniosła przyspieszony rozwój kraju, oparty o zapobiegliwą pracę mieszkańców oraz adaptację zachodnich technologii i import specjalistów. Pod koniec ubiegłego wieku stała się już Japonia wojskową potęgą i uderzyła na Chiny, odbierając im Tajwan; w 1905 roku pokonała z kolei Rosję, przejmując po zwycięstwie pod Cuszimą połowę Sachalinu oraz Port Artur, zaś w 1910 roku podbiła Koreę. W pierwszej wojnie światowej użyła kilka wysp na Pacyfiku oraz pewne przywileje handlowe w Chinach.

Imperializm Japończyków rozważać trzeba w świetle ogólnych tendencji tego okresu, kiedy kolonializm uchodził za rzecz normalną, a przy tym uzasadnioną moralnie. Japonia, podobnie jak Niemcy, spóźniła się do podziału planetarnego tortu i zrobiła wszystko, by to opóźnienie nadrobić. Dodatkowo wchodziły w grę czynniki specyficzne: z jednej strony dotkliwe braki surowcowe i przeludnienie kraju stanowiły silny bodziec podbojowy, zwłaszcza po kryzysie 1929 roku, a z drugiej ogarnięcie rozległych terenów Azji wschodniej i południowej miało charakter zapobiegawczy w stosunku do ekspansji białych w regionie, rozwijając się później w refleks rekonkwisty. Francuzi byli już przecież w Indochinach, Holendrzy w Indonezji, Anglicy w Indiach, na Cejlonie, w Australii, Nowej Zelandii, Gwinei, Samoa i Singapurze, między innymi, Amerykanie na Filipinach, w Chinach zaś byli wszyscy — ile czasu zatem pozostało Japończykom, zanim w ślad za uwerturą komandora Perry doszłoby do dalszych aktów zhołdowania archipelagu? Ufna w swe przeznaczenie Japonia kontynuowała więc podboje: w latach trzydziestych zajęła Mandżurię, potem francuskie Indochiny — i tak nadszedł czas ataku na Pearl Harbour i ogarnięcie basenu Pacyfiku.

Krwawe zmagania z Amerykanami zakończyły się hekatombą Hiroszimy i Nagasaki. Efektem wojny była kompletna ruina kraju. Po wojnie Amerykanie przeprowadzili demokratyzację systemu, w roku 1950 zaczął działać ustrój parlamentarny, inicjując zdumiewający rozwój kraju.

Dzisiejszy system polityczny Japonii oparty jest na czterech zasadach. Pierwszą jest symboliczna rola cesarza, obrazowo jednoczącego naród, lecz pozbawionego władzy, a zwłaszcza cech boskich. Drugą stanowi rezygnacja z wojny; siły zbrojne mają charakter lokalny i obronny, integralność kraju gwarantują Stany Zjednoczone. Trzecią zasadą, wyłonioną z praktyki politycznej raczej niż z założenia, jest trwałość rządów Partii Liberalno-Demokratycznej, która od czterdziestu lat rządzi krajem. Wreszcie czwartą stanowi decydująca w gospodarce i polityce rola aparatu biurokratycznego, który kontroluje wszystko i rozwija planowe strategie o długoterminowym zasięgu.

Powyższe zasady stanowią ramy systemu, który umożliwił skuteczne zagospodarowanie społeczeństwa podług jedyne go celu, jakim był — i chyba pozostaje — rozwój kraju, zmazanie śladów jego klęski i upokorzenia, a wreszcie nadanie mu światowej roli.

## JEDNOSTKA I SPOŁECZEŃSTWO W OBLICZU KATASTROFY

Najczęściej zarzuca się Japończykom niezdolność do innowacji. Być może jest to prawda — ale taki obraz wymaga uzupełnienia. Zaradność Japończyków odpowiada dokładnie zespołowi bodźców, z jakimi mają do czynienia. Kiedy mieszkańcom Okinawy szoguni zabronili noszenia broni, wynaleźli oni sztuki wojenne gołych dłoni, z pasją uprawiane odtąd na całym świecie. Przykład ten podkreśla wprawdzie pewną wyjątkowość refleksu wynalazczości u Japończyków, ale przyczyny tego stanu rzeczy mają głębokie podłoże kulturowe. Zachodnie innowacje są przejawem niezgody z naturą, chęci odizolowania się od niej, wytworzenia technologii, która usunie dyskomfort środowiska naturalnego. Postęp nadal jest u nas sztuką mnożenia protez. U Japończyków nie mamy do czynienia z buntem przeciw naturze, lecz przeciwnie — poszukiwaniem harmonii. Natura nadaje rytm całemu życiu człowieka, jej kreacje odzwierciedlają nieskończony zastęp bóstw, które obok kultu przodków porządkują kadr narodziń, istnienia i śmierci. Japońskie ogródki to miniaturowe majstersztyki kompozycji przestrzennej imitującej rozległe układy naturalnej flory; nikomu nie przyszłoby do głowy kształtować drzewa i krzewy podług geometrycznej estetyki francuskiej.

Japońskie domy mają kształt otwarty na zewnątrz, ku naturze, ich wygięte dachy, ruchome ściany i wrosnięte w otoczenie zabudowania integrują Japończyka ze środowiskiem, tak by każda jego czynność stanowiła podstawowy przejaw zgodnego pulsowania natury.

Tej natury, która żywi — lecz która potrafi zgotować zagładę. Nad archipelagiem dochodzi do zwarcia zimnych mas powietrza syberyjskiego i gorących podmuchów Pacyfiku, czego następstwem jest niestabilna i gwałtowna cyrkulacja w atmosferze; tajfuny pochłaniają tam dziesiątki tysięcy ofiar. W wyniku tytanicznych tarć płyty azjatyckiej z dnem Pacyfiku wyspy archipelagu rozciągane są na wszystkie strony i trzęsienia ziemi stanowią zwykłą rzeczywistość mieszkańców. Poddani bywają nawet następstwom wstrząsów w odległej Ameryce Południowej; ogromne fale wywołane przez trzęsienia w Chile zmiatają z powierzchni ziemi osiedla na wschodnim wybrzeżu Hokaido. Liczba wulkanów przekracza 200 i nawet święta góra Fudzi powinna na nowo przemówić, zdaniem wielu tuziemców. Wreszcie szczególna morfologia kraju, wypiętego ku niebu kręgosłupem gór przez całą długość terytorium, pokrytego w dwóch trzecich lasami, dramatyzuje wszystkie zmiany atmosferyczne, w efekcie czego każdy deszcz może zamienić się w potop, każdy opad śniegu w niszczącą zawieję, każda odwilż w masowy ruch lawin. Innymi słowy, Japonia wystawiona jest na wszystkie wielkie klęski przyrody, co stworzyło szczególną więź pomiędzy jej mieszkańcami.

Jak na ironię to właśnie u nich wypróbowano skuteczność broni masowej zagłady. Jedyne w ich dziejach akt kapitulacji 1945-go roku był ceną, jaką Japończycy musieli zapłacić za rozminięcie się z historią; zajęci przez kilka dziesięcioleci pościgiem technologicznym za przodującym Zachodem, nie zorientowali się w porę, że rozwój technologii, dostarczając środków dla realizacji starożytnych snów imperialnych, stworzył zarazem środowisko dla innego typu ekspansji, niż w postaci tradycyjnego zaboru terytorium. Japonia, od wieków źródło i zarazem owoc działania celowego, jedyny raz pomyliła się w wyborze celu i zapłaciła straszliwą, zbiorową cenę. Odtąd kompleks źle wybranego celu i pragnienie uniknięcia pomyłki leży u podstaw całego wysiłku Japończyków, których życie pulsuje według strategii marketingu i długofalowych planów gospodarczych i politycznych.

## NOWE ROLE

Wielkość kultury japońskiej trzeba mierzyć kryteriami odpowiadającymi jej specyfice, a nie tymi, które sprawdzają się

w historii Zachodu. Klimat, morfologia kraju i wreszcie polityka niezmiennie narzucają Japończykom imperatyw zbiorowego wysiłku, pod sankcją grożącej ze wszystkich stron katastrofy. Dziś ten przeludniony, mały kraj o słabym zapleczu surowcowym i peryferyjnym położeniu wyrósł na jeden z biegunów cywilizacji nadchodzącego stulecia, osiągając swe cele w drodze świadomej ascezy, nienaganej dyscypliny społecznej i długofalowego sojuszu kapitału i polityki. Wyniosła dydaktyka przejawiana w stosunku do japońskiego instynktu grupowego i redukcji indywidualizmu to zwykły przejaw zachodniej niedoinformowanej aragancji.

Totalna klęska Japończyków uzmysłowiła im granice własnych możliwości; w odróżnieniu od Amerykanów nie dysponują oni nieskończonymi zasobami, nie posiadają też nieograniczonego terytorium, jak Rosjanie, ani nieprzeliczonej ludności, jak Chińczycy. Świadomość tego ułatwiła zerwanie z tradycyjnym militarystycznym, wprowadzenie demokracji i powojenny rozwój gospodarki.

Japoński spektakl zadziwia dziś w wielu dziedzinach i niekiedy przysyłania złożone problemy Kraju Kwitnącej Wiśni. Niepokój wielu Japończyków wywołują problemy społeczne tej gigantycznej maszyny do wytwarzania dóbr, ale także i ekonomia kraju wykazuje wiele słabych punktów. Gospodarka nastawiona na eksport wykształciła system o słabo, poza produkcją, rozwiniętej infrastrukturze, w następstwie czego jest ona dwójako wrażliwa: na zakłócenia światowego rynku i na wewnętrzne kryzysy, które z trudnością złagodzić by mogła wąska marża ogólnej objętości wewnętrznego spożycia. Jednym z problemów jest blokada światowego kapitału, wywołana niewypłacalnością dłużników, co nakłonić może Japonię do niekonwencjonalnych inicjatyw finansowych. W aspekcie międzynarodowym słabość jej sił zbrojnych i rola amerykańskiego patronatu pozbawia ją znaczenia politycznego odpowiadającego ciężarowi gospodarczemu kraju. Mimo wędzidla powojennego układu Japonia bynajmniej nie próżnuje także i w tej dziedzinie, i dziś posiada najlepiej w regionie uzbrojoną i wytrenowaną armię, która stale wywołuje kontrowersje wokół swego teoretycznie czysto obronnego charakteru. Skądinąd poziom technologii, zwłaszcza opto-elektroniki, oraz stan zaawansowania energetyki nuklearnej najprawdopodobniej umożliwiłby im szybką konstrukcję broni atomowej; innymi słowy, nie różni się ona wiele od innych pokój miłujących potęg gospodarczych. Japonia, gospodarczy i finansowy gigant, nie chce więcej pełnić roli politycznego karła i możemy oczekiwać spektakularnych inicjatyw, głównie gospodarczych i finansowych, ale w przypadku kryzysu na większą skalę także i wojskowych.

O ile intencje neo-imperialnej Japonii wydają się dość przejrzyste, to mniej jasny jest zasięg i kierunek zmian w samym społeczeństwie, w którym rozwija się proces krytycznej, choć niezbyt powszechnej introspekcji. Dla wielu skleroza obyczajów i struktur wydaje się bliska punktu krytycznego. System wychowania, zaprogramowany po wojnie jako wylęgarnia demokracji, poddał się ciśnieniu tradycji i stanowi dziś podstawę nacjonalizmu i instynktu korporacyjnego, ze szkodą dla rozwoju osoby i rodziny. Priorytet pracy i interesów firmy wykształcił społeczeństwa ludzi samotnych, o rozbitych rodzinach i horyzontach życiowych zwięzłych do okresu i problematyki pracy zawodowej. Stabilność polityczna przejawiająca się nieprzerwaną władzą jednej partii zapobiegła rozwojowi obyczajów demokratycznych w terenie i właściwie stanowi podstawową przeszkodę rozwoju demokracji, której podstawową wartością jest w końcu syndrom zmiany. Sztywna i niezmienna piramida polityczna uniemożliwia wytworzenie rzeczywistej zaradności zbiorowej tak w odniesieniu do lokalnych bolączek, jak i na wypadek zakłóceń na skalę regionu i planety, jakich nie powinno szczędzić nadchodzące stulecie.

Wreszcie w dziedzinie kultury Japończycy mogą sobie zadać wiele pytań. Inwazja anglosaskiego sportu, który nie dość, że ma obcy rodowód, to na dodatek z przyczyn naturalnych uniemożliwia Japończykom sukcesy zagraniczne; wszechobecność zachodniej muzyki, bynajmniej nie tylko rocka\*; filmy zachodnie, książki zachodnie, moda zachodnia... Wszystko to nie znajduje odpowiednika w obecności japońskiej kultury na zewnątrz, a przecież jest ona niesłychanie bogata, o dowolnym stopniu sublimacji nastroju, zróżnicowania tematyki i różnorodności środków. W japońskiej sztuce znajdujemy zniewalające piękno, jakie wyparowało z merkantylnej twórczości Zachodu, japońska kultura jest źródłem społecznej harmonii i pokarmem egzystencjalnej nadziei, co otwiera przed nią uniwersalne horyzonty — a przecież i sztuka Japonii, i jej tradycyjna kultura są nieobecne na świecie i coraz bardziej ignorowane u siebie. Kraj, który nie produkuje dóbr spożywczych dla siebie, tylko na eksport, a przy tym nie eksportuje kultury, tylko asymiluje obcą, taki kraj widzi przed sobą niejasną przyszłość i może być skazany na ucieczkę w przód poprzez jakąś formę agresji. Mały, przeludniony

\* Japońskie kroniki wojenne ilustrowane bywały muzyką z Tetralogii Wagnera, jako tło współczesnej reklamy japońskich konserw usłyszałem fragmenty Mesjasza, a najczęściej wykonywanym większym utworem jest, jak się zdaje, IX symfonia Beethovena. Standard objętości płyt kompaktowych został tak określony przez firmę Sony, by Dziewiąta zmieściła się w jednym kawałku.

archipelag na dłuższą metę nie miałby szans w wynikającym stąd frontalnym zwarciu.

Dalszy rozwój Japonii zależy od głębokich przemian na wszystkich polach. Można im życzyć wszystkiego najlepszego, to fascynujący kraj i urokliwe społeczeństwo, z całą pewnością takie są Japonki. Jego dylemat ujawnił mi się w drobnym incydencie na lotnisku Narita, gdy absurdalny gniew urzędnika bez trudu wymiół wszystkie przekonania małej Japonki, wraz z nią samą zresztą. Wiele przesłanek nakazuje ostrożność w ocenie możliwości głębokich zmian już dzisiaj. Nawet technologiczne wyprzedzenie Stanów, co skromnie przyznała swej ojczyźnie moja zbuntowana towarzyszka podróży, nie wydaje się takie oczywiste. Do tego celu potęga rozdętych walorów finansowych i dyscyplina bezgranicznie oddanych przedsiębiorstwu *salarymen*\* nie wystarczy, potrzeba jeszcze iskry bożej, ruchliwego, a nie tylko dobrze wychowanego umysłu. Mała Youko odegrała przede mną spektakl, jak Japończyk w obliczu autorytetu ustępuje bez dyskusji; a przecież kreatywność Amerykanów polega dokładnie na tym, że taki nie spocznie, zanim stojącego mu na drodze autorytetu nie zakwestionuje. By zresztą natychmiast zmarnować część wynikających stąd korzyści, wobec braku właściwego Japończykom umiarkowania i instynktu zbiorowego.

Swoje prawa odcisnęła tu historia, która stawiała inne wymagania przed Amerykanami, a inne przed Japończykami. Dziś żąda od nich wymiany ról.

Paryz, 3.11.92

Robert KACZMAREK

\* Popularna nazwa japońskich techników i biurokratów.

## Wiersze

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

### UCZEN

Żyję w rozterce. Byłem uczniem Mistrza, ale  
Zabito Go. Wyzionął ducha łatwo, szybciej  
Niż wielu innych skazanych na taką  
Śmierć. Mówią, że konieczna była Jego śmierć.  
Jeśli tak, to nikt nie jest winien. Mówią też,  
Że powróci. Podobno widziano Go nawet  
Po śmierci, z trudem rozpoznano. Czyżby  
Tak się zmienił? A może to właśnie nas śmierć  
Jego zmieniła — na gorsze? A jeśli  
Ja sam widziałem Go — i nie poznałem?  
Wspominam różne twarze i sam siebie pytam:  
Która? Czy któraś z nich? Jeżeli wróci, nie chcę  
Go spotkać. Cóż Mu powiem? Wstyd zdusi me słowa.  
(Niemniej gdy wróci, ja umrę szczęśliwy.) Teraz  
Żyję sam, z dala od ludzi. Podobnie  
Jak moi dawni towarzysze, jeśli  
Wierzyć wieściom, co z rzadka mnie dochodzą. My  
Właśnie mieliśmy widzieć wypełnienie czasów.  
Pamiętam wszystko. Śmierć Jego haniebna! Nie chcę  
O niej myśleć. I myślę wciąż. Świat jest bezkształtem.  
Czy mój Mistrz był snem tylko? Jak mam teraz żyć?  
A jeśli — strach pomyśleć — nawet Boga nie ma?  
Niech będzie zapomniane moje imię. W wietrze  
Pustynnym słyszę śpiew żałobny, żdźbło wschodzące  
Ma już głęboką wiedzę o jesieni,  
Zachodzi słońce. Pytam: gdzie jest znak?  
Ziarno zwątpienia rodzi jak ziarno gorzycy.

## MY

Barbarzyńcy nie muszą nadchodzić: są tu,  
między nami, wystarczy rękę podać im,  
a wyrwą ją i z wrzaskiem zamachną nad głową.  
Barbarzyńcy mieszkają wśród nas, sami o tym  
nie wiedząc i nie mówiąc nikomu. Być może  
to ty, być może ja. Na pewno ty,  
na pewno ja. Wystarczy rękę podać nam.  
I każda nasza zbrodnia jest o ludzkiej twarzy.

*Adam Tadeusz BĄKOWSKI*

Zbigniew MACHEJ

## DROGA NA PÓŁNOC

Jechaliśmy na północ, nad morze,  
przez ziemię spieczonych ust i daremnego potu.  
Wokół pustynniały pola, płonęły lasy.  
Słońce obnażało popielate koryta rzek,  
kamienie na dnie białeły jak kości.  
Ręce kleiły się do kierownicy, asfalt  
do opon samochodu. Zmarszczone powietrze  
drgało z gorąca. Przed nami i za nami  
rozmywał się horyzont. Radio nadawało  
tylko wiadomości, reklamy i piosenki  
Michaela Jacksona. Już prawie wszędzie  
zwyciężyła demokracja, ale ludzie nie byli  
zadowoleni. Wygasty wielkie piece.  
Cysterny dowoziły wodę do miast. Benzyna  
znowu zdrożała. Odwaga, oczywiście, staniała.  
Urzędy cierpliwie przesłuchiwały  
obywateli. Lekarze odkrywali nowe, tajemnicze  
infekcje. Mrowiły się targowiska, kwitła  
korupcja, mnożyły się napady z bronią  
w rękę, opowiadano legendy o rozgrywkach  
mafijnych. Mistrzowie olimpijscy  
odpadali w pierwszej rundzie. Na stadionach  
uzdrawiali nowi mesjasze, śpiewały tłumy.

Chałupnicze proroctwa o bliskim końcu świata  
szerzyły się nie tylko wśród turystów.  
Komputerowe bałwochwalstwo konkurowało  
z satelitarnym zabobonem. Czarne ikony  
płakały czerwonymi łzami i myszy  
karmiły się naskórkim wiernych,  
którzy miauczeli w kościołach miauczeniem  
swoim nużąc Boga swego...

Jechaliśmy  
na północ. A na południu nie ustawały wojny,  
rozpadały się państwa.

Kiedy dojechaliśmy  
nad morze, sto żaglowców pod bezchmurnym  
niebem  
wplywało do zatoki i z lasu na brzeg  
wychodziły dziki,  
by chleptać, chleptać, chleptać  
słoną wodę.

(1992)

*Zbigniew MACHEJ*

Jerzy PIETRKIEWICZ

## DWA PRZEKŁADY Z HISZPAŃSKIEGO

W swoich pamiętnikach Luis Bunuel ogłosił nieznaną dotąd  
utwór andaluzyjskiego poety — przyjaciela. Była to dedykacja,  
którą Garcíá Lorca wpisał mu do ofiarowanej książki w 1929  
roku.

\* \* \*

Cielo azul  
Campo amarillo

Monte azul  
Campo amarillo

Por la llanura desierta  
Va caminando un olivo

Un solo  
Olivo.

\* \* \*

Blue sky  
Yellow field

Blue mountain  
Yellow field

Thought a deserted plain  
Walks an olive tree  
Walking

\* \* \*

Niebo niebieskie  
Pole żółte

Wzgórze niebieskie  
Pole żółte

Przez płaskie pustkowia  
Idzie sobie oliwne drzewo

Jedno jedyne  
Drzewo oliwne

Federico Garcíá LORCA

## Archiwum polityczne

### List z Londynu (26)

Siedem lat temu zakończył się tutaj strajk górników, który był wielkim zwycięstwem rządu konserwatystów i premier Margaret Thatcher. Jednocześnie była to klęska przywódcy górników, Arthura Scargilla, komunisty i demagoga, który otwarcie głosił, że dąży do przewrotu i zmiany ustroju Wielkiej Brytanii. On to poparł głośną wypowiedź ówczesnego prezydenta Związków Zawodowych, Ray Bucktona, który na zebraniu górników z takim apelem zwrócił się do ratujących jaki taki porządek policjantów: „Bracia, porzućcie tę pracę. Gdy my uchwycimy władzę, powierzmy wam ochronę naszych interesów we właściwy sposób, a nie w roli faszystów, jak wam się to nakazuje obecnie”.

Nie pomogły pieniądze przysłane przez górników z Zagłębia Donieckiego i z Libii, górnicy potracili tysiące funtów, domy, sklepy, 20 tysięcy przesunięto na wcześniejszą emeryturę, zamknięto wiele nierentownych kopalń, powstał konkurencyjny, nowy Związek Górników, dociągający do 30.000 członków. Scargill zmalował, zamilkł, zniknął z publicznej areny.

I oto ci sami konserwatyści, którzy go słusznie zdruzgotali, wbrew wszelkiej logice rzucili mu koło ratunkowe. Michael Heseltine, Minister Przemysłu i Handlu, bez żadnych uprzedzeń, bez uchwały całego gabinetu, ogłosił w Izbie Gmin, że z pozostałych 50 kopalń węgla 31 zostanie zamkniętych w najbliższych miesiącach, a 6 z nich zamknie się natychmiast. Są nierentowne, węgla nie można sprzedać, 30.000 górników straci pracę. Otrzymają odprawy, mniej więcej po £30.000 na głowę, rząd na to przeznaczą miliard funtów.

Po chwilowym oszołomieniu w całym kraju powstała ogromna wrzawa. Odkryto nowe źródła energii, głównie atomowej, na niej oparto wiele nowych elektrowni, dawniejsze poprzestawiały się na gaz, w kolejnictwie dawno już zapanowała elektryczność,

era węgla poczęła się kończyć, ale nikt nie oczekiwał tak gwałtownego i tak brutalnego uderzenia. Wszędzie, w parlamencie, w masowych środkach przekazu, na ulicach, w klubach, w partiach politycznych, także wśród konserwatystów, oczywiście w Związkach Zawodowych, rozległy się głosy słusznego oburzenia. Subsyduje się nierentowne rolnictwo, farmerom płaci się, by nie zasiewali, choć żyją dostatnio, a górnicze wioski, żyjące tylko z kopalń od tylu lat, jednym pociągnięciem skazuje się na śmierć. I na śmierć nagłą, bez ostrzeżenia, bez ratunku.

Nie jest to tylko problem górników i ich rodzin. Z nich, z ich dobrych zarobków, egzystują przecież także setki sklepów, firm urlopowych, wytwórni różnych towarów. To nie jest tylko problem 30 tysięcy górników, którzy tracą pracę, straci ją wiele tysięcy związanych z kopalniami innych ludzi.

Niewątpliwie era węgla się kończy, ale czy naprawdę tak gwałtownie? W Niemczech subsyduje się nierentowne kopalnie, ale się ich nie zamyka. Dlaczego? Bo nie wiadomo, co przyniesie jutro. Tu, w Londynie, zupełnie serio rozważa się powrót tramwajów, które usunięto prawie pół wieku temu, bo hamowały rozrost ulicznego ruchu.

By doprowadzić sprawę do pełnego absurdu, podano szczegóły związane z importem węgla z innych krajów, między innymi z Polski. Jest tańszy niż wydobywanie własnego, ale czy na pewno, gdy do jego ceny doda się miliardy wydane na odprawy i na długie lata rent dla bezrobotnych?

Protest prawie całego kraju odniósł skutek, rząd wycofał się z pochopnej decyzji, nie zamyka się żadnych kopalń, będą rozmowy i konsultacje, problem zostanie dokładnie przedyskutowany, ale Scargill, który był już skończony, nagle stał się bohaterem narodowym. Znowu jest na ekranach i na szpaltach pism, znowu grzmi jego głos. W Hyde Parku, mimo ulewy, zgromadził ponad 100.000 ludzi.

Prawda jest znana i oczywista. W roku 1900 Wielka Brytania eksportowała 100 milionów ton węgla i to był rekord światowy, w roku 1991 importowała 10 milionów. W roku 1947 w górnictwie pracowało 718.000 ludzi, w roku przyszłym, bez drastycznych zahamowań, zostanie ich zaledwie 16.000.

Demokracja to bardzo trudna i skomplikowana forma politycznego życia. Musi się mieć stabilny parlament z partią rządzącą i opozycją, ale jednak rządząca partia musi się zmieniać. Inaczej rodzą się horrendalne błędy.

W latach sześćdziesiątych istniały w Londynie cztery polskie duże zbiory biblioteczne: Biblioteka Polska, Centrala Bibliotek

Ruchomych, Biblioteka Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego oraz biblioteka *Polish Research Centre*. Dwie ostatnie utrzymywał Instytut, dwie pierwsze finansowały władze brytyjskie poprzez mieszany Komitet Biblioteczny, na którego czele stał Brytyjczyk, R.H.Hill. Istniejący już POSK zapewniał im lokal.

Władze brytyjskie sugerowały połączenie polskich zbiorów w jedną wielką całość i od tego uzależniały dalsze subsydia. Toczyły się rozmowy, interweniował Komitet Biblioteczny, do porozumienia oczywiście nie doszło i w roku 1967 subsydia zostały wycofane. Brytyjczycy byli formalnymi właścicielami Biblioteki Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych i chcieli podzielić zbiory pomiędzy kilka bibliotek uniwersyteckich. Wtedy jednak wystąpił POSK i oświadczył, że weźmie na siebie pełną odpowiedzialność za dalsze istnienie i prawidłowe działanie obydwu bibliotek. Jenocześnie Zjednoczenie Polskie powołało do życia Polską Radę Biblioteczną, na której czele stanął kochany człowiek, ppłk Stefan Zamoyski. To była wtedy najważniejsza polska tutejsza sprawa, grały temperamenty, krzyżowały się zarzuty, gromy ciskano na Brytyjczyków, którzy mieli jakoby z cynizmem dążyć do rozproszkowania polskich zbiorów. Byłem członkiem delegacji Rady Bibliotecznej, która rozmawiała z Departamentem Nauki i Wiedzy, i odniosłem wrażenie, że nasi pragmatyczni gospodarze po prostu nie wierzą, by pokłóceni Polacy byli zdolni do sensownego, wspólnego wysiłku.

Dla POSKu była to sytuacja wymarzona: miał wielu przeciwników, mógł teraz pokazać, że jest potrzebny, wprost niezastąpiony.

I nastąpiło zwycięstwo, dwa wielkie zbiory stały się polską własnością, a końcowy akt rozegrał się w Izbie Gmin, gdzie 22 czerwca 1967 roku zostało w tej sprawie złożone ministerialne oświadczenie.

Ale do połączenia bibliotek nie doszło. W roku 1974 POSK otworzył część zbudowanego przez siebie gmachu, trzy lata później, dnia 3 maja, organizowałem tam uroczyste otwarcie sal bibliotecznych, jednak bez zbiorów Instytutu im. gen. Sikorskiego, który już wchłonął księgozbiór *Polish Research Centre*.

I oto teraz, po wielu latach, gdy odeszło już wielu ludzi, którzy wtedy, choć w najlepszej wierze, nie potrafili się pogodzić, ma dojść do połączenia wszystkich polskich zbiorów. Biblioteka Polska w POSKu posiada nowoczesny lokal z klimatyzacją, z ruchomymi półkami i Instytut ma jej przekazać to, co posiada. A posiada b. wiele: 40.000 pozycji skatalogowanych, 60.000 jeszcze nie oraz wielkie zbiory prasy. Coś ma zatrzymać dla siebie, a olbrzymia reszta musi być przejrzana i Biblioteka przejmie to wszystko, co uzupełni i wzbogaci jej zbiory. Dub-

lety skieruje do Polski, a także do Wilna, gdzie głód polskiej książki jest olbrzymi.

Błędy popelnione wiele lat temu, za które obecne kierownictwo Instytutu nie jest odpowiedzialne, spowodowały teraz wielkie koszty, którym podołano z ostatnich rezerw. Budynek przy Pont Street, gdzie mieściła się biblioteka, został przed laty wypożyczony Instytutowi przez Lorda Cadogana na warunkach dzierżawy, choć bez załatwienia prawnych formalności. Ponad biblioteką znajdują się tam mieszkania, które Instytutowi przynosiły dochód, choć rentę dzierżawną trzeba było płacić. Z biegiem lat ta kalkulacja pogarszała się, bo renta rosła, a ochrona lokatorów nie pozwalała na podnoszenie czynszów. Ponadto budynek mieści się w drogiej dzielnicy, władze lokalne domagają się remontu, przynajmniej fasady, a to są sprawy bardzo kosztowne. Wreszcie dzierżawa kończy się w roku 2000 i wtedy trzeba oddać budynek w dobrym stanie, co także obciąża kieszeń użytkownika. Gdyby budynek wrócił do spadkobierców właściciela wiele lat temu, gdy toczyły się dyskusje o połączeniu bibliotek, ilość dzierżawnych lat podniosłaby jego wartość i Instytut, zamiast wydawać pieniądze na remonty, otrzymałby sporą ilość funtów. Tak się nie stało, budynek oddaje się dopiero teraz i remont kosztował około £200.000. Ponieważ pozostało jeszcze 8 lat dzierżawy, może uda się coś z tej sumy odzyskać, ale to są tylko supozycje. Przeniesienie biblioteki do „Veritasu” kosztowało ponad £50.000, przygotowanie sal £20.000, ruchome półki £26.000, przenosiny £10.000.

Instytut jest w bardzo trudnej sytuacji finansowej, ale podźwignie się, bo przyjdzie mu na ratunek Komitet Pomocy Uchodźcom, który dysponuje kapitałem ponad £500.000 i od wielu lat prowadzi dom dla starych ludzi, „Antokol”. Walne Zebranie Komitetu już przyznało Instytutowi £100.000, płaci mu od nich odsetki, a w niedalekiej przyszłości przeleje te funty na jego konto. Gdy ostatecznie odejdzie pokolenie, z którego pochodzą mieszkańcy „Antokolu”, Komitet przekaze cały swój majątek Instytutowi.

POSK przyjmie nowe zbiory i da Bibliotece nowe piętro, choć straci £50.000 rocznej renty, ale z tym liczone się od początku. Milionowy dług został spłacony i powierzchnia Biblioteki musi być powiększona. Przeniesienie książek z „Veritasu” wraz z półkami pochłonie £50.000, dodatkowy personel będzie kosztować £10.000 i to zamknie problem finansowy. Umowa z Instytutem powinna być zrealizowana do grudnia, a na wiosnę myśl zrodzona ponad dwadzieścia lat temu doczeka się szczęśliwego finału.

Czterdzieści lat temu dwóch młodych chłopców, 16-letni Christopher Craig i 19-letni analfabeta, Derek Bentley, już karany za przestępstwa, uzbrojeni w nóż i pistolet zaczęli się by dokonać włamania. Zaskoczyła ich policja, pistolet był w rękach Craiga, młodszego włamywacza, starszy krzyknął, „wal do niego”, padł strzał, jeden z policjantów został zabity.

Wtedy stosowano jeszcze karę śmierci, zabicie policjanta jest słusznie uważane za morderstwo wysokiego stopnia, groziła egzekucja przez powieszenie. Craig był za młody, znalazł się więc tylko w więzieniu dla nieletnich, skąd wypuszczono go w roku 1963. Bentley, jako współuczestnik zbrodni, zawisł na szubienicy. Jeden z policjantów słyszał jego okrzyk zachęcający do strzału, to świadectwo przesądziło o jego losie.

Teraz jego siostra wniosła sprawę o pośmiertne ulaskawienie, ale minister spraw wewnętrznych petycję tę odrzucił. Podniosły się głosy protestów, argumentowano, że już nie ma kary śmierci, że powieszono nie tego, który strzelał, że był on niedorozwinięty umysłowo, ale minister nie ustąpił. Wtedy motywem wyroku była między innymi chęć odstraszenia cynicznych bandytów, by nie posługiwali się małoletnimi, których nie obejmowała kara śmierci, teraz nadal honorowana jest zasada, że zabicie policjanta to jedna z najgorszych zbrodni. Jest to stanowisko słuszne, a skoro nie ma już kary śmierci, niech przynajmniej nie słucha się głosów, które starają się osłabić jej groźny cień. Policjanci chodzą tutaj bez broni, mają osłaniać społeczeństwo od złoczyńców, musi ich chronić prawo i muszą to rozumieć najszersze kręgi obywateli.

Przez kilka dni prasa rozpisywała się na ten temat, ale przeważnie z sympatią dla powieszzonego. Znalazłem tylko jedną wypowiedź w formie listu do redakcji, w którym czytelnik przypomniał, że w wyniku zbrodni padł młody policjant, który pozostawił żonę i dzieci.

Każdy wybitniejszy człowiek, zwłaszcza polityk, od którego publicznych wystąpień zależy walor jego pracy i jego kariera, ma zawsze w swym otoczeniu fachowców, którzy piszą mu przemówienia. Muszą, oczywiście, znać temat, ale przede wszystkim muszą być ludźmi stuprocentowego zaufania, którzy nigdy nie stworzą tekstu sprzecznego z celami i intencjami swego szefa.

Do Londynu, po raz pierwszy w roli szefa polskiego rządu, przyjechała Hanna Suchocka, którą cenimy i której życzymy pełnego powodzenia w jej niezwykle trudnej misji. Przyjechała na ważne rozmowy z brytyjskim rządem, ale znalazła czas na



spotkanie z przedstawicielami tutejszego polskiego społeczeństwa w naszej ambasadzie.

Spotkanie przewidywało pytania z sali i odpowiedzi, wystarczyłoby zagajenie Ambasadora, ale Pani Premier zaczęła od odczytania zawczasu przygotowanego przemówienia. Po kilkunastu okrągłych zdaniach padły nazwy organizacji, na których przez wiele lat miała się opierać emigracja: Zjednoczenie Polskie, Stowarzyszenie Kombatantów, Macierz Szkolna, Fundacja PAFT, PUNO, Kościół katolicki, a tuż obok nowo powstałe, „Interes” i Polskie Pokolenie Powojenne.

Przez salę przeszedł szmer zaskoczenia. Obok kilku organizacji, których poczyniń nikt nie pomniejsza, wymieniono Fundację PAFT, działającą zaledwie od roku i mającą rozdać rządowe pieniądze, oraz dwa nowe twory, dotychczas zupełnie nieznanne. Nikt tu nie ma wątpliwości, że czołowym osiągnięciem Londynu jest POSK, powstały z ofiar Polaków z całego świata, a w nim Biblioteka Polska, a dalej Instytuty Sikorskiego i Piłsudskiego, fundacje, pisma, firmy wydawnicze, liczne organizacje jak ZASP i Związek Pisarzy, które za kilka lat będą obchodzić półwiecze swego działania. O nich nie padło ani jedno słowo.

Wiele lat temu, w wielkiej sali, obchodzono rocznicę zwycięskiej Bitwy o Wielką Brytanię. Zebrały się tysiące młodych jeszcze jej uczestników i na estradę wszedł marszałek lotnictwa, by wygłosić przemówienie. Wyciągnął kartkę papieru, włożył okulary i zaczął czytać: „pięć funtów kartofli, dwa bochenki chleba, cebula, masło, jabłka”. Nagle przerwał czytanie i złapał się za głowę. „Co ja czytam? Żona zamiast przemówienia dała mi spis zakupów w naszym sklepie”.

Pokwitował go huragan braw i śmiechu, bo to był doskonalny żart i wszyscy go zrozumieli. Ale w ambasadzie nie cieszyliśmy się w rocznicę zwycięskiej bitwy, przyszliśmy na spotkanie z szefem naszego rządu w okresie dla Polski trudnym, choć zwycięskim. Ktoś, podobno w Warszawie, przygotował Pani premier tekst, który w Londynie zadźwięczał jak zgrzyt źle naoliwionego koła.

W brytyjskim parlamencie rozegrała się sprawa decyzji powziętych w Maastricht o gospodarczej i monetarnej europejskiej unii. Rządzący konserwatyści nie spodziewali się trudności, bo choć dwudziestu ich własnych posłów widzi to inaczej, opozycyjna Partia Pracy dawniej już opowiedziała się za dołączeniem do Europy i jej głosy zapewniały olbrzymią większość. Nagle wszystko się zmieniło. Socjaliści poczuli, że rozbicie wśród kon-

serwatystów stwarza szansę przegłosowania rządu i zrobili zwrot o 180 stopni.

Wytworzyła się dramatyczna sytuacja, rząd wygrał zaledwie 3-ma głosami, ale to zwycięstwo przesądziło pozytywny stosunek Wielkiej Brytanii do jednoczącej się Europy. Przy tej okazji odsłoniło się prawdziwe oblicze Partii Pracy, pokazała, że od zasad i programu ważniejsza jest dla niej walka o władzę. Ale przeciętny człowiek z ulicy chce wierzyć, że nawet w polityce jakaś etyka obowiązuje. Dlatego socjaliści przegrali ostatnie wybory.

Józef GARLIŃSKI

## Nie igrać z referendum

Działo się to we wrześniu 1958 roku, w ostatnich miesiącach Czwartej Republiki. Każdy wyborca francuski otrzymał od generała de Gaulle'a list z pytaniem, czy mu odpowiada załączony projekt konstytucji. Czytając ten tekst, stawiałem sobie co krok pytania, na które nie znajdowałem odpowiedzi. Czy to słuszne, że senat pozbawiony prawa weta może tylko opóźnić uprawomocnienie ustawy? Czy to słuszne, że nowomianowany premier nie musi ubiegać się o inwestyturę parlamentu? Czy to słuszne, że Rada Konstytucyjna złożona z dziewięciu starszych panów może unieważnić definitywnie ustawę, którą po długich debatach uchwalił parlament na wniosek rządu? Znajomy profesor prawa, do którego zwróciłem się o radę, oświadczył z ironicznym uśmiechem, że w systemie demokratycznym decydują nie tacy specjaliści jak on, lecz ogół obywateli bez względu na stopień wykształcenia czy inteligencji. W końcu postanowiłem wstrzymać się od głosowania.

Natomiast dozorczyni w moim domu, która nigdy nie brała do ręki ani książki, ani gazety, głosowała bez wahania. W niedzielę wyborczą zaszedłem rano do bistra, gdzie znani mi bywalcy uzgadniali jak zwykle swe przewidywania w sprawie popołudniowych wyścigów konnych w Longchamps. Nie bez trudu wyciągnąłem ich na rozmowę o konstytucji i dowiedziałem się, że poseł może być jednocześnie senatorem, że ministrowie chodzą za darmo do kina, że cały parlament należałoby rozpedzić, bo to niepotrzebny wydatek i że zamiast zawracać sobie

głowę zmianą konstytucji, generał de Gaulle powinien obniżyć cenę benzyny i papierosów. Po czym moi waszmościowie wykupili bilety na totalizatora (*tiercé*) i powędrowali do lokalu wyborczego. Takimi to głosami została uchwalona konstytucja Piątej Republiki. Było rzeczą jasną, że w tym głosowaniu wyrażano po prostu zaufanie generałowi de Gaulle'owi, jako autorowi konstytucji. Miał rację François Mitterrand, mówiąc kiedyś, że w referendum Francuzi odpowiadają na całkiem inne pytanie niż to, które im się stawia.

Tak też się stało w roku 1969, kiedy rozstrzygały się losy regionalizacji. Rzadko kto orientował się, na czym miała polegać ta skomplikowana reforma administracyjna, ale de Gaulle zapowiedział, że natychmiast opuści Pałac Elizejski, jeśli by miało zwyciężyć „nie”, wobec czego głosowano nie w sprawie regionalizacji, która mało kogo obchodziła, lecz za dymisją generała, którego miano już trochę dość.

Jeszcze bardziej zaskakujące wyniki dało tegoroczne referendum z 20 września. Zgodnie z formalnymi wymogami demokracji każdy wyborca otrzymał pełen tekst traktatu z Maastricht i od razu wrzucił go do śmieci. Jest to bowiem traktat bardzo długi, napisany żargonem prawn-administracyjnym, zupełnie niezrozumiałym dla przeciętnego śmiertelnika, a trudnym do rozszyfrowania dla uczonego w piśmie. Jestem przekonany, że tylko paru wyborców na stu zabrało się do czytania tego tekstu, a tylko jeden na tysiąc doznał do końca lektury. Ale głosowano licznie, bo traktat był przedmiotem ożywionej kampanii w prasie i telewizji. Niestety, zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy projektu ograniczali się do przedstawiania swych konkluzji, lekceważąc informacje, objaśnienia, argumenty. Jedni mówili, że traktat wzmacnia władzę brukselskich technokratów, ale nie zadawali sobie trudu, aby to udowodnić. Inni głosili, że traktat ogranicza kompetencje tychże technokratów, ale nie mówili, jak się ma to dokonać. Jedni twierdzili, że Maastricht to nowy mur berliński wykluczający z Europy Polskę, Czechosłowację i Węgry. Inni replikowali, że te kraje środkowoeuropejskie nie chcą wcale zbliżenia do Zachodu, bo wiedzą, że byłoby to dla nich katastrofą. Itd. itd. Tę kaskadę potęgowały podziały, jakie wytworzyły się w łonie głównych stronnictw. Gaullista Chirac był za „tak”, a jego przyjaciel, Pasqua, za „nie”. W centrum Giscard orędownął za „tak”, a de Villiers za „nie”. Nawet wśród socjalistów obok większości za „tak” wyłoniła się dość liczna grupa za „nie”.

Jak więc sobie radził w takich warunkach przeciętny wyborca? Oto w telewizji wysłuchał Chiraca („tak”) a przegapił wystąpienie innego gaullisty, Séguin („nie”). Albo też natrafił na wywody socjalisty, Chevènement („nie”) a na odpowiedź szefa

tej partii, Fabiusa, („tak”) nie miał czasu, bo go żona zawołała do stołu. Kierował się więc nie analizą traktatu, lecz zaufaniem lub brakiem zaufania do tego czy innego polityka. A że w świecie politycznym panowało rozbieżenie i zamieszanie, więc i wyniki głosowania wypadły dwuznacznie: 51% za tak, 49% za nie. Równie dobrze mogłoby być odwrotnie i to z całkiem innymi liczbami. Głosowano bowiem bądź w ciemno, bądź na chybił trafił. Ale masowo, bo nikt nie chciał się przyznać do ignorancji, każdemu pochlebiało to, że decyduje o losach narodu i Europy.

Komentarze, jakie ukazały się nazajutrz w prasie, poświęciły Europie i jej przyszłości minimalne wzmianki, mówiąc prawie wyłącznie o porażce osobistej Mitterranda, o załamaniu się partii socjalistycznej na południu, o tym, że Pasqua wysunął się przed Chiraca, o rozdźwięku między miastami i wsią itd., jakby w grę wchodziły tu wyłącznie wewnętrzne interesy Francji.

Istnieje druga, piękniejsza strona medalu. Nigdzie indziej na świecie nie stosuje się demokracji bezpośredniej tak często i tak skrupulatnie, jak w Szwajcarii. W każdym kantonie obywatele odpowiadają dwa-trzy razy do roku na parę pytań jednocześnie. Na przykład, czy należy przebudować szpital, czy należy rozszerzyć trotuary przy ulicy Bahnhofstrasse, czy trzeba odrestaurować pomnik Wilhelma Tella? A ponieważ kanton liczy przeciętnie około 300.000 mieszkańców, więc każdy wyborca orientuje się dobrze w problemach lokalnych i zna ludzi, którzy kandydują do władz miejskich i kantonalnych. Wyborca otrzymuje obiektywny i jasno zredagowany opis projektu z preliminarzem kosztów i reperkusjami podatkowymi, a także ulotki z opiniami rzeczoznawców „za” i „przeciw”, studiuje te dokumenty przez dwa niedzielne popołudnia i w końcu głosuje z pełną świadomością i możliwie szeroką znajomością rzeczy.

Nie ulega wątpliwości, że referendum będzie się stosować na świecie coraz częściej. W Szwajcarii urządzono od r. 1948 aż 347 takich konsultacji. We Francji uciekano się do referendum dziewięć razy w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Referenda figurują w konstytucjach Australii, Kanady i prawie wszystkich krajów europejskich. Prędzej czy później referendum zawita też do Polski. Chodzi więc o to, aby nie obracało się w farsę, jak to się stało ostatnio we Francji, i aby wzorowało się jak najwierniej na przykładzie szwajcarskim. Nie będzie to łatwe, jeśli zważyć, że Szwajcar odznacza się wyjątkowo wysokim wyrobieniem obywatelskim i że demokrację w tym kraju praktykuje się od siedmiu stuleci.

To prawda, że referendum to najdoskonalsza forma demokracji. Ale wielki demokracja, Winston Churchill, powiedział, że

demokracja nie jest systemem dobrym, a tylko stosunkowo najmniej złym. W Warszawie mówi się już teraz, że projekt przyszłej konstytucji winien być przedmiotem referendum, co nadałoby ustawie dodatkowy prestiż. To bardzo szlachetna myśl. Nie sposób wyobrazić sobie patriotyzmu bez wiary w mądrość narodu. Ale *vox populi* kończy się tam, gdzie zaczynają się kompetencje.

Paryż

Jan WINCZAKIEWICZ

## BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOŚZ

## ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288

Cena F. 145,00

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

## ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego  
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128

Cena F. 70,00

**Kraj****Przesuwanie rządu**

W połowie listopada rząd Hanny Suchockiej można było porównać do budynku, który przesuwany jest na nowe fundamenty. Jest to, jak wiadomo, operacja tyleż ryzykowna, co niepostrzegalna, dopóty przynajmniej, dopóki wszystko idzie sprawnie. Że coś jest nie tak, mieszkańcy zauważą dopiero, gdy zarysują się ściany. Otóż w połowie listopada przesuwanie szło jeszcze gładko.

Nowelizację budżetu na 1992 rząd uzyskał komfortową większością 53 głosów. Wprawdzie wynik ten nie odzwierciedlał jeszcze żadnego istotniejszego poszerzenia koalicji, lecz za to ukazywał pewne skurczenie się opozycji: mniej było głosujących „przeciw”, więcej natomiast oponentów po prostu nieobecnych (podczas gdy koalicja stawiała się w komplecie). Również w toku samej debaty ataki na rząd były raczej stonowane, nawet ze strony opozycji uchodzącej za zdecydowaną (SLD, KPN, RdIIR).

W jakiejś mierze był to po prawdzie efekt samego przedmiotu dyskusji i głosowania. Cóż właściwie można zrobić innego z nowelizacją budżetu na niespełna dwa miesiące przed końcem roku, jak ją uchwalić? Wszystko już przecież przesądzone, fakty są dokonane, spływają tylko statystyki... Nadto rząd użył zręcznego argumentu: nie zatwierdzicie, to trudno, będziemy wydawać tyle tylko, ile jest w preliminarzu, deficyt będzie mniejszy, ale zaległości w płatnościach większe, działalność słabsza. Czy więc Sejm pragnie walczyć z recesją, czy też, chcąc nie chcąc, okaże się większym monetarystą niż sam MFOW, który już się godzi na deficyt ośmioprocentowy (znowelizowany), nie zaś pięcioprocentowy (pierwotny)? Jedynym ostatecznie argumentem rzeczowym, na który mogli się powołać zwolennicy odrzucenia nowelizacji, była opinia NIK, że rząd celowo nie doszacowuje wpływów budżetowych ostatnich dwóch miesięcy roku i uprawia

propagandę strachu. Ale jak to już sygnalizowałem poprzednio NIK jest w sytuacji pasterza-kawalarza, do którego właśnie dobierają się wilki: za przesury Lecha Kaczyńskiego, utożsamianego — może nie całkiem słusznie, ale i nie bez wielu dobrych racji — z bratem bliźniakiem z Porozumienia Centrum, wiarygodność NIK jest mizerna. Nowelizacja budżetu nie była więc może najlepszym testem ewolucji naszych obozów politycznych, ale z całą pewnością dobrze ilustrowała pewien nowy fenomen życia politycznego. Trójskładowy.

Składnikiem pierwszym jest... oszczędzanie rządu. Wygląda na to, że po przyspieszonym zużyciu trzech i pół gabinetu (za połowę liczymy premiera Pawlaka) większość klasy politycznej domacuje się płótna w kieszeni. Najmniejszą w tym rolę odgrywa zapewne zjawisko — całkiem realne! — zużycia pierwszoplanowych postaci politycznych: Mazowieckiego, Geremka, Kuronia, Kaczyńskich... W Sejmie i Senacie na Wiejskiej jest wciąż jeszcze bardzo wielu polityków, którzy odczuwają powołanie do najwyższych stanowisk, tak że czego jak czego, ale ministrów nam nie zabraknie. Znacznie poważniej odczuwany jest kryzys wypłacalności politycznej w przekroju pokoleniowym: w takich ugrupowaniach jak liberalowie, KPN, NSZZ „S”, po części RdIIIIR Jana Olszewskiego kombatananci czują na karku przyspieszone oddechy trzydziestolatków, muszą się zatem oszczędzać. W kuluarach i gabinetach wyczuwa się więc powiew solidarności całkiem nowej, jakiegoś porozumienia starszych panów, tych „po” i „pod” pięćdziesiątkę. Najsilniej wreszcie oddziałuje sytuacja w krajach pobratymczych: dowcip o tym, że po polsku Brazauskas czyta się Cimoszewicz mało kogo rozwesela. A już na pewno nie pocieszył naszych polityków Adam Michnik, kiedy wywiódł w swej gazecie, że wprawdzie postkomuniści mogą wrócić do władzy, ale nie komunizm: też ci powód do radości!

Krótko mówiąc skończyły się igrzyska i wojny na górze: na Hannę Suchocką i jej gabinet trzeba wręcz chuchać. Ostatnią grupką, która zdaje się tego nie przyjmować do wiadomości i nadal używa agresywnego języka pretensji, ostrzeżeń i alarmów, jest PC Kaczyńskiego, Siwka i Glapińskiego — ale też jest to ugrupowanie tonące. Wszyscy inni zachowują się wobec rządu z niespotykaną dawniej atencją. Nawet pan prezydent i jego kancelaria.

Drugim z zapowiedzianych składników nowości jest błyskawiczne wyczerpanie się ideowego pretekstu dla gabinetu Suchockiej, mianowicie jego „solidarnościowego rodowodu”. Zapowiadałem to już w *Kulturze* 9/1992. Od tego czasu dawny obóz solidarnościowy przeszedł z fazy dywersyfikacji i podziałów w fazę nowych integracji, według zasad niczym już nie związa-

nych z solidarnościową przeszłością. Przedtem była to bełtania coraz mętniejszych, zacierających się wspomnień po solidarnościowych poglądach. Teraz wykrystalizowują się z niej formacje jak Konwencja Polska czy Polski Program Liberalny, które starają się łączyć współwyznawców ponad granicami dawnego obozu solidarnościowego i niezależnie od dotychczasowych dziejów politycznych tego obozu. Nowi chadecy Halla i neoliberalowie z PPL chcą też zapewne przejąć cały spadek po dotychczasowych formacjach postsolidarnościowych i tym samym zlikwidować takie ugrupowania jak Porozumienie Centrum i Unia Demokratyczna, której najbardziej lewe skrzydło, nie mieszczące się u spadkobierców, powędrowałoby, ich zdaniem, gdzieś w kierunku Unii Pracy... ale nierozsądne byłoby przesądzać tutaj o podziale postsolidarnościowego dziedzictwa: nie jest wcale wykluczone, że nie powiedzie się ani Hallowi z Ujazdowskim, ani Tuskowi z Urbańskim i Bańkowskim i że to, wprost przeciwnie rozsierzeni unioniści Frasyniuka rozniosą całą konstrukcję. Tak jednak czy inaczej nowe krystalizacje są nie do powstrzymania, niezależnie od tego, kto personalnie na nich zyska.

Składnikiem trzecim był dość już wyraźny podział ról instytucjonalnych w polityce polskiej. Pamiętamy, jak ekipa Suchockiej obiecywała, że nie będzie się wdawać w polityczno-ideologiczne spory. Dokonujący się podział ról nie jest bynajmniej realizacją tej obietnicy, jest nawet, w jakiejś mierze, jej załamaniem, ale za to nawiązuje na pewno do pierwotnego pomysłu w tym sensie, że służy temu samemu celowi: umożliwić ma przetrwanie rządowi wspartemu na bardzo niezbornej koalicji. Ów podział ról polega mianowicie na tym, że za sprawą świadomych zabiegów rządowego sztabu działania polityczne toczą się w czterech niejako wyodrębnionych pomieszczeniach, na czterech różnych polach gry, przy czym jedynie rząd ma swoich *maitres du jeu* na wszystkich czterech boiskach.

Polem pierwszym są główne aparaty władzy państwowej: wojsko, policja, stosunki z zagranicą, wymiar sprawiedliwości. Rządowe kierownictwa MON, MSW i MSZ współpracują dość zgodnie z Belwederem. (Wymiar sprawiedliwości natomiast jest nie tyle niezależny, co niesprawny: ulega najbardziej nieprawdopodobnym wpływom, ale, jeśli to może być pociechą, nie jest na ogół zdolny wywiązywać się z prac zleconych.)

Polem drugim jest administrowanie krajem. Tutaj grę prowadzi Urząd Rady Ministrów — z tabunami posłów, senatorów, biskupów i prezydenckich kancelistów, a stawką są posady, protekcje, polecenia... Tutaj też lepi się dla przyszłych kampanii wyborczych zastępy notabli Polski niegdyś — i niezadługo znów — powiatowej.

Polem trzecim, najnowszą kreacją, są stoły konferencyjne „paktów dla przedsiębiorstw”, zaczątek, w założeniu, przyszłych negocjacji pomiędzy najbardziej reprezentacyjnymi przedstawicielstwami głównych interesów zbiorowych i rządem. Jeśli pierwsze negocjacje się powiodą, to sceptycy w gabinecie (zwłaszcza z Ministerstwa Finansów) mogą się dać przekonać, iż lepiej pertraktować wprost ze związkami, pracodawcami i zrzeszeniami chłopów, niż z parlamentarzystami. Wówczas „konferencje” zostaną zinstytucjonalizowane i otwarcie już przeciwstawione rozpolitykowanemu, rozpyskowanemu parlamentowi. Lecz może się zdarzyć, że posłowie w odruchu samoobrony — oraz idąc za niewątpliwym głosem serca, które szczerze nie znosi senatu — zaproponują wówczas w nowej konstytucji, by przyszła izba wyższa była właśnie izbą gospodarczą. Ale to już dalsza przyszłość.

Tymczasem parlamentowi jako kuźni polityki pozostaje właściwie tylko pole czwarte — parlamentowi i, co gorsza, całej właściwie opinii publicznej, gdyż pola poprzednie są przedmiotem polityki informacyjnej nieszczerzej, manipulacyjnej i dworskiej, przede wszystkim zaś nie są w sposób zrozumiały wypunktowane przed opinią, do której docierają z nich ostatecznie tylko sensacje, plotki i skandale. Rządowi i sprzymierzeni z rządem autorzy opisywanego tu rozczłonkowania i kompartmentyzacji pól politycznych osiągają w ten sposób całkiem wymierne korzyści, obniżają temperaturę w parlamencie i wspomagają rząd, wyzuwając ze znaczenia nie sam tylko parlament, lecz w ogóle politykę. Być może o to właśnie głównie chodzi.

Po tym długim opisie przygotowań przechodzę do zapowiedzianego „przesuwania” rządu na inne (w znacznej mierze) fundamenty.

Istota przesunięcia dotyczy strategii przebudowy ustrojowej. Jak wiemy, przez pierwsze trzy lata nowych rządów główną osią sporów w obozie u władzy była alternatywa „inflacja-recesja”, którą najczęściej można było przełożyć na opozycję kuracji ostrożnej i szokowej, długiego marszu i forsownej drogi na skróty. Otóż to już należy do przeszłości, choć wielu komentatorów jeszcze tego nie zauważyło. Po trzech latach dyskusji, w czasie której starano się jednak nieodmiennie realizować jedną tylko strategię ( «program Balcerowicza» z Balcerowiczem i bez Balcerowicza), natykając się, równie nieodmiennie, na te same bariery niemożności, rzeczywistość zdaje się triumfować nad dyskutantami. Z jednej strony, stworzone zostały pewne fakty dokonane, z których jako najważniejszy wymienia się owe 40% pozarolniczego zatrudnienia w sektorze prywatnym: mamy już jakąś klasę średnią. Recesja osiągnęła dno, zaczął się jakiś wzrost (może nawet 2% w przemyśle w 1992). Z drugiej

strony, kuracja szokowa okazała się, w sensie rezultatów, wcale nie szokowa. Wielka restrukturalizacja gospodarki — własnościowa i branżowa — jest jeszcze cała przed nami. Pohamowanie recesji już owocuje wzmocnionymi bodźcami inflacyjnymi i nie zanoszą się na to, by wzrost produkcji mógł szybko zaowocować wzrostami przeciętnej rentowności, zysku i płacy realnej, które wszystkie trzy spadają nadal. I bezrobocie, które niezmiennie wzrasta i które ma nadal wzrastać w roku przyszłym, co stwarza w budżetach socjalnych sytuację nie do utrzymania! W *Kulturze* 10/1991 pisałem o tym co nas czeka:

„Najpewniej: żadna katastrofa. Wbrew pozorom, sytuacja jest w tym głębokim sensie stabilna, że żadnej katastrofy, która by odwróciła bądź zamroziła bieg wydarzeń, nie widać na horyzoncie. Jedyne, co nam rzeczywiście grozi, to to że skonstruujemy rzeczywistość nie tylko nie na miarę naszych marzeń — to normalne — ale nawet nie na miarę naszych prawdziwych możliwości. Rzeczywistość niewykorzystanych szans”.

Stało się. Dzisiaj decydenci wiedzą już, że nie unikną konieczności jakiegoś obniżenia kosztów socjalnych przebudowy. Ta świadomość mogłaby prowadzić do poszukiwania strategii rzeczywiście minimalizującej bolesność przejścia, o czym wspominałem w poprzednim numerze *Kultury*. Tymczasem jednak niewiele na to wskazuje. Raczej zarysowuje się strategia swoistej rezygnacji: pewną część społeczeństwa odpisano na rozkurz, na straty, na „opiekę socjalną”. W grudniu 650 tysięcy bezrobotnych traci prawo do zasiłku... ratować należy tych, których ratowanie rokuje nadzieje: „pakty dla przedsiębiorstw” na to są właśnie nakierowane.

Chciałbym tu podkreślić z całym możliwym naciskiem, że ani pani Hanny Suchockiej, ani jej dobrotliwego ministra finansów, ani jej sentymentalnego ministra pracy ani nowego jej wicepremiera głębokiej wiary nie oskarżam tutaj o bezdusność i okrucieństwo. W istocie jednak, czy można się było spodziewać innych rozwiązań w ramach polityki, w której bez mała połowa kraju, albo i więcej, nadaje się tylko na złom — w której przez trzy lata tak niewiele zrobiono, by coś z tego potencjału uratować?

Tak zatem nowa strategia przebudowy ustrojowej nie będzie już oznaczać, że dla wszystkich znajdzie się miejsce: III Rzeczpospolita byłaby krajem z bardzo znacznym marginesem „wyrzuconych na plażę”, *laissés pour compte*. Co, oczywiście, nie oznacza, że zabraknie cynicznych głupców głoszących, iż zmarginalizowani są sami sobie winni... Mniej więcej tak, jak paru posłów i kilku biskupów uznało już, że sami sobie winni są również chorzy na AIDS...

W mniej drastycznym języku powiedzmy, że zanoszą się na

politykę wyraźnej cezury pomiędzy społeczeństwem z szansą i społeczeństwem bez szans. Na drabinie społecznej, dotychczas tylko coraz bardziej rozsuwanej, otworzy się nadto nieprzekraczalny rozstęp.

Nie cała koalicja, na której wspiera się gabinet Hanny Suchockiej, może zaakceptować taką strategię. Ale na prawicy społecznej, a także w aparatach związkowych, w załogach tych zakładów i branż, którym szansa zostanie dana, w „klasie średniej” oraz wśród aspirantów do niej, jest z kolei dostatecznie wiele sił, które tę strategię mogą wesprzeć. Potrzeba im jednak ideowego uzasadnienia i rozgrzeszenia, by tę ochęć przełożyć na polityczne, otwarte poparcie partyjne i parlamentarne.

Powiada poseł Lech Mażewski, chrześcijanin i liberał, teoretyk z KLD i człowiek pióra (co tłumaczy nierozsądną szczerłość):

„Uważam, że potrzebny jest nam historyczny kompromis z Kościołem. Wprowadzamy zakaz aborcji i oczekujemy, że w zamian Kościół wesprze prokapitalistyczne reformy”. Tekst wywiadu w *Gazecie Wyborczej* (3 listopada 1992), w którym padło to sformułowanie, zatytułowany był „Polityka, czyli handel rybami”.

Myślę, że dość prędko, już w grudniu, przy okazji debaty budżetowej oraz ustawy antyaborcyjnej, dowiemy się czy oferta na targu rybnym została rzeczywiście złożona i przyjęta. W operacji przesuwania rządu zbliżamy się z pewnością do momentu prawdy. Mimo wskazanych poprzednio trzech nowych okoliczności sprzyjających przetrwaniu gabinetu, potrzebna będzie nie lada sztuka, żeby taką transakcję sprzedać opinii: targ rybny ma to do siebie, że śmierdzi.

Warszawa, 11 listopada 1992,  
co nie jest aluzją.

Krzysztof WOLICKI

## Znaczenie Maastricht dla polskiej gospodarki

### 1. Traktat, który zamożnym krajom nie zaszkodzi...

Rozważając znaczenie zawartego w Maastricht (7 lutego 1992 r.) „Traktatu o Unii Europejskiej”, trzeba mieć w polu widzenia nie tylko kształt traktatu w momencie podpisania, ale także ewentualne jego zmiany.

Przewidzieć te zmiany jest bardzo trudno, gdy — z jednej strony — treści traktatu spotykają się z licznymi przejawami krytyki i protestów, z drugiej zaś — przeprowadzone w sprawie traktatu referenda w Danii i we Francji ujawniły, że praktycznie ma on w tych krajach tyle samo zwolenników, co i przeciwników. W Danii tylko niezwykle niski odsetek głosujących zdecydował o tym, że traktat został odrzucony, a we Francji — zaakceptowany.

Te wyniki referendum wzbudziły wielkie emocje po obu stronach, a więc zarówno zwolenników, jak i przeciwników traktatu, przy czym sam prezydent Komisji Europejskiej, Jacques Delors, przyznał samokrytycznie, że nie potrafił rozwiązać problemów Wspólnoty przybliżyć do ludzi i dlatego trzeba lepiej informować społeczeństwa.

Wydaje się jednak, że emocje, które wywołują niepewne losy postanowień przyjętych w Maastricht, są przesadne. Zwykle ewentualne nieratyfikowanie traktatu uważa się za klęskę idei europejskiej wspólnoty i odwrotnie — jego ratyfikację za gwarancję sukcesu tej idei. Tymczasem obie oceny opierają się na błędnych przesłankach.

Nieratyfikowanie traktatu w jego obecnej postaci nie może w najmniejszej mierze kompromitować idei europejskiej wspólnoty, gdyż idea ta w pełni sprawdziła się w ciągu minionych 30-tu lat. Traktat Rzymski przyniósł bezsporne korzyści krajom w nim uczestniczącym, chociaż kiedyś można było żywić wątpliwości, czy korzyści te przypadną w równej mierze krajom reprezentującym słabszy potencjał gospodarczy, takim jak np. Włochy. W rzeczywistości okazało się, że te wątpliwości są bezpodstawne. Pewien dyplomata włoski użył kiedyś w rozmowie obrazowego porównania, że dość leniwie kręcąca się przedtem gospodarka Włoch zareagowała na otwarcie rynków krajów EWG jak bryczka, której konie nagle uderzono mocno batem. Podobne zjawisko dałoby się na pewno zaobserwować w innych

krajach członkowskich. Tu może jednak nasunąć się innego rodzaju obawa, czy mianowicie w działaniach integracyjnych nie mamy do czynienia ze swojego rodzaju prawem zmniejszających się efektów, sprawiającym, że im bardziej rozbudowuje się powiązania integracyjne, tym relatywnie mniejsze przynoszą one korzyści, nawet jeżeli rozbudowa postępuje w sposób bezbłędny. Ani świadomość osiągniętych w przeszłości sukcesów, ani hipoteza zmniejszających się efektów nie może stanowić argumentu przeciwko dalszym próbom usprawniania więzi integracyjnych. Powinny natomiast skłaniać do realistycznej oceny korzyści, jakie te próby mogą przynieść. W rezultacie dochodzimy do wniosku, że odrzucenie, czy też odroczenie akceptacji traktatu podpisanego w Maastricht nie pociągnie za sobą wielkich wstrząsów gospodarczych, a być może oszczędzi niemało rozczarowań.

Z kolei akceptacja traktatu w obecnej formie nie obiecuje, moim zdaniem, pozytywnych rezultatów z przyczyn różnych, a głównie z powodu projektowanej unii monetarnej.

Traktat zawiera trzy wielkie i ważne grupy postanowień, które dotyczą:

- wprowadzenia pełnej swobody ruchu ludzi, towarów, usług i kapitałów,
- wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa,
- stworzenia unii monetarnej najpóźniej do 1.1.1999 r.

Pierwsza grupa postanowień, wiążąca się ze swobodą wymiany, reprezentuje samo sedno działań integracyjnych. Ale właśnie w tej dziedzinie, jak wyżej wspomniano, najważniejsze zamierzenia (zniesienie ceł wewnętrznych i wspólna taryfa celna zewnętrzna) zostały już dawno zrealizowane i przyniosły znane, imponujące wyniki.

Sprawy wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, obok współpracy w zakresie sprawiedliwości i administracji wewnętrznej, stanowią wstępne działania na drodze do unii politycznej. Odnośne postanowienia, utrzymane w ogólnych i mało zobowiązujących sformułowaniach, mogą mieć znaczenie jako deklaracja intencji. Nie wydaje się natomiast, aby w tej chwili twórcy koncepcji traktatu chcieli zagłębiać się w trudne i kontrowersyjne problemy unii politycznej.

W tej sytuacji trzecią grupę postanowień o unii monetarnej można określić jako najbardziej nowatorską, ważną, a zarazem kontrowersyjną. W postanowieniach tych przewiduje się m.in. ustanowienie unii monetarnej, łącznie z ustanowieniem jednej stabilnej waluty, utworzenie Europejskiego Systemu Banków Centralnych (ESBC) oraz Europejskiego Banku Centralnego (ECB). Tylko Europejski Bank Centralny oraz wchodzące weń narodowe banki centralne będą miały prawo do emisji pieniądza, przy czym banki narodowe będą to czynić wyłącznie na podsta-

wie autoryzacji uzyskiwanej od Europejskiego Banku Centralnego.

Każde przedsięwzięcie integracyjne oznacza jakieś ograniczenie suwerenności państwa, które ustępuje pewną część swoich uprawnień na rzecz organów wspólnoty. Zarówno w interesie państwa, jak i całej wspólnoty leży, aby państwo, rezygnując z części swoich uprawnień, nie wyzbywało się pewnych podstawowych narzędzi kierowania państwem. I tu stajemy wobec konieczności rozstrzygnięcia kluczowego dylematu: czy polityka pieniężna nie jest tak podstawowym elementem gospodarki nowoczesnego państwa, że przekazanie jej w gestię ponadnarodowego organu pozbawia państwo możliwości sprawnego kierowania procesami gospodarczymi?

Sądzę, że takie niebezpieczeństwo rzeczywiście występuje i dlatego rozwiązanie w sferze polityki monetarnej uważam za najważniejszy, ale jednocześnie i najłagodniejszy punkt Traktatu o Unii Europejskiej. W takiej ocenie nie jestem odosobniony. Podobne stanowisko wydaje się reprezentować np. Maurice Allais (laureat nagrody Nobla), stwierdzając, że w obecnej fazie zastąpienie franka francuskiego przez ECU jest aktem politycznym całkowicie pozbawionym rozsądku<sup>1</sup>.

Ciekawe stanowisko zajmuje J. Attali, prezes Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, który popiera ideę unii monetarnej, widząc w niej skuteczny środek uregulowania rynków walutowych. W szczególności sugeruje on, że stworzenie unii pozwoli ukrócić szeroko występujące zjawiska gier na zmianach kursów walutowych, przypominających bardziej kasyna gier hazardowych, niż operacje finansowe świata biznesu<sup>2</sup>. Cel jest na pewno słuszny, ale nasuwa się pytanie, czy unia walutowa jest jedynym możliwym i skutecznym środkiem jego realizacji.

Otóż dla uzasadnienia, że tak nie jest, można posłużyć się znaną tezą, iż istnieje zawsze jakaś optymalna wielkość przedsiębiorstwa (a więc i banku), której przekroczenie prowadzi do powstawania strat. Kierując się zapewne tą tezą, tygodnik francuski słusznie uznał, że w Unii Europejskiej nie będzie wspólnej poczty, gdyż nie da się kierować przedsiębiorstwem o obrocie 420 mld franków francuskich, zatrudniającym 1,7 mln pracowników<sup>3</sup>. Ale czy podobny argument nie może być odniesiony do banku, który miałby regulować emisję i troszczyć się o stabilizację cen na rynku, obejmującym (łącznie z krajami EFTA) 19 krajów i 380 mln ludzi? Może warto tu mieć w pamięci rów-

1. Por. M. Allais: „Maastricht: L'Union Economique et Monétaire. Mythologie et réalités”, *Le Figaro*, 18 maja 1992.

2. Wywiad z Jacques Attali: tygodnik *Wprost* nr 40/1992.

3. *Le Nouvel Observateur*, 17-23 września 1992.

niez pewne niekorzystne doświadczenia krajów postkomunistycznych? Jak wiadomo, kraje te napotykać dzisiaj poważne trudności w przystosowaniu swoich systemów bankowych do wymogów współczesnej gospodarki, a źródłem tych trudności jest podjęta i zrealizowana przez Lenina w ZSSR idea jednego, wielkiego banku w państwie.

## 2. Przewidywania: ...ubogim krajom nie pomoże

Jest rzeczą jasną, że dla gospodarki polskiej decydujące znaczenie może mieć traktat z Maastricht w kształcie, który przybierze on po latach, gdy skryształizują się poglądy, uspokoją się emocje i nastąpi lepsze rozeznanie zalet i wad koncepcji, a nie w kształcie obecnym, podlegającym ciągłym dyskusjom, sporom i przetargom. Jakkolwiek zdaję sobie sprawę, jak trudne są i czasem zawodne przewidywania w tej dziedzinie, to wydaje mi się, że warto podjąć taką próbę, przyjmując dotychczasowe rozważania jako użyteczny punkt wyjścia dla dalszego rozumowania.

Rozpatrzmy zatem problemy, jakie mogą pojawić się w głównych sferach działań integracyjnych. W sferze tzw. czterech swobód (ruchu ludzi, towarów, usług i kapitałów), w stosunku do skali przedsięwzięć zrealizowanych w ciągu minionych 35-ciu lat, obecny traktat niewiele wnosi nowego. Można więc sądzić, że akceptacja tej grupy postanowień traktatu nie będzie napotykać na szczególne trudności, a ich merytoryczne treści niewiele się zmienią. Oczywiście polityka rolna była zawsze i będzie przedmiotem ostrych dyskusji, ale traktat przyjęty w Maastricht nie obejmuje polityki rolnej.

Podobnie można oczekiwać, że nie nastąpią istotne zmiany w sferze problemów integracji politycznej, ale z zupełnie innych powodów. W sferze postanowień dotyczących swobody wymiany kluczowe decyzje były dawno podjęte, sprawdziły się w praktyce i w rezultacie traktat w pewnym sensie finalizuje działania integracyjne w tej bardzo ważnej i kluczowej dziedzinie. Odwrotnie, działania zmierzające do integracji politycznej znajdują się dopiero na początku drogi, która na pewno nie będzie drogą gładką. Narodowe ambicje, obawy, czy uprzedzenia będą stale dawać znać o sobie, utrudniając porozumienie. W tej dziedzinie traktat zaznacza dopiero początek drogi, a jego autorzy, świadomi delikatności materii, formułują dość nieśmiało i ogólnikowo ujmowane propozycje wspólnych działań w sferze bezpieczeństwa, sprawiedliwości, polityki zagranicznej czy administracji wewnętrznej. Przy tym ujęciu sfera ta nie będzie przypuszczalnie przedmiotem większych dyskusji czy sporów.

Nowym pojęciem, które wprowadza traktat, jest zasada

subsydiarności, która ma być pomocna w przypadkach konieczności rozdziału kompetencji między Wspólnotą i państwami członkowskimi. Wg tej zasady Wspólnota, w sprawach nie podlegających jej wyłącznej kompetencji, miałaby podejmować działania tylko wtedy, gdy odnośna czynność przekracza możliwości krajów członkowskich, a ze względu na jej skalę lub efekty może być lepiej wykonana przez Wspólnotę. Wydaje się, że w obecnym brzmieniu zasada ta jest wygodna dla władz Wspólnoty i może otwierać im szerokie możliwości ingerowania w działalność krajów członkowskich. To mogłoby stać się źródłem istotnych dyskusji, ale mniej interesujących, gdyż dotyczących kompetencji, a nie mechanizmów. Inna rzecz, że zarówno nazwa (*subsidiarity*), jak i definicja zasady są tak skomplikowane, że mogą przerzedzić szeregi potencjalnych dyskutantów.

Wreszcie dochodzimy do zagadnień polityki pieniężnej i zaprezentowanej w traktacie całkowicie nowej, śmiałej, można nawet powiedzieć rewolucyjnej idei unii monetarnej i jedynej waluty. Te przymiotniki mogą wydać się przesadne Czytelnikowi, który nie od dziś i nie raz miał okazję zetknąć się z hasłem unii monetarnej. Sedno sprawy tkwi jednak w tym, że dotychczas nikt nie przedstawił w sposób wiarygodny, jak taka unia monetarna miałaby funkcjonować w ramach ugrupowania, skupiającego kilkanaście państw i trzysta kilkadziesiąt milionów ludzi. Nie wyjaśnia tego też zupełnie obecny tekst traktatu. Ta luka w traktacie i wzmiankowany wcześniej problem niemożności sterowania gospodarką przez państwo pozbawione gestii w polityce pieniężnej, sprawiają, że kwestia unii monetarnej będzie decydować o dalszych losach traktatu zawartego w Maastricht.

W zasadzie istnieją tylko trzy warianty możliwego rozwoju sytuacji. 1. Ratyfikowanie traktatu w obecnej wersji: to oczywiście nie rozwiązuje sprawy unii monetarnej, tylko odsuwa jej rozwiązanie na nieokreślony czas już w ramach powstałej Unii Europejskiej. 2. Odroczenie ratyfikacji do czasu znalezienia powszechnie akceptowanego rozwiązania spraw gospodarki pieniężnej: rozwiązanie sprawy unii przesuwa się w czasie jak w p.1, tylko dokonuje się ono w innym (starym) układzie organizacyjnym. 3. Nieratyfikowanie traktatu równoznaczne z porzuceniem konwencji unii monetarnej.

## 3. Wnioski: Niezbędna integracja regionalna

W wyniku rozważań nad dalszymi prawdopodobnymi losami traktatu z Maastricht, możemy dojść do pozornie paradoksalnego wniosku, że traktat ten w perspektywie kilku, czy nawet więcej lat nie będzie miał istotnego wpływu na gospo-



darkę Polski. Jeżeli w każdym z wariantów ratyfikacji traktatu przewiduje się nieuchronnie zwłokę w pełnej realizacji jego postanowień, to z punktu widzenia Polski, jako państwa pozostającego na razie poza Wspólnotą, jest to okoliczność sprzyjająca. Trzeba bowiem pamiętać, że im ściślej zintegrowana jest pewna grupa państw, tym mniej korzystna jest sytuacja *outside-r'ów* i tym trudniejsza staje się ich droga do statusu członka grupy.

Niezależnie od tego, czy traktat z Maastricht by istniał, czy też nie, możliwość uczestnictwa we Wspólnym Rynku jest dla Polski niezwykle atrakcyjna. Stwarza ona bowiem nowe, bardzo ważne dla gospodarki, szanse dostępu do rynków zbytu, do nowej techniki, kredytów, nowoczesnych metod organizacji produkcji i marketingu itd. Te szanse otworzyły się dzięki zaszłym w Europie zmianom politycznym i byłoby lekkomyślnością z nich nie korzystać.

Istnieje jednak sporo warunków, od których spełnienia będzie zależać, czy te potencjalne szanse przemienią się w realne korzyści.

Po pierwsze — w negocjacjach trzeba dbać o uzyskiwanie możliwie korzystnych warunków współpracy, co zależy nie tylko od talentów naszych negocjatorów, ale także od życzliwości i zrozumienia ze strony naszych partnerów ze Wspólnoty. Ci ostatni, nie uwzględniając jednak różnic w poziomach rozwoju gospodarczego, ani przyczyn, które w dawniejszej, a także w całkiem świeżej historii, przyczyniły się do wydatnego zwiększenia tych różnic, skłonni są do stawiania rutynowych twardych warunków. Dlatego nie bez powodów, a natomiast z pewnym żalem stwierdziła niedawno pani premier Hanna Suchocka, że „...polityka Wspólnoty traktuje kraje Środkowo-Wschodniej Europy bardziej jako konkurentów niż jako partnerów”<sup>4</sup>.

Po drugie — trzeba mieć i upowszechniać świadomość, że zmniejszenie luki ekonomicznej między Polską i krajami Wspólnoty zależy przede wszystkim od naszych własnych, skutecznych działań w reformowaniu gospodarki oraz działań zmierzających do opanowania inflacji i przezwyciężenia recesji. Zmniejszenie zaś tej istniejącej i wciąż jeszcze powiększającej się luki ekonomicznej jest warunkiem zarówno przyszłego uczestnictwa we Wspólnocie Europejskiej, jak i korzystania z owoców tego uczestnictwa. Tak więc w konsekwentnej polityce gospodarczej państwa i zgodnej, wytężonej pracy całego społeczeństwa tkwi klucz, otwierający nam wejście do Europejskiej Wspólnoty, a nie np. w pozyskiwaniu przychylności poszczególnych jej

4. Wykład na inauguracji roku akademickiego w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, *Gazeta Wyborcza*, 20. 10. 1992.

państw członkowskich. Dlatego, mimo że w pełni doceniam ogromne znaczenie pokojowych i przyjaznych stosunków między Polską i Niemcami, zaskoczyła mnie nieco uwaga premier Suchockiej, która znalazła się w cytowanym wykładzie, iż: „...demokratyczne Niemcy są dziś naszym łącznikiem ze Wspólnotą Europejską...”.

Po trzecie — dążąc do współpracy z Zachodem — musimy jednoznacznie zadbać o uregulowanie stosunków gospodarczych z sąsiadami na Wschodzie. Nasza sytuacja geograficzna sprawia, że te stosunki mogą być źródłem dużych korzyści, albo też dużych strat zarówno dla nas, jak i dla wschodnich sąsiadów. Od kilku lat mamy do czynienia z tym drugim przypadkiem. Źródłem dużych strat dla Polski, ale także jej sąsiadów, jest wiele: załamanie się wzajemnej wymiany handlowej i co za tym idzie utrata rynków zbytu i zaopatrzenia oraz zerwanie bardzo ścisłych nieraz więzi produkcyjnych; zahamowania w procesach inwestycyjnych tam, gdzie nastawione one były na produkcję eksportową na wschód lub były uzależnione od dostaw ze wschodu; niebywały wzrost handlu prywatnego przez granice, powodującego ogromną stratę ludzkiej energii, ponieważ wielu ludzi czekających czasem wiele dni w kolejce na przejście granicy, rozwijanie się przemytu.

W związku z tym ożywionym ruchem „handlowych turystów” na trudną próbę wystawiona jest tzw. wymienialność wewnętrzna złotego. Podróźni przybywający bowiem z dawnych republik ZSSR, po sprzedaniu swoich towarów kupują dolary, osiągając przy tym wysokie zyski dzięki wysokiemu kursowi dolara w rublach. Oczywiście handel taki wywołuje duże zaburzenia nie tylko na rynku walutowym, ale także na rynkach towarowych.

Proces integrowania się Polski (i innych krajów postkomunistycznych) z gospodarkami krajów zachodnich musi być długi. Wskazują na to doświadczenia budowy Wspólnego Rynku, a także istnienie pewnych szczególnych czynników utrudniających procesy integracji krajów Wschodu i Zachodu. Mam na myśli różnice w systemach gospodarowania, różnice w poziomie rozwoju i załamanie gospodarcze w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. W tej sytuacji nie należy dopuścić do tego, aby procesowi integracji z krajami Zachodu towarzyszyła pustka w stosunkach między gospodarkami krajów Europy Środkowej i Wschodniej. To opóźniałoby rozwój tych krajów i utrwalałoby przepaść, dzielącą dziś kraje Wschodu i Zachodu, co pozostaje w wyraźnej sprzeczności z dobrze rozumianym interesem obu tych grup krajów.

Dlatego, niezależnie od działań integracyjnych ukierunkowanych na zachód, jest pożądane rozwijanie powiązań integracyj-

nych między krajami Europy Środkowej i Wschodniej. Powiązania takie między krajami, które łączy sąsiedztwo geograficzne, zbliżony poziom rozwoju, identyczne problemy przebudowy systemu gospodarowania, wydają się być łatwiejsze w realizacji, niż w przypadku integracji z Zachodem.

Utworzenie Grupy Wyszehradzkiej dało dobry początek nowemu podejściu do zagadnień rozwoju gospodarczego tej grupy krajów. Koncepcja utworzenia w tej części Europy strefy wolnego handlu, która staje się przedmiotem wstępnych negocjacji, jest bardzo obiecującym krokiem w kierunku ożywienia wymiany między zainteresowanymi krajami. Przejawem jakiejś gigantycznej anomalii i sprzeczności w dzisiejszej gospodarce światowej są fakty postępującej integracji krajów przemysłowych Europy Zachodniej i gospodarczej dezintegracji Europy Środkowej i Wschodniej. Na tle tych przeciwstawnych tendencji jeszcze jaskrawiej rysuje się klęska gospodarcza Wschodu, dodatkowo pogłębiania przez zatargi polityczne i nawet militarne.

Jakkolwiek pożądana jest budowa więzi gospodarczych tych krajów z Europą Zachodnią, byłoby iluzją sądzić, że na bazie takich więzi uda się przezwyciężyć kryzys i wejść w sposób trwały na ścieżkę gospodarczego wzrostu. Wprost przeciwnie, bez rozwijania integracji regionalnej zagrożony jest nie tylko rozwój gospodarczy tych krajów, ale również przebieg procesów integracji z Zachodem.

Podkreślając wszechstronne znaczenie rozwijania regionalnej współpracy gospodarczej, trzeba sobie zdawać sprawę z trudności zadania. W krajach tych nie ma wielkich tradycji wzajemnej współpracy gospodarczej, a w dobie istnienia RWPG współpraca ta koncentrowała się na wymianie każdego kraju ze Związkiem Sowieckim. Współpraca regionalna w tym regionie będzie więc napotykać na trudności, wynikające z nieufności, nadmiernych ambicji, minionych sąsiedzkich zatargów itp.

Zauważmy jednak, że są to wszystko trudności natury subiektywnej. Natomiast wszelkie czynniki natury obiektywnej będą sprzyjać tej współpracy. Dlatego, równoległe do integracji z Zachodem, konieczne jest budowanie regionalnych więzi integracyjnych. Im szybciej, tym lepiej. Warto więc podejmować próby już, nawet jeżeli początkowo niewielu znalazłoby się partnerów gotowych do ich podjęcia, albo jeżeli próby te początkowo miałyby dotyczyć stosunkowo wąskich grup przedsięwzięć.

22 października 1992

Stanisław POLACZEK

## Z ukosa

W mieszkaniu było zimno, całą Warszawę otulał chłód i wilgoć. Następnego dnia włączono ogrzewanie i moje przekleństwa stały się ciepłe. Starczyło mi nawet ciepła, by wykrzesać energię do walki z aparatami telefonicznymi. Bo przecież każdy większy dreszcz wpędza nasz system telefoniczny w ostre zapalenie uszu i gardła, czyli w niemotę i głuchotę.

Przebijając się przez jesienne mgły, dotarłem na Żoliborz. Tam w Domu Kultury był wiec Porozumienia Centrum. Mam różne wspomnienia związane z tym Domem. A wspomnienia nakładają się warstwami na miejsca rozwieszane na sieci pamięci miasta. Warstwa na warstwę, tworząc mozaikę kolorów i niezwykłą płataninę zapachów. Tak więc po latach żyje się nie tylko w mieście, ale też w jego zastygłym wspomnieniu, dodając nowe warstwy do starych. To polityczne spotkanie zastyga w gorzkawo-kwaśny ślad o brudnym kolorze jesienno-zmierzchu, z domieszką lekkiego zapachu ironii, jaki wydzielił mój organizm wsłuchany w krzyki i szepty naszej demokracji, która zdaje się mieć nieustannie wysoką gorączkę.

Spora sala została wypełniona po brzegi, miała twarz mężczyzny i kobiety po pięćdziesiątce, twarz urzędniczo-inżyniersko-nauczycielską. Lider PC wkołysał się w krzesło jak bąk w kielich kwiatu. Sprawił wrażenie zadowolonego z siebie, mimo, że PC kroczy od porażki do porażki. Rozpętali wojnę na górze, po to tylko by odkryć, że człowiek dla którego szli na tę wojnę jest ich największym wrogiem. Potem postawili na rząd Olszewskiego, który zawałił się z trzaskiem. Jakby mało nieszczęście, mieli u siebie niedawno schizmę i stracili wiele krwi. Zaś afery związana z „Telegrafem” strąca PC w samo oko cyklonu wielkich afer RP, łącząc ich z super aferą spółki „Art-B” (rzecznik Prezydenta lekką ręką rzuca wielki cień podejrzeń nie tylko na M. Zaleskiego, ale i na braci). Pomyśleć, że dotyka to Ich, którzy wypisali na tarczach walkę z korupcją. „Belweder idzie już na drogę oczywistych kłamstw” — skomentował to J. Kaczyński.

PC, wczoraj jeszcze kuszone do rządu Suchockiej, wahało się między wejściem doń a taką skrajnością jak „Ruch dla Rzeczypospolitej”. Doprawdy nietrudno jest dostrzec, że Porozumienie Centrum, partia, która uważa się za najczystsza z istniejących partii prawicowych, lawiruje pokrętnie by zdobyć władzę, a wpada tylko w tarapaty. A przecież Jarosław Kaczyński i jego brat bliźniak uważani są za zręcznych polityków i za Europejczyków mimo wszystko. Stąd nasi liberalni Europejczycy z UD

i KLD nie rezygnują z PC, gdyż mają nadzieję, że w starciu między zaściankiem a Europą PC stanie po stronie Europy. I pewnie mają rację, znowu mimo wszystko. Mam wrażenie, że u nas niezwykle rozmnożyło się „mimo wszystko”.

Ze słów przywódcy PC wywnioskowałem, że główny refren tej partii brzmi: „bo tamci bronią postkomunistycznego układu”. Kaczyński powiedział wprost: „To komuniści teraz rządzą”. Gdyby ktoś się zdziwił, ale sala się nie dziwi, to Kaczyński wyjaśni: „Komuniści rządzą niekoniecznie bezpośrednio, rządzą jako wielbiciela PC, który atakując Unię, mówi: „działalność pachółków PZPR jest wodą na młyn...” Oto w ustach tej antykomunistycznej sali jak złoty ząb lśni kawałek żywej materii propagandowej, zrodzonej przez samą macicę dawnego PZPR. Pamiętamy aż za dobrze te „pachółki imperializmu” i „wodę na młyn wrogów socjalizmu”, za chwilę pojawiają się „popiecznicy”. Kaczyński, wielki dekomunizator, a żadna lampka ostrzegawcza mu się nie zapala. Bierze te słowa jak komunię do ucha i grzecznie odpowiada. Więcej, sam niebacznie używa zwrotów utoczonych przez propagandowe obrabiarki dawnego czasu. Pytany o Unię Demokratyczną, nie waha się z odpowiedzią: „w niej ważną rolę odgrywają już nie tyle kontynuatorzy PZPR, a KPP. Tak KPP” — powtarza. „I Unia się stacza...” Moje ucho czeka, ale nie doczekało się, że „stacza się w oportunizm...”

I pomyśleć, że to jest inteligentny człowiek, że zaraz po tych bzdurach potrafi mówić sensownie, a nawet odważnie, jakby pracowała zupełnie inna półkula tego samego mózgu. „Jesteśmy chłopskim, prowincjonalnym, postkomunistycznym społeczeństwem, jesteśmy społecznością, która jest podminowana głębokim lękiem”. Wkrótce jednak znowu zaczyna się nienawiść z jej ślepotą. Najbardziej nienawidzi swojego wczorajszego Boga. O tak, PC nienawidzi Wałęsy szczerym sercem. Dlatego bez wahania sugerują, że jeśli nawet nie on sam jest agentem, to przez agentów został usidlony. Szczególna nienawiść koncentruje się na słynnym kierowcy Lecha, dzisiaj szefie jego kancelarii. Kaczyński zna Wachowskiego na pamięć, bo przecież pracował razem w Belwederze. Mówi: „trudno mieć wątpliwości, kim on jest”. A więc cała Polska jest w wielkim niebezpieczeństwie, bo prezydent i jego były kierowca chcą wprowadzić dyktaturę. Obaj są powiązani, a może nawet szantażowani przez wiadomo kogo. O biedna nasza ojczyzna, bo z jej Prezydenta, cytuję: „leje się na nas potok głupoty, niebywałych rzeczy, to jest kompromitacja kraju”. I pomyśleć, że dwa lata temu wedle Kaczyńskiego z tych samych ust lał się miód.

Przy wyjściu z sali sprzedawane są tajne teczkę agentów bezpieki. Diabeł mnie kusi by kupić, ale jakoś nie mogę.

Chciałbym wrócić do oskarżeń Unii oraz innych liberalnych ugrupowań o lewicowość i romans z komunistami. Oskarża PC, oskarża „Ruch dla Rzeczypospolitej” oraz inne krzykliwe ugrupowania. Te oskarżenia rozwieszono są jak karteczki z napisem: „uwaga, zły pies”. Przezorni i lękliwi właściciele posesji wywieszają takie informacje nawet gdy psa nie mają albo gdy jest on pocziwy. I to skutkuje, bo pierwotny lęk przed dzikim zwierzęciem działa na świadomość i podświadomość. Podobnie, ktoś nie ma odruchowej niechęci do komunisty. Gdy się jednak zapyta tych, co etykietują: a gdzie są ci postkomuniści, imiona, nazwiska, na czym polega układ z nimi i jakie są te wspólne interesy? Tu zaczyna się wielki kłopot. To znaczy byłby on wielki dla tych, co gotowi są uczciwie i rzetelnie wyjaśnić. Oskarżyciele uważają jednak, że szczegółowych wyjaśnień nie ma, gdyż wróg jest tak zapobiegliwy i sprytny, kamufluje się tak perfidnie, że nie da się ujawnić szczegółów. Trzeba go więc poznawać na nosa i całościowo; jak ktoś tego nie czuje, to znaczy, że ma nędzne powonienie i powinien zaufać zmysłom Macierewicza, Parysa i Kaczyńskiego. Macierewicz pytany kiedyś przez dziennikarza o możliwość nawrotu komunizmu, odpowiada: „To zależy co Pan rozumie pod pojęciem 'komunizm'. Istotę przekształceń ustrojowych od Łaby po Władystok obrazuje ta sama grupa społeczna, która rządziła nami z sekretariatów KC, dzisiaj chce rządzić z siedzib banków. Zamieniono książeczki partyjne na książeczki czekowe”. A co ma tu do powiedzenia były min. obrony Parys? „Obecny rząd ma kryptokomunistyczne zamiary, nie ma społecznego poparcia, więc szykuje sobie polityczną protezę w Moskwie. (...) Chcemy wyzwolenia Polski spod władzy kłamstwa, lewicy, spadkobierców PZPR”.

Uwyraźnia się coraz bardziej jednoznaczny podział na naszej mapie politycznej, a doprawdy wydawało się, że już nie wiadomo o co chodzi. Ale jest on tylko pozornie wyraźny, a te pozory mogą być niebezpieczne.

To podział na zwolenników społeczeństwa zorganizowanego na wzór demokracji zachodnich, liberalnego, otwartego, kapitalistycznego. Co łączy się z niezwykle przychylnym stosunkiem do jednoczącej się Europy, w której Polska powinna się jak najszybciej znaleźć.

Oraz na zwolenników państwa kapitalistycznego, ale gdzie rynek nie odgrywałby takiej roli, gdzie dominować będzie polska tradycja katolicka, narodowa i takąż obyczajowość, a Kościół miałby duże wpływy w państwie. Do Zjednoczonej Europy to ugrupowanie odnosi się z rezerwą i podejrziwie.

Ten podział coraz wyżej unosią nad głowami „Europejczy”, a więc głównie Unia i liberałowie. Liberałowie mieli nie-

chęć do Unii, głównie za ich pychę i „pańskość”, ale okoliczności wepchnęły te dwa ugrupowania w swoje ramiona i całym im ze sobą dobrze. Ale niespodziewanie okazuje się, że PC nie mieści się w tej drugiej formule, że ZChN też nie chce. Zaściankowe ugrupowania nie mieszczą się w zaścianku, bo zbyt tam duszno i czują odrazę do towarzystwa, które coraz raźniej poczyną gromadzić się tam właśnie. Nie przeszkadza im to publicznie hołubić ksenofobiczną klientelę. Będąc na wiecach Macierewicza i J. Kaczyńskiego, miałem wrażenie, że zgromadzeni są bez porównania bardziej radykalni od swoich liderów, pełni manii i urazów. Poruszyła mnie dbałość naszych polityków, by tych ludzi jednak nie stracić. Za taką dbałość bardzo wiele się płaci.

Niepokoi, że ostatnio monopol na „zachodniość” i „liberalizm” został, jak się zdaje, zawłaszczony przez UD i KLD. Żle jeśli nie będą chcieli z tego monopolu zrzecygnąć. Byliśmy już świadkami, jak łatwo można u nas kogoś wypędzić w skrajności.

Gdy się popatrzy na ostatnie lata, widać ilu pierwszorzędnym spraw u nas nie załatwiono, bo nikt do nich nie miał głowy. Głowy były zajęte tym, kto kogo czym przetrąci. Sparaliżować przeciwnika, to było główne zadanie, a nie przeprowadzić sensowną ustawę. Nie ma więc konstytucji, wyborczej ordynacji, ustawa o radiu i telewizji chyba dopiero teraz z trudem dobiega do brzegu. Rozpadają się centralne urzędy, poczta dławi się, a telefonia jak była tak jest w proszku. Polska kołysze się bezradnie w porwanych sieciach starych i nowych systemów prawnych. Służba zdrowia coraz ciężiej chora. System podatkowy rodzi się, ale co się narodzi, strach myśleć. Wielu opóźnień nie dało się uniknąć, ale wiele jest niestety produktem szarpaniny na naszym Olimpie i czynności zastępczych. Zamiast telefonów mamy np. ustawę antyaborcyjną, itd.

Kim jesteśmy, dokąd idziemy? To częste pytanie, zadawane w kraju cudzoziemcom lub rodakom wracającym z daleka. Bo sami już nie bardzo wiemy, kim jesteśmy i dokąd idziemy. Wśród inteligencji wyczuwa się wielki niepokój o stan moralny kraju. Góra coraz mniej pewna siebie, dokąd to wszystko prowadzi, czym to się skończy i co robić? Dół coraz bardziej pewny, że z tego nic nie będzie, co najwyższej katastrofa. U polityków przeważa niechęć wzajemna do siebie i pogarda. Można budować razem nie lubiąc się, czy nawet nienawidząc, gardząc chyba już nie. U zwykłych ludzi przeważa niepokój, a czasami przerażenie. Co będzie, jak żyć? Pytam, wężę i doprawdy nie spotykam optymistów. Szukam ich natarczywie i niemal w rozpacz. Zaczepiam taksówkarzy, babcie klozetowe, podróżnych w kolejowym przedziale, urzędników w mrocznych korytarzach

urzędów, dziennikarzy w eleganckich salonach nowych redakcji, stróżów nocnych i stróżów dziennych. Ich pesymizm ma podobną barwę i pachnie stechlizną. Są dwa warianty, agresywny i depresyjny. Ci ostatni mieli zwykle już za sobą wariant agresji. G. jest kierowcą w urzędzie. Kiedyś pracował w stoczni. Był w „Solidarności”, bardzo przeżył stan wojenny. W roku 86 stracił ostatecznie nadzieję. Wtedy postanowił uciec na Zachód. Pojechał z teściem na wycieczkę Batorym i zostali w Kopenhadze. Żona miała dojechać później. Ale Duńczycy przywieźli ich z powrotem, tłumacząc, że Polska już dla nich nie jest krajem totalitarnym. Był skłonny się z nimi zgodzić, gdyby mu tylko powiedzieli, jak tam żyć. Obalenie komunizmu przyjął z radością i nadzieją. Dzisiaj zarabia 2 mln 400 tys. zł. Nie wiedzą z żoną, jak związać koniec z końcem i czym nakarmić psa, o którym wspomina szczególnie ciepło. Bardzo się boi, że straci pracę. Czasami czuje, że za komunizmu było mu lepiej, wali się wtedy pięścią w czoło, ale to nie pomaga. Gdyby miał dzisiaj głosować, nie wiedziałby na kogo, więc w ogóle nie zamierza iść w przyszłości na wybory. Ale gniewu już w nim nie ma. Tylko czasami sobie myśli — przecież mogłem się urodzić gdzie indziej.

— Na przykład na Białorusi, albo w Chinach — podsuwam mu myśl. Rzeczywiście, przyznaje zaskoczony, tego nie brał pod uwagę.

Nie zrozumie się dzisiejszej Polski bez wiedzy na temat jej szczególnych aspiracji i poczucia wyjątkowości. Sarmatyzm i romantyzm stworzyły u nas przedziwną mutację.

Kolejki w zasadzie zniknęły. Są tylko bliźny po nich w naszych sercach. Ale jest coś, za czym ustawiają się coraz dłuższe ogony. To woda. Bo woda w kranach smakuje i pachnie ścięciem, herbata na niej zrobiona wydaje się być parzona na ścięciu. Więc wykopuje się źródółka w dzielnicach i do nich stoją kolejki objuczone plastikowymi bańkami. Jak się zdaje, tylko zapaści gospodarczej i gwałtownemu spadkowi produkcji zawdzięczamy, że nie ma takich samych kolejek po powietrze. Spotykam w tej wodnej kolejce H. To osoba łagodnego serca, a została doprowadzona przez naszych polityków do takiej rozpacz, że jest skłonna ujrzeć oczyma wyobraźni nową Berezę Kartuską. Mówi, że kiedyś oburzała się na Piłsudskiego, jak on mógł, a teraz go w pełni rozumie. Przypomina sobie własne łzy wylwane nad losem krzywdzonych, nad Jurczykiem, Gwiazdą, Olszewskim, Macierewiczem... kiedy byli poniewierani przez stan wojenny. „Po co ja tak płakałam”, narzeka. Odkręcamy kurki i płacz źródłanej wody zagłusza wszystko.

Życie naszej inteligencji w półpogardzie dla Prezydenta, a

zarazem w coraz mocniejszym poczuciu — chwala Bogu, że on jest. Życie inteligencji w półpogardzie dla własnego społeczeństwa — bo ono jest skorumpowane, nie rozumie i nie ceni inteligencji. W półpogardzie i półwspółczuciu do siebie samych za bezradność w nowej sytuacji, która jest dokładnie w tym miejscu, gdzie były marzenia inteligencji o wolności i demokracji — miejsce to samo, ale wewnątrz przerażająco inne.

Księgarnie zmieniły się chyba najbardziej przez te trzy lata. Są one już w pełni opanowane przez to, co kolorowe, krzyczy i jest łatwe do przeczytania. Poważne książki ledwie widać i zdają się już wiedzieć, że nie mają żadnych szans. Każdy kto może a nawet nie może, wydusza z siebie jakieś nieujawnione tajemnice, dokumenty utytłane błotem i krwią. Najszlachetniejsi bojownicy z komunizmem i najpodlejsi komuniści opowiadają stojąc obok siebie i przekrzykują się, jak to było stać po obu stronach barykady. Wymyślona lub prawdziwa prostytutka zwierza się, jak „pracowała” z Urbanem i Rakowskim. Jeśli nie ujawni się w książkach wszystkiego co było niedawno lub nawet wczoraj, to ujawni się w wywiadach. Nie wiem, czy gdziekolwiek na świecie robi się tyle wywiadów co w Polsce. Wywiad to szczególnie wyróżnienie osoby, danie do ręki klucza, który zresztą z reguły okazuje się wytrychem. U nas każdy, mały czy duży, ma ogromnie wiele do powiedzenia, mówi, ja, ja... wielu posiada receptę na sytuację, równie wielu jej nie ma, ale za to pięknie krytykuje i wytyka. I pomyśleć, tyle tego gadania, a obraz dzisiejszej Polski coraz bardziej zamazany. Byłoby zdumiewające, gdyby zwykli zjadacze chleba cokolwiek z tego rozumieli. Wydawało mi się, że J. Kaczyński już wszystko powiedział na wiecu, ale byłem w błędzie. W gazecie, pytany o Mieczysława Wachowskiego, odpowiada: „jeszcze w czasach, kiedy byłem w Kancelarii, proponował mi często szczególną umowę. My się dogadamy — mówił — a ja ci dam 'listę dwustu'. Listę polityków, którzy mają rozmaite grzechy na sumieniu. Przypuszczam, że chodziło tu przede wszystkim o takie grzechy, o jakich ostatnio dużo mówiono. Ale mogły być inne, obyczajowe, finansowe. Ja w tę listę nie wierzyłem. Gdybym uwierzył, też nie przyjąłbym żadnych ofert, ale — powtarzam — nie wierzyłem. Jednak dziś, gdy obserwuję różne zachowania polityków w Sejmie, moja niewiara zaczyna się chwiać”.

Czy lider PC mógł to wymyślić? Łatwiej mi niestety uwierzyć, że tego nie wymyślił. Ale jeżeli to prawda? W normalnym kraju po czymś takim robi się burza. A przecież tego samego Wachowskiego jakże chwali Jacek Kuroń, jak to on od serca i po prostu — „lubię Mietka”. Kuroń ośmielony wielkimi sukcesami swoich książek, zwierzeń z przedwczoraj, postanowił zwierzyć się z wczoraj w książce pt. „Spoko czyli kwadratura koła”.

Ujawnia przy okazji intymności przetargów politycznych ostatnich lat i miesięcy. To polityka na domowo, po imieniu, z klepaniem po tyłku i ramieniu, rzecz dzieje się głównie w kuchni. Tak zapewne jest wszędzie, ale doprawdy lepiej nie wiedzieć, że tak się rządzi światem. Oto brzuchaty rubaszny Kuroń krząta się po tej kuchni z patelnią. Jajecznicza na niej to się nie chce ścierać, to nagle płonie jak szyb naftowy w Kuwejcie. „Adam pojechał do Geremka, żeby o tym porozmawiać, już widzę jaki szczęśliwy będzie Broniek kiedy wstawiony Adaś obudzi go w środku nocy”, albo ten fragment, dość typowy dla całości, wyjaśniam dostosowując ton, że wcześniej Leszek oskarżał Jarka, że ten go w jakiejś „piaskownicy” opluł i przezwiał gestapowcem. „W tym momencie wszedł Jarek Kaczyński: „nie ma pertraktacji! Nie ma pertraktacji! Teraz odbędzie się zebranie Piątki i dopiero potem możemy rozmawiać z Unią! — nie wygłupiaj się, siadaj — powiedział Leszek, a ja powtórzyłem mu to o co prosiłem Leszka, — No dobrze, może nie powiedziałeś o gestapowcu, ale na pewno powiedziałeś ostatnio: jak nie weźmiecie Kaczorów do rządu, to go wam rozpieprzą”. Dalej jest chwila wielkiego gniewu Wałęsy na J. Kaczyńskiego. „Tu już Wałęsa nie wytrzymał. — Jak to? To ty to mówisz? Przecież to wy doprowadziliście do tego, że leciałem z siekierą na swoich najbliższych przyjaciół! Rozpocząłem 'wojnę na górze', a nie miałem racji. To ty obiecywałeś dekomunizację! Ty obiecywałeś przyspieszenie! Ja głupi uwierzyłem w to wszystko! Naopowiadałem ludziom i co? Mam się teraz powiesić, bo nie dotrzymałem?”

Czyż nie jest to oglądanie naszego Olimpu przez dziurkę od klucza? Widać przez nią, że oto dzisiaj rządzi Polską jedna śmiertelnie ze sobą skłócona grupa koleżeńska. Jak za czasów podziemia, wpadają do siebie na kielicha, namawiają się przeciwko sobie, opieprzają jak zagniewani chłopcy. Kuroń chwilami widzi tę chorą „rodzinną”, ale chyba zbyt łatwo uznaje, że winni są tylko „oni”. „W jakie parszywe mafijne układy wepchnęli nas nasi byli przyjaciele”, wzdycha.

Te różne kuchnie, tak chętnie dzisiaj obnażane w książkach i gazetach, nie posiadają ściany z toaletą. Niczego więc już nie da się dziś zrobić, żeby nie było jutro pokazane. Oczy mamy wszyscy te same, ale głowy inne, więc każdy akt, choćby najbardziej intymny, zostanie wkrótce zaprezentowany w niebywałej ilości odmian. To pewnie jest jawność życia politycznego, ale jakoś nie mogę się oprzeć wrażeniu, że głupi naród jest mimo wszystko nadal trzymany za grubą pancerną szybą. Gapi się, pojada cukierki, klepie dzieci, żeby nie wyciągały za daleko rąk.

Kuroń, ten najsympatyczniejszy i najmądrzejszy, który ocalał w sobie myślenie o ludziach, chyba zbyt łatwo uwierzył w swoją charyzmę, i że ładny człowiek może wszystko, co ma w środku,

wybebeszyć i sprzedać, a to nadal będzie ładne. Nie znam całej książki, bo czytałem tylko fragmenty drukowane w *Polityce*, a w samej książce mają być też miłośno-sercowe sceny z czasu ostatniego. Boję się zajrzeć do kuroniowej alkowy. Szlachetność na wynos, najprywatniejsza prywatność, przyrzadzona w publicznych garach, na rogach ulic, staje się niestety tylko zupą. Napisałem, i jak zwykle ogarnął mnie lęk przed własną niewiedzą i zuchwałością. A co będzie, jak po lekturze całej książki zostaną rzucony na kolana i przyjdzie grzyźć palce ze wstydu?

To, co się dzieje, jest wielką porażką naszej, mojej formacji duchowej, mojego i starszego o lat dziesięć pokolenia. To klęska pokoleń zrodzonych w PRL lub w ruinach gasnącej wojny. To klęska naszej opozycji lat 70-tych i 80-tych. Spod kwiatów naszego buntu i niezgody wypelzły robaki zawiści, neurotycznych ambicji, arogancji i jeszcze raz arogancji. Doprawdy, nie idealizuję naszego społeczeństwa, ma swoje okropności wyostrzone przez zimne światło Wielkiej Zmiany, ale czyż nie wymagamy o wiele więcej od jego elit, od naszych rycerzy wolności. Żebyśmy tylko byli don Kichotami, obawiam się, że historia zaliczy nas do mniej poczciwych powieści.

Szczególnie wiele wyprodukowaliśmy ostatnio arogancji. Chyba dobrze ją rozumiem, bo sam nie jestem od niej wolny. Ma ona w sobie wyspy w moich tekstach, zdarzały się miesiące w mojej najnowszej biografii, gdy ją uprawiałem. Było to zawsze wtedy, gdy sytuacja mnie przerastała, do czego nie chciałem się przyznać nawet przed sobą. Tak, arogancja podobnie jak rozpusta bierze się zwykle z rozpacz, z chłodu wokół i bezradności.

Jestem już za stary na młodzieńcze marzenia, chociaż nie taki znowu stary, a snułem kiedyś słodkie marzenia o rozpadzie imperium. Wysychanie marzeń z upływem lat — czyż nie jedna z większych katastrof ekologicznych? Teraz gdybym potrafił, wymyśliłbym przed snem wielką miotłę, która wymiecie całą naszą jak to się mówi „klasę polityczną” z powrotem do szkoły, czyli na wyższe uczelnie, a mniej zdolnych do prac bardziej poczciwych niż polityka. Niestety, towarzystwo, które czai się za plecami, jest bez porównania gorsze. Wymiecenie tej formacji z naszej polityki posiada dla mnie osobiście wielkie wady. Mam przecież znajomych we wszystkich zakamarkach Olimpu. Nie twierdzę, że to się nie może przydać. I sam wiem najlepiej, ilu tam zdolnych ludzi, ilu uczciwych, chociaż tylko niewielu uchroniło się przed chorobą władzy. To straszna choroba. Nie ma lekarstwa na nią, a chorują nawet ci, którzy wydawali się doskonale odporni. Nasza formacja polityczna powinna być wymieciona nie dlatego, że lajdacka czy amatorska. Zaszły w niej jakieś zdumiewające reakcje chemiczne, upiorne na siebie

nawzajem uczulenia. Mamy ciekawy przykład, jak suma raczej pozytywnych jednostek daje makabryczny wynik.

Na dodatek cała ta substancja nadal się dzieli, jakby nie była już dosyć podzielona. Nawet pozornie monolityczna Unia Demokratyczna wydała z siebie, czy raczej sam się z niej wydał Aleksander Hall z grupą swoich postępowych pravicowców. Do tego jeszcze wróć.

Antoni Macierewicz wyleciał z ZChN za lustrację. Jak wiadomo, na jego listach był również prezes ZChN marszałek sejmu Chrzanowski — na własne uszy słyszałem, jak Macierewicz pytany przez lud Warszawy, jak mógł wydać mecenasa i narazić swoją partię na taki cios w serce, odparł: „gdyby tam było moje nazwisko, też bym je ujawnił”. Wcześniej mówił, że własnego ojca by też, więc i syna bez wątpienia... mamy oto Abrahama, tylko nie widać boskiej ręki, która powstrzyma cios. Macierewicz wydalony z ZChNu stara się zabrać ze sobą kogo się da, a więc podzielić tę partię w miarę sił.

Nawet KPN, dotychczas wiernie skupiony wokół swego wodza, zaczyna kruszeć po bokach.

Chłopi, chociaż krzyczą zgodnym chórem, że miasto chce im poderznąć gardło, jak zamilkną też się biorą za czuby. Koalicja dla Rzeczypospolitej zanim okrępiła, już widać, że ma swoich radykałów, których nie przełknie sam jej ojciec mec. Olszewski, chyba, że zdegradowe się do miernego populisty.

I nawet liberałowie, wydawało się wolni od choroby zawiści i pogardy, nagle podzielili się na starych i młodych. S., który jest z nimi związany, opowiada mi z przerażeniem, że oni też tak się uwikłali w sieci niechęci, że chwilami tracą z oczu dobro kraju.

Jak słusznie ktoś zauważył, nasze partie polityczne raczej przypominają kluby polityczne w czasie wielkiej rewolucji francuskiej.

Natomiast Aleksander Hall wystąpił z Unii, by tworzyć pravicę wolną od choroby umysłowej, od nacjonalizmu i antyeuropejskości. Podniósł się krzyk prawicy — on lewica, a tylko udaje pravicę. To koń trojański z łbem Mazowieckiego i ognem Kuronia. Unia jęknęła, że popełnił błąd, bo osłabił najmniejszą światłą partię, a elektoratu nie znajdzie. Faktem jest, że byli komuniści czyli SDRP mają teraz największy klub w parlamencie, aż dreszcz zdziwienia idzie po plecach. Ten dreszcz łapie za gardło, bo słuchając ich głosów mam wrażenie, że często łatwiej mi się dzisiaj z postkomunistami identyfikować niż z wieloma z dawnej opozycji. No tak, to ja pewnie jestem lewica, ja dawny opozycjonista, nawet z dobrą biografiją, ale zaraziłem się postkomunizmem. W lustrze tego nie widzę, ale jakby powąchał Parys czy Macierewicz, to już oni by mnie zlustrowali i ujawnili. Na całe życie.

D. jest psychologiem. Przez ostatni rok pracowała w poradni w jednej z naszych upiornych nowych dzielnic. Czuła się jak chirurg na wielkim polu bitwy, gdzie nikt nie wygrał, a wszyscy są ranni. Zdruzgotana obszarem problemów, jakie mają ze sobą ludzie, czuła się jednocześnie szczęśliwa niosąc tak licznym pomoc. Uderzył ją rozpad polskiej rodziny, bardzo trudna sytuacja kobiet pożeranych przez rolę opiekunki dzieci i pracownika. Jest pod wrażeniem (które z nią dzieli) jak inne jest młode pokolenie. I jak trudno tę inność zidentyfikować. D. musiała z bólem zrezygnować z tej pracy, by podjąć lepiej płatną, nie starczało na życie. Założyła firmę, o profilu kulturalnym, właściwie bardzo to była ważna placówka dla naszej kultury. Nie trwało to jednak długo. Okazało się, że lokal, który otrzymała, miał inne przeznaczenie, ona stanowała tylko kamufaż — założono tam piwiarnię. Była za słaba, za uczciwa na naszą dżunglę. To nie jedyny tego rodzaju przypadek, który znam. Nie twierdzę, że każdy kto robi teraz u nas interesy jest gangsterem, ale z pewnością im jest najłatwiej. Kto ma zasady, raczej powinien przegrać. Moja znajoma, która jest prawnikiem i prowadzi dla kogoś zagraniczną firmę, opowiada mi zupełnie upiorne rzeczy, jak to się wszystko odbywa. Potwierdza się powszechne zresztą przekonanie, że przy obecnych prawach i podatkach nie da się robić pieniędzy uczciwie. Przestępstwo zaczyna się już na granicy. Praktycznie wszyscy celnicy mają swoje stawki. Najbardziej powszechna i najtańsza operacja, to opłacenie obsługi poza kolejnością. Tylko 1 mln złotych. Wielokrotnie więcej kosztuje przewóz przez granicę bez sprawdzania zawartości. A to zaledwie początek worka korupcji. Na końcu tego worka są gangi wynajmowane do nakłaniania dłużników, by spłacili zaległości. Podobno najefektywniejsze jest wynajmowanie do tego Rosjan. „Doprawdy serce mi się czasami ściska — mówi znajoma — kiedy wynajmuję tych bandziorów, ale co mam robić. Na ogół nic złego się nie dzieje — pociesza sama siebie — w ostateczności zakopują faceta po szyję, to wystarczy”.

Słyszę wokół, że podobnie było w XIX-wiecznej Europie, gdy powstawała klasa średnia i wielcy kapitaliści. Trudno mi jednak przyjmować to z pokorą na progu drugiego tysiąclecia. Tej pokory nie mają miliony obywateli RP, których zaczyna dotyczyć bieda. Jako, że milionów ludzi nie da się uspić i zamknąć ust, by nie jedli i nie buntowali się, to doprawdy można się niepokoić, czym to się skończy. Ten niepokój wyrażają prawie wszyscy nasi politycy, ale sami już chyba nie wiedzą, czy niepokoją się naprawdę, czy dla politycznego efektu. Trudno też sobie wyobrazić bunt mas, bo w co on uderzy? Nie jest trudno udowodnić, że chemia naszej społecznej gleby jest uderzająco podobna do tej w republice weimarskiej, ale Tymińskiego już

mieliśmy, jeśli się powtórzy, to w formie jeszcze bardziej groteskowej. Chyba i ja się powtarzam, ale nie bardziej niż sytuacja.

Jest urzędniczką z dawnego czasu, ale nowe witała łzami radości. Teraz opowiada przerażona o swoim urzędzie, który, nie ma co ukrywać, jest urzędem państwowym. Mówi: „komuniści mieli czas, byli przekonani, że będą zawsze. Nowi szarpią władzę i przywileje, jakby bali się, że za chwilę ją stracą. Wyrwywają kawały mięsa, zamiast wycinać nożykiem. Nie ma pieniędzy, ale te które są marnuje się przez niekompetencję i prywatę”.

Nie jest to głos wyjątkowy. Urzędy coraz mniej o sobie wiedzą, departamenty i oddziały wewnątrz urzędów też coraz mniej. Jakby szefowie starali się utrzymać na powierzchni funkcji czy kompetencji i nie mieli już siły na cokolwiek poza tą szamotaniną tonącą.

Pociąg mknie poprzez Polskę, pociąg wieczorno-nocny. Rozlany po korytarzach i toaletach. Taki pociąg nie zdarza się już w zachodniej Europie. Obnaża on jednym cięciem europejską i zarazem azjatycką połąć Polski. Ten pociąg pije na śmierć i pali z wielką pasją, jakby chciał coś w sobie zatopić, jakby chciał wypalić do dna swoje wnętrza. Pijani tłuką głowami o ściany, z ich głów ulatuje nie tylko bełkot, ale też skrawki materii duchowej z metafizycznymi flakami. Żołnierze kompletnie i niekompletnie umundurowani śpiewają ochryplymi głosami, ci ze starszych roczników zgodnie z tradycją maltretują „koty”, czyli młodych. Roznosiciele piwa o twarzach w kolorze i o kompozycji stłuczonych butelek nawiedzają przedziały. Konduktorzy wloką za sobą zapach urzędu, który nie wybacza, ale łapówkę weźmie. W tym wszystkim szarpią się rodziny cygańskich Rumunów, Rosjanie z handlowymi tobołami wplątują swoją miękką mowę w szelest polskiego języka. Ci, którzy mieli być najeźdźcami i ciemieżycielami, stali się w ciągu jednego dnia małymi ulicznymi handlarzami i od nas przejęli niepostrzeżenie pałeczkę nowych Żydów Europy. W moim przedziale starzec, który doczekał wolnej Polski, wspomina konne tramwaje w Warszawie i dochodzi do porozumienia z niewiastą prawnikiem, że największa groźba dla Polski to najazd dzikich plemion ze wschodu. Obok klóć się zwolennicy i przeciwnicy aborcji, ale są zgodni, że Kościół za bardzo się wtrąca. Ktoś czyta w głębokim milczeniu Prousta... Mijane dworce otulone brudnymi pelerynami nocnej mgły, „Ciechanów”, byłem tu chyba raz, ale sama nazwa leje mi miód na serce. Jesteśmy w końcu we własnym domu, odbija się czkawką ten refren, ale bliższe prawdy jest westchnienie, jesteśmy w końcu na własnych śmieciach.

## KOALICJE RZĄDOWE

Rząd i cała władza polityczna w Polsce jest oparta na koalicjach stronnictw w sejmie, które nieustannie powstają, przekształcają się czy w ogóle rozpadają. Przy ogromnej ilości partii jest b. trudno się w tym zwyktemu obywatelowi zorientować. Podajemy więc skróty nazw tych ugrupowań:

- UD — Unia Demokratyczna
- PChD — Partia Chrześcijańskich Demokratów
- PL — Porozumienie Ludowe
- KLD — Kongres Liberalno-Demokratyczny
- ZChN — Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe
- SLCh — Stronnictwo Ludowo-Chrześcijańskie
- PPG — Polski Program Gospodarczy
- PSL — Polskie Stronnictwo Ludowe
- PC — Porozumienie Centrum
- UP — Unia Pracy
- SLD — Sojusz Lewicy Demokratycznej
- KPN — Konfederacja Polski Niepodległej
- RDR — Ruch dla Rzeczypospolitej
- FChD — Forum Chrześcijańsko-Demokratyczne
- RTR — Ruch III Rzeczypospolitej
- PPN — Polska Partia Niepodległościowa
- ChDSP — Chrześcijańsko-Demokratyczne Stronnictwo Pracy
- ChD — Chrześcijańska Demokracja
- ChDFL — Chrześcijańsko-Demokratyczne Forum Ludowe
- FSL — Frakcja Społeczno-Liberalna
- FDP — Forum Prawicy Demokratycznej
- KR — Koalicja Republikańska

Drugim ośrodkiem władzy jest Prezydent, dysponujący monstrualnie rozbudowanym aparatem, który ciągle się rozrasta. Jeśli uda się nam ten labirynt spenetrować, podamy go do wiadomości w następnym numerze.

## Sąsiedzi

### Notatki rosyjskie

Kilka miesięcy temu pod naciskiem Czytelników i Redaktora zmieniłem tytuł mojej kroniki. W dwóch numerach nazywała się ona „Notatki z Rosji”. Wolałem zatytułować ją „Notatki rosyjskie”, bo piszę nie z Rosji, a z Paryża. Tym razem jednak można mówić o notatkach z Rosji, a dokładniej mówiąc z Moskwy. Po bardzo długiej nieobecności, kiedy już wszyscy tam bywali, pojechałem i ja w październiku do stolicy „głowami cerkwi i władców lśniącej”, jak pisał Płatonow.

Podróż do ojczyzny zaczyna się, jak wiadomo, od wizy. Wiedząc o tym, jako człek leniwy długo odmawiałem pojechania na zaproszenie, bo musiałbym chodzić do konsulatu, stać w kolejkach itd. Tym razem wszystko to zostało zrobione za mnie, ale formuлярz wizowy, który mi przyniesiono do wypełnienia, wprawił mnie w lekkie zdziwienie. Figurował na nim bowiem nagłówek: Wiza na wjazd do ZSSR. Jechałem do Rosji, ZSSR nie istnieje od października 1991 r., ale poselstwo wciąż posługuje się starymi blankietami. Figurują na nich podstępne pytania: czy był obywatelem ZSSR? Jeśli tak, kiedy, dlaczego i dokąd wyjechał? Na połowę pytań nie odpowiedziałem, a wizę i tak dostałem, zupełnie jakby nikt nie spojrzął nawet na ankietę. W starej formule nowa treść, można by pomyśleć, gdybym nie wiedział, że łatwość, z jaką dostałem wizę i jeszcze większa łatwość, z jaką przekroczyłem granicę, świadczy tylko o znaczeniu grupy, której byłem uczestnikiem.

Była to grupa dostatecznie wpływowa, a zarazem dostatecznie nieoficjalna, bym mógł zadawać pytanie, które mnie zajmuje ostatnimi czasy: kto właściwie rządzi Rosją?

Latem ubiegłego roku wygłosiłem na ten temat wykład, który zainteresował przemysłowców. Zechcieli usłyszeć odpowiedź na moje pytanie. Francuscy przemysłowcy spotkali się w Moskwie z rosyjskimi przemysłowcami, z ludźmi kierującymi gospodarką — ministrami, doradcami prezydenta, pierwszym wicepremierem. Na moje pytanie, które zadawałem wszystkim, uśmiechali się pobłaźliwie. To



oni rządzą Rosją! Co do tego zdawali się nie mieć wątpliwości. Pierwszy wicepremier, odpowiedzialny za najważniejszy dział gospodarki, może zasadnie uważać się za kierownika (jednego z kierowników) kraju. Mnie interesowało co innego: jaka struktura władzy zajęła (bądź zajmuje) miejsce systemu partyjnego, który był kośćcem i układem nerwowym ZSSR? Pytanie wydawało mi się absolutnie na miejscu, bo rozmowy toczyły się w gmachu byłego KC KPZS — jeszcze całkiem niedawno tu biło serce, pracował mózg i inne organy kraju. Dziś w gmachu urzęduje rząd Rosji. Idąc korytarzami widać ślady dawnych tabliczek z nazwiskami, niektóre drzwi wciąż są opieczętowane lakowymi pieczęciami.

Nasi rozmówcy tłumaczyli, że na miejsce partyjnej struktury władzy wchodzi sieć pełnomocników prezydenta Rosji. Powstała ona po sierpniowym puczu, pisałem o niej szczegółowo w swoim czasie. Prezydent skierował do każdego administracyjnego rejonu swojego osobistego przedstawiciela, którego obdarzył pełną władzą. Problem polegał na tym, że na miejscu istniała już władza w postaci sowietów, które zasilali działacze partyjni z rozpadzionych komitetów partyjnych (wszyscy przywódcy partyjni byli członkami sowietów). O sieci przedstawicieli wiedziałem — nie wiedziałem natomiast, jak skończyła się walka między pełnomocnikami prezydenta i sowietami. Powiedziano mi, że wojna trwa ze zmiennymi skutkami; w chwili obecnej w jednej trzeciej rejonów pełnomocnicy krzepko dzierżą władzę, w jednej trzeciej szala przechyla się na ich stronę, ale walka trwa, natomiast w pozostałej jednej trzeciej sowiety nie podporządkowują się przedstawicielowi prezydenta.

System pełnomocników prezydenta ma — w intencjach przywódców — zastąpić dawną strukturę partyjną. Istnieje jednak jeszcze jeden ośrodek władzy — Rada Najwyższa, zwana teraz w Moskwie parlamentem. W czasie mojego pobytu w stolicy starły się dwie władze — prezydent i parlament. Borys Jelcyn zaproponował, aby zwołanie deputowanych ludowych odłożyć do wiosny albo początku lata, Rada Najwyższa nie przychyliła się do jego prośby: zjazd ma się zebrać 1 grudnia, jak było ustalone. Wiadomo dosko- nale, że w pierwszych słowach zażąda dymisji obecnego rządu Jegora Gajdara. Już w Paryżu przeczytałem w *Izwiestiach* (z 2. 11. 92) że Jelcyn oświadczył podczas pobytu w obwodzie astra- chańskim, iż „Zjazdowi nie uda się odebrać prezydentowi Gajdara...”. Ale na innym wiecu był mniej pewien siebie. Na okrzyk z tłumu: „Trzymajcie się!” odpowiedział: „...będziemy się trzymać, jeśli zjazd nas nie połknie. Myślę jednak, że nie połknie”.

„Kapitanowie przemysłu”, z którymi się spotykaliśmy, są członkami rządu Gajdara, ale jego polityki nie pochwalają. Przede wszystkim uważają, że reformy przeprowadza się za gwałtownie, że prywatyzacja przebiega za pospiesznie (choć w gruncie rzeczy toczy się w ślimaczym tempie), że „voucheryzacja” to głupia i śmieszna błąka. W rządzie Rosji istnieją dwie grupy — ekonomiści-teoretycy, którzy sporządzają projekty reform i szybko zmiierzają do

gospodarki rynkowej, oraz praktycy przemysłowi, którzy chcą zachować scentralizowany system zarządzania. Nie jest to oczywiście żadne odkrycie, dawno o tym czytałem i pisałem. Nowością natomiast było spotkanie z przedstawicielem „partii dyrektorów”, wyrażającymi poglądy Związku Obywatelskiego Arkadego Wolskiego, który ma w parlamencie silną frakcję.

Fundamentem poglądów „kapitanów przemysłu” jest przekonanie, że należy koniecznie zachować istniejące w Związku Sowieckim więzy ekonomiczne. Podczas rozmów odnosił mi wrażenie, że ludzie ci nie chcą i nie przyjmują do wiadomości, że Związek Sowiecki się rozpadł. Do tej uwagi można dołączyć oświadczenie nowego premiera Ukrainy. Ledwo objął stanowisko, oświadczył, że więzy ekonomiczne między Ukrainą i Rosją powinny zostać zachowane. Jest to całkiem logiczne: były dyrektor największego na świecie przedsiębiorstwa budowy rakiet wie, że mógł konstruować swoje zabawki tylko dzięki ściślejszej współpracy z gospodarką całego Związku. Taka jest żelazna logika wszystkich „dyrektorów” kompleksu wojskowo-przemysłowego, który wciąż jest podstawą eks-sowieckiego przemysłu.

Za pytaniem „kto rządzi?” kryje się pytanie „kto przeszkadza w rządzeniu?”. Jest to pytanie o opozycję. Jeśli przyjmiemy, że Rosją rządzi rząd Jelcyna, to przeciwników jego polityki można znaleźć przede wszystkim w jego własnym łonie. Są to producenci kontra ekonomiści. W opozycji jest parlament. Istnieje jednak również opozycja zewnętrzna: partie (reprezentowane w parlamencie lub nie). Jednym z głównych epizodów mojego pobytu w Moskwie była wizyta na zjeździe Frontu Ocalenia Narodowego. Moim moskiewskim przyjaciołom nie bez trudu udało się zdobyć dla mnie imienne zaproszenie, bez którego nie sposób było wejść (musiałem obowiązkowo okazać paszport). Ludzie z komitetu organizacyjnego znali moje książki, które im się nie podobały. Mimo to dostałem zaproszenie i rankiem 24 października udałem się na zjazd. Drzwi szturmował gęsty tłum chętnych do wejścia. Silne draby, które pilnowały porządku, z trudem powstrzymywały napór.

Zbawcy narodu zebrali się w ośrodku parlamentarnym — budynku w stylu sowieckiego *Empire*, w którym dawniej mieściła się szkoła kadr związków zawodowych. Ledwie wszedłem do ogromnej sali, zobaczyłem podium, a za nim ścianę, z której jasno wynikało (niemal) wszystko. Na górze widniał wiersz Puszkina „Powstań, Rosjo!” (czy nie u rosyjskiego geniusza zapożyczył Franco swoje *Arriba, Espania?*), pod wierszami dwa sztandary, a pod nimi Minin i Pożarski. Sygnalizacja elementarnie prosta. Puszkina wzywał do boju. Dwa sztandary zbijały zebranych nieco z tropu: jeden znali wszyscy, była to stara, czerwona sowiecka flaga z sierpem i młotem; drugiego natomiast — trzy równoległe czarno-złoto-białe pasy — nie znał prawie nikt. Biało-niebiesko-czerwony sztandar rosyjski znają wszyscy, ale ten przywłaszczył sobie Borys Jelcyn jako oficjalny sztandar Federacji Rosyjskiej. Sprytni organizatorzy kongresu

zdobyli więc sztandar cesarski. Te dwa sztandary z dwóch przeciwnych światów, caratu i komunizmu, symbolizowały jedność „lewych” i „prawych”, „komunistów” i „patriotów”, czerwonych i korzennych, jak powiada Jelcyn.

Zatem pierwszy znak oznaczał walkę, drugi — skład oddziałów bojowych, trzeci zaś — wroga. Minin i Pożarski stali na początku XVII wieku na czele sił, które przemogły rosyjską niemoc i przegnały obcych najeźdźców — Polaków. Na ścianie widniało wszystko — środki i cel. Dodam od razu, że celem nie byli Polacy. Byli tylko symbolem.

Powoli, z zaledwie półgodzinnym opóźnieniem, prezydium zapewnił przywódcy około trzydziestu partii, które podpisały alians i stworzyły Front Ocalenia Narodowego. Na scenie zasiedli polityczni i duchowi przywódcy opozycji. Po lewicy (patrząc na podium) siedział na skraju Igor Szafarewicz, najstarszy wiekiem członek komitetu organizacyjnego (on też otworzył obrady). Po prawicy na skraju siedział Edward Limonow. Między nimi rozpoznawałem deputowanych ludowych, wojskowych, pisarzy. Literaturę rosyjską reprezentowali — poza Limonowem — Walentin Rasputin, Aleksander Prochanow, Wasilij Bielow.

Sens wszystkich przemówień był prosty i jasny. Rosyjski poeta powiedziałby: jak szylł na karczmiu. Należy obalić okupacyjny rząd Jelcyna i Gajdara. Jeden z mówców dodał, że trzeba to zrobić drogą konstytucyjną. Inni zapominali dodać. Wszyscy jak jeden mąż powtarzali: władza to my, dajcie nam władzę. Szczególnie malowniczo przemówił generał-pułkownik Makaszow, niefortunny kandydat na prezydenta Rosji (6% głosów), usunięty z wojska za — jak powiedział — „patriotyzm”, ale mimo to w doskonałej formie, obwieszony orderami i medalami. Słuchając generała, czułem się, jakbym był w Berlinie roku 1932 — takim, jaki znam z filmów. Makaszow świetnie sobie przyswoił talenty hitlerowskich mówców. Obrzucając najgorszymi wyzwiskami prezydenta i premiera, nagle oświadczył: wiem, że nikt tu nie lubi Jelcyna... i rzucił: kto za Jelcynem, proszę wstać! Po czym: Nie uważajcie tego za rozkaz: kto przeciw Jelcynowi, proszę wstać! Cała sala zerwała się na nogi. A ja zrozumiałem, jak trudno jest siedzieć, kiedy wszyscy wstają.

Powietrze na sali było nasycone nienawiścią, mówcy — jedni względnie ostrożnie, drudzy z całą brutalnością — sączyli nienawiść do okupantów i kolonizatorów. Głównym wrogiem była Ameryka. Znany schemat — Ameryka, z ukrycia kierowana syjonistami, chce skolonizować Rosję, aby ją unicestwić — cieszył się tym większym powodzeniem, im otwarciej był głoszony.

Im zażarciej mówcy nienawidzili wrogów (Amerykanów, syjonistów, Estończyków), tym goręcej kochali Rosję i Państwo, rosyjskie państwo. Przywódca partii narodowo-republikańskiej krzyczał: „Nasz naród jest tworem kosmicznego porządku... Rosyjscy potomkowie wielkiej rasy panów świata”. Aleksander Prochanow, naczelny redaktor pisma *Dzień*, podkreślał: państwo rosyjskie jest

pojęciem religijnym, etycznym.

Słuchając przemówień „zbawców Rosji”, zadawałem sobie poważne pytanie: jakie mają szanse dojścia do władzy? Zjazd odbywał się w sobotę, w poniedziałek Borys Jelcyn zdelegalizował Front Ocalenia, ale partie, które weń wchodziły, działają nadal. Żadnej „masowej reakcji” nie było. Przywódcy frontu mogą go przemianować na związek, zjednoczenie, armię itd., ale brak poważnych protestów po jego delegalizacji świadczy o tym, że jego wpływy są niewielkie. Wiele elementów z przemówień oratorów niewątpliwie może liczyć na odzew i znajduje go: opisy katastrofy gospodarczej, płacz po utraconej pozycji wielkiego mocarstwa — ale ich ekstremizm budzi strach i zniechęca do nich.

W kularach sprzedawano gazety i czasopisma opozycji. Wiele z nich widziałem w różnych zakątkach Moskwy, ale zebrane razem były zwierciadłem lewicowo-prawicowego bloku (zwierciadłem nieco krzywym, bo odbijały tylko część politycznego spektrum dzisiejszej Rosji). Obok gazet leżały na dwu przeciwnych krańcach — *Andropowska prawda*, organ partii komunistycznej pod przewodnictwem Niny Andriejewoj, i *Czarna sotnia*, organ czarnosecińców. Całą tę liczną (i w zasadzie niskonakładową) produkcję łączy jedno: tęsknota za przeszłością. Jest to prasa nostalgiczna, której marzą się piękne stare czasy. Jednym Andropow, innym Breżniew, jeszcze innym Stalin z Leninem.

Wydaje się, że powrót do tej wytęsknionej przez „andropowców” i „czarnosecińców” przeszłości nie jest możliwy. Nie tylko dlatego, że nie ma bazy do krwawego przewrotu, ale też dlatego, że do przewrotu potrzebny jest wódz. Wodza nie było w sierpniu 1991 roku, dziś natomiast jest zbyt wielu kandydatów do roli Bonapartego albo Lenina.

Demokraci też nie mają uznanych wodzów. Co więcej, odniosłem wrażenie, że „jaskółki swobody”, które z zachwytem powitały Gorbaczowa i *pieriestrojkę*, przestały się interesować polityką. Okazała się zajęciem trudnym, brudnym i kłopotliwym. Jedynym człowiekiem, który być może myśli o powrocie do walki politycznej, jest Jurij Afanasjew, jeden z trzech twórców Międzyregionalnej Grupy Deputowanych (dwaj pozostali to Sacharow i Jelcyn). Oświadczył on, że odsunął się od polityki, opublikował po francusku książkę „Fatalna Rosja”, w której opisuje, jak kolejno urzekli go Lenin, Breżniew, Andropow, Gorbaczow i wreszcie Jelcyn, i kolejno wszyscy go rozczarowali. Dziś Jurij Afanasjew ostro krytykuje politykę Jelcyna i po cichu zbiera wokół swojego moskiewskiego humanistycznego uniwersytetu intelektualną opozycję. Jej program jest zawily i mętny.

Jelcyn nie ma dziś w Rosji poważnych przeciwników. Istnieją natomiast poważni przeciwnicy programu Jegora Gajdara.

Najprawdopodobniej — prognozy zawsze są ryzykowne, ale zaryzykuję! — Borys Jelcyn rozwodni rząd „dyrektorami”, którzy będą hamować program reform. Jeśli prezydent spotka bardzo silną

opozycję na zjeździe deputowanych ludowych, złoży Gajdara w ofercie. Jeśli nie — przyda mu kilku wicepremierów spośród „praktyków”. W nieuchronnym, moim zdaniem, powrocie do umiarkowanej — na razie — postaci gospodarki scentralizowanej odgrywają rolę dwa czynniki. Po pierwsze fakt, że w obliczu katastrofy gospodarczej wszystkie były republiki, a obecnie suwerenne państwa, poszukują sposobów odtworzenia zerwanych więzów ekonomicznych. Po drugie fakt, że Zachód porzuca politykę pełnego liberalizmu ekonomicznego i zamierza — wybór Billa Clintona jest jednym z najważniejszych tego sygnałów — zwiększyć udział państwa w życiu gospodarczym.

Starcie między Jelcynem a zjazdem deputowanych ludowych w grudniu 1992 roku zadecyduje o tym, jakie będą najbliższej zimy posunięcia Rosji — do przodu albo do tyłu.

11. 11. 1992

Adam KRUCZEK

## Polacy w Niemczech

Polonia w Niemczech przeżywa nowy etap: następuje koordynacja działań poszczególnych związków, organizacji i klubów. Kończy się okres rozbicia i działania na własną rękę każdej z siedemdziesięciu do stu grup polonijnych. Jest to z pewnością związane z ratyfikowaniem traktatu polsko-niemieckiego z czerwca 1991 r. Traktat (oraz dołączona do niego wymiana listów między ministrami spraw zagranicznych, Skubiszewskim i Genscherem) stworzył nowe szanse dla polskich i niemiecko-polskich towarzystw i organizacji w RFN mimo, że zgodnie z ustaleniami międzynarodowymi Polacy nie stanowią w Niemczech tzw. mniejszości narodowej (Niemcy w Polsce mniejszość taką stanowią!).

### Struktury organizacyjne

Środowiska polskie i niemiecko-polskie w Akwizgranie, Berlinie i Monachium przyjęły następującą strukturę: stowarzyszenia i organizacje polskie i niemiecko-polskie działają przede wszystkim na szczeblu „Landów” (odpowiednik polskich województw, ale z o wiele bardziej autonomiczną samodzielną władzą samorządową). Większość spraw wynikających z realizacji traktatu załatwia się bowiem na poziomie „Landów”, a nie w urzędach federalnych w Bonn. Organi-

zacje polskie i niemiecko-polskie tworzą sekretariaty (rady, związki) które nie ingerują w żadne sprawy wewnętrzne tych organizacji, a jedynie reprezentują je wobec miejscowych władz niemieckich i koordynują ich działalność. Należy tu np. podejmowanie wspólnych akcji na rzecz szkolnictwa polskiego, prasy polskiej, radia dla Polaków, wymiany kulturalnej polsko-niemieckiej itp. Z kolei organizacje skupione w sekretariatach (radach) tworzą wspólnie *Polskie Forum w Niemczech*. Zadania forum to zabieranie głosu w sprawach zasadniczych dla Polaków w Niemczech (obywateli RFN, bezpaństwowców, obywateli polskich, obywateli innych państw) a także w sprawach dobrego sąsiedztwa między obu narodami. ■ 1 czerwca 1992 odbyło się założycielskie zebranie Związku Organizacji Polskich w Bawarii. Na czele związku stanął Tadeusz Nowakowski. ■ 1 sierpnia 1992 powstało Forum Polskie w Niemczech (Akwizgran, Berlin, Monachium) które grupuje 23 organizacje polskie i polsko-niemieckie z północy, środka i południa Niemiec.

### Działalność Forum Polskiego w Niemczech

Forum Polskie wystosowało między innymi pisma do władz RFN (Bundesprezydent, Bundeskanclerz, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych) dotyczące fali antycudzoziemskich wybrzków w Niemczech. Na pismo to nadeszła między innymi odpowiedź Ministerstwa Spraw Wewnętrznych RFN, powołująca się na przemówienie ministra Spraw Wewnętrznych Rudolfa Seitersa w Bundestagu, 8 października, zapowiadające surowe kroki przeciw ekstremistom. Do Ministerstw Ochrony Środowiska w Polsce i RFN a także do kierownictwa partii „Zielonych” w Bundestagu skierowane zostało pismo w sprawie zaprzestania budowy spalarni śmieci w miejscowości Torgelow, 15 km od Szczecina. Forum Polskie w Niemczech pragnie tworzyć i organizować „polskie lobby” wśród znanych w Niemczech polityków, dziennikarzy, artystów i intelektualistów i przy ich pomocy doprowadzić np. do włączenia do tzw. kabła programu III polskiej telewizji (program satelitarny polskiej TV wchodzący na stałą antenę wiosną przyszłego roku).

### Działalność Stowarzyszenia na Rzecz Porozumienia Niemiecko-Polskiego w Monachium (w II półroczu 1992)

4. 06. 1992 na zaproszenie SPNP przybyła do Bawarii delegacja 6 radnych i urzędników gminy Jabłonna k. Warszawy. Celem kilkudniowego pobytu w Bawarii było zapoznanie się z funkcjonowaniem samorządu w Niemczech. Wizyta doszła do skutku dzięki inicjatywie członka SPNP p. W. Zielińskiego. Delegacja przebywała m.in. w Starnbergu. ■ 6. 06. 1992: powstaje Związek Obywatelski Organizacji Polskich w Bawarii i Niemczech pld. SPNP jest

członkiem-założycielem Związku. ■ W dniach 23.06.-26.06 SPNP zorganizowało pobyt na festiwalu Kultury Europejskiej w Krakowie Teatru Narodowego z Mannheimu ze sztuką „Konferencja ptaków” J.C. Carrière. W zorganizowaniu wyjazdu walnie dopomógł sympatyk SPNP (i obecnie członek honorowy stowarzyszenia) dr Alfred Biolek, znany niemiecki dziennikarz telewizyjny i reżyser teatralny. ■ 1.08.1992: SPNP wchodzi do Forum Polskiego w Niemczech (Akvizgran, Berlin, Monachium). ■ Sierpień 1992: Tadeusz Nowakowski i Alina Perth-Grabowska reprezentowali SPNP na Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy w Krakowie. ■ 4.09.1992: współpraca przy organizowaniu pierwszej w Niemczech wystawy obrazów polskiego malarza światowej sławy, Zdzisława Beksińskiego. Wystawę otwarto w „Kunsthau Dr Hartl” we Freisingu. Tadeusz Nowakowski wygłosił odczyt o kontaktach polsko-niemieckich w dziedzinie kultury. Telewizja Łódzka nakręciła reportaż z otwarcia. ■ 2.10.1992: spotkanie z naczelnym redaktorem *Życia Warszawy* i prezesem Polskiej Unii Wydawców, Kazimierzem Wóycickim. Temat: Czy prasa w Polsce jest wolna. ■ 12.10.1992: spotkanie z prof. dr senator Dorotą Simonides. Temat: Mniejszość niemiecka w Polsce, mniejszość polska w Niemczech (spotkanie w jęz. polskim i niemieckim). ■ 14.11.1992: Walne Spotkanie SPNP połączone z prezentacją obrazów Ewy Czerwińskiej-Romanowskiej i Gabriela Abratowicza (poprzedza projektowaną wystawę „Polscy malarze w Bawarii”). ■ W planie: w I-szej połowie 1992 spotkanie z ambasadorem RP w Niemczech, J.E. Januszem Reiterem. ■ Przedstawiciele SPNP uczestniczyli także w licznych „polskich” imprezach odbywających się ostatnio w Bawarii. 1 października 1992 w salach Nowej Pinakoteki monachijskiej odbyło się otwarcie wystawy obrazów ze zbiorów Anastazego hrabiego Raczyńskiego. Zbiory te znajdują się w Poznaniu, a pokazanie ich w Bawarii (następnie w Berlinie i Kolonii) stanowi owoc współpracy kierownictwa Muzeów Bawarskich i Muzeum Narodowego w Poznaniu. Wystawę (w obecności nieprawdopodobnego tłumy wybitnych osobistości monachijskich) otworzył ambasador Janusz Reiter. Obecny był między innymi bawarski minister kultury oraz hrabia Józef Raczyński (z „niemieckiej” linii), mieszkający obecnie w Ameryce Płd. Hrabia Edward Raczyński w Londynie udzielił RWE wywiadu z okazji otwarcia wystawy. ■ Bardzo szczególny, serdeczny charakter miała uroczystość związana z przekazaniem polskim sierocińcom i szpitalem setnego transportu darów, zebranych przez niemiecką gospodynię domową z miejscowości Krailling pod Monachium, panią Wiltrud Wessel. Przybyli na nią nawet robotnicy z Poznania (dokąd trafiają ciężarówkami z darami)! W uroczystości, która odbywała się w Kraillingu, wziął udział miejscowy burmistrz i ludność miasteczka. Pani Wessel jest członkinią honorową SPNP.

Alina GRABOWSKA

## Kronika kulturalna

### PIN — jaki był, jest i będzie

#### PRZYSZYNEK DO STUDIUM O ZBOLAŁEJ DUSZY POLSKIEJ

*Byłoby rzeczą ciekawą i pożyteczną zdać sobie sprawę, jakiego rodzaju pojęcia i wyobrażenia kojarzą się dziś w umyśle przeciętnego Europejczyka z wyrazem „kultura”, „kultura nowoczesna”. Sam wyraz nie schodzi z ust [...].*

Stanisław Brzozowski *Legenda Młodej Polski.*  
*Studyja o strukturze duszy kulturalnej*

Gdyby mi przyszło sięgać do prehistorii problemu, zapewne ugrzązłbym w pismach Nałkowskiego, Brzozowskiego, Żeromskiego, Irzykowskiego, Stempowskiego, Mieroszewskiego, może nawet przyszyłoby mi wertować Norwida. Cóż, nazwiska to znane, w Polsce i dzisiaj wymieniane wraz z urywkami utworów, ale czyż powróć do „Przedwiośnia”, ostatecznie lektury obowiązkowej w tym kraju przez dziesięciolecie, nie byłby sporą przesadą? Poprzestanę przeto na faktach elementarnych. „Nowy słownik podręczny, łańcisko-polski, opracowany podług najlepszych źródeł” przez Łukasza Konciewicza, byłego Profesora Gimnazjalnego Guberni Lubelskiej z roku 1908 podaje: „INTELLIGENS — rozumny, umiętny, biegły, znawca sztuki”; „INTELLIGENTIA — rozum, poznanie, rozumienie, znajomość, obznajomienie się z nauką, umiejętnością lub sztuką, smak”. Przynajmniej tyle wiedzieć musiał ówczesny polski inteligent, absolwent gimnazjum, przedstawiciel grupy społecznej żyjącej z pracy swego umysłu. Zastanawiam się jakie byłyby

wyniki odpowiedzi na ankietę rozpisaną wśród ludzi uważających się dzisiaj w Polsce za inteligencję, gdyby postawić tam pytanie: cóż to takiego „inteligent”? Podejrzewam, że zaskakujące; ostatecznie „pochodzenie inteligenckie” (ta formuła nadal figuruje w rozmaitych kwestionariuszach urzędowych) ustępuje przed „pochodzeniem ziemiańskim”, zaś tytuł „magistra-inżyniera” niczym jest (nie tylko w konserwatywnym Krakowie) w konfrontacji z tytułem „hrabiego” („kurlandzka szlachta” także wraca do łask, mimo kolejnej projekcji „Kariery Nikodema Dyzmy” w telewizji polskiej). Tutaj pojawia się kolejny problem semantyczny: czy „intelektualista” to „inteligent” przeświadczony o potędze „intelektu”? Zda mi się, że zabrniętem cokolwiek za daleko, nie chciałbym odwoływać się do rozstrzygnięć zaproponowanych przez znakomitego znawcę zagadnienia — Władysława Gomułkę.

W każdym razie w tym kraju słowo „inteligencja” funkcjonowało publicznie przez lata wyłącznie, gdy towarzyszył mu stosowny epitet (najlepiej: „pracująca” lub „miast i wsi”) natomiast słowo „intelektualista” posiadało jednoznacznie pozytywne nacechowanie. Przypomnijmy: „intelektualiści”, reprezentujący „postępową inteligencję Zachodu” uczestniczyli m.in. w Światowych Kongresach Obróńców Pokoju; natomiast nikt — przynajmniej bez stosownego przekąsu — publicznie nie określiłby mianem intelektualisty chociażby Karla R. Poppera. Nie pomnę natomiast, czy mówił się o „intelektualistach radzieckich” czy tylko i wyłącznie o „radzieckich uczonych, artystach, ludziach pióra i kultury”. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, iż „intelektualiści” byli przede wszystkim w Polsce i na Zachodzie, niekiedy tylko można było usłyszeć „o czołowych intelektualistach bułgarskich”.

Nie wiem jednak, czy w przypadku prób zdefiniowania pojęcia „intelektualista” funkcjonującego przez lata w Polsce nie pomogłaby właśnie formuła spopularyzowana przez Gomułkę: „ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra”. I to szczególnie dzisiaj, kiedy w Polsce po raz kolejny praca umysłowa stała się przedmiotem szczególnej pogardy, a probowanej przez publiczne wypowiedzi najwyższych urzędników państwowych. Głupota, obskurantyzm kwitną jak nigdy, towarzysz Wiesław miałby powód do radości. Sądzę, że obwinianie za to komunistów byłoby już grubym nieporozumieniem.

Książka Rafała Grupińskiego pod cokolwieczek zawitym tytułem: „Dziedzinec strusich samic. Kilka uwag o życiu umysłowym w Polsce” (wydawnictwo OBSERWATOR, Poznań 1992) jest istotną próbą uporania się z niektórymi z tych problemów. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, iż jest to jedna z najpoważniejszych publikacji poświęconych tożsamości i auto-refleksji inteligencji polskiej, przywołane przeze mnie na począt-

ku wielkie nazwiska nie są wyłącznie ozdobnikiem stylistycznym; to jest kontekst, w jakim sytuować należy ten tom. Jednoznacznie precyzuje intencje autora *Kilka słów na zakończenie*: „Dziedzinec strusich samic” to książka, w której znaleźć można echa wielu ważnych wydarzeń ostatnich lat. To zbiór tekstów opisujących i komentujących zmiany, które dokonywały się w polskim życiu umysłowym w czasie niezwykle ważnym dla jego uczestników, dla całej Polski i jej kultury. Jest ów zbiór także polemiką z tą częścią polskiej tradycji, do której odwołują się od lat polscy intelektualiści, na której zbudowano sztuczne hierarchie i zafalszowany etos moralizującego intelektualisty, który parafrazując słynnego reformatora, zawsze jest sprawiedliwy i zawsze usprawiedliwiony.

„Dziedzinec” powstał ze zniecierpliwienia letniością i płytkością życia intelektualnego, w którym celebrytuje się wciąż te same tematy i przekonania. Jednak spór o kształt polskiej kultury dopiero się zaczyna. Wszystko przed nami”. Przyznam się, że po lekturze całej książki te słowa dość mnie zaskoczyły. Skąd się wzięła końcowa nadzieja — dalipan, nie wiem. Ostatecznie w rządzie Hanny Suchockiej stanowisko ministra kultury jest wyłącznie obiektem osobliwych przetargów partyjnych, problematyka kultury jest nieomal nieobecna w jej wystąpieniach publicznych, ot — nie ma o czym gadać. Osobiście powiedziałbym raczej: teraz przed nami straszna ciemność, lecz to mój prywatny sąd. Ważne natomiast, że na intencjach się nie skończyło.

Zebrane tu szkice publikowane były wcześniej, m.in. na łamach *Kultury* czy poznańskiego *Czasu kultury*; najwcześniejszy pt. „O pocieszeniu, jakie daje sztuka” pochodzi jeszcze z 1986 — to dawno, przynajmniej zważywszy na tempo przemian w Polsce (jak powiada się ostatnio z upodobaniem w środkach masowego przekazu). Ale i ten z roku 1986, i późniejsze, wreszcie ostatnie z roku 1991 czytane dzisiaj składają się na niesłychanie istotną całość. To też ważne, nie chce mi się nawet wymienić książek opublikowanych w Polsce, wedle deklaracji autorów poświęconych problemom doniosłym, które po roku lub dwu nadają się w najlepszym wypadku do muzeum (bądź: mauzoleum).

Leopold Unger w znakomitym „Dekalogu anty-Kultury” pisał: „W «uprawianiu» zła, w usprawiedliwianiu gwałtu, w szalbierstwie intelektualności «zdradzili» bardziej niż politycy (...) oddali wolność wypowiedzi w służbę tyranii, dokonali przekupstwa języka, odwrócili sens moralności, umieścili kłamstwo w centrum ludzkiego myślenia. Doprowadzili do perfekcji sztukę nie kreowania idei w oparciu o fakty, a wymyślenia faktów tak aby pasowały do idei”. Gorzka to prawda, ale prawda; zdrada klerków czy — mniej patetycznie: sprostituowanie inteligencji

jest integralnym elementem cywilizacji XX wieku, jest także elementem kultury polskiej, i to nie tylko tej, którą zwykło się opatrywać mianem „pojałtańska”. Długo przed Jaltą nie brakowało nam zwykłych kanałii czy durniów, wypowiadających się publicznie, pretendujących do miana autorytetów moralnych i uniwersalnych.

Rafała Grupińskiego interesuje niewielki fragment współczesnego polskiego życia umysłowego — ostatecznie to tylko: „kilka uwag”. Grupińskiego interesuje ten krąg intelektualistów polskich, którego przedstawiciele byli przekonani, głosili niegdyś publicznie (a przynajmniej w wąskim gronie przyjaciół), iż bronią najświetniejszych wartości przed zakusami totalitaryzmu. Owe „najświętsze wartości” zazwyczaj nie były precyzyjnie określone. Gdyby nawet nie bronili, to przynajmniej teraz za obronę się zabierają, oznajmiwszy uprzednio, że byli Wallenrodami, „pełzając milczkiem jak wąż łudzili despotę”, ewentualnie demontowali system od wewnątrz. Autor „Dziedzińca strusich samic” koncentruje się na przejawach „kultury niezależnej” (funkcjonowało wcale nie tak dawno takie określenie, nikt nie zastanawiał się, na czym owa „niezależność” polega, ale samo określenie było skończenie pozytywne). Ostatecznie z tego kręgu wywodzą się ludzie, pretendujący dzisiaj do godności (czy raczej: funkcji) autorytetów, nie zauważający nawet, iż kult autorytetów w Polsce chyli się od dawna ku upadkowi. Lecz o to mniejsza.

Podstawowym obiektem opisu, analizy i interpretacji jest dla Grupińskiego PIN, tj. „polski intelektualista”. „Jeden PIN” — byłaby to niezła jednostka miary na skali łajdactwa, ale to tylko dygresja. Przez pewien czas skłonny byłem uznać figurę PIN-a za konsekwencję poetyki pamfletu, jednak książka Grupińskiego, chociaż pisana z pasją, miejscami z zacietrzewieniem, z pamfletem niewiele ma wspólnego. Następnie zastanawiałem się, czy ta kategoria, nie uwzględniająca różnicy wieku, następstwa generacji („pokolenie Kolumbów”, „pokolenie pryszczających”, „pokolenie 56”, „pokolenie 68”, „pokolenie wnucząt bez biografii” aż po „pokolenie stanu wojennego”), a także pomijająca aspekt wykształcenia („samorodny talent”, „genialny samouk”, „średnie”, „humanistyczne”, „prawnicze”, „ekonomiczne”, „medyczne”) nie jest przypadkiem pewnym nadużyciem. Obecnie wiem, że nie jest. Grupiński przekonał mnie (zresztą podejrzewałem to od dawna), iż być PIN-em znaczy jedno: zachowywać się, a przede wszystkim głądzić jak inni PIN-owie; im szybciej uświadomią to sobie młodzi PIN-kowie, tym szybciej zostaną uznani za dojrzałych, rozważnych i odpowiedzialnych PIN-ów. A wypowiadać się należy na wszelkie, akurat wywołane tematy, problem kompetencji nie powinien istnieć dla

PIN-a, ostatecznie jest on kompetentny przez sam fakt bycia PIN-em. Przeto żadne różnice nie mają tutaj znaczenia, rzecz cała polega na przestrzeganiu reguł stała i powielaniu starych, wypróbowanych w przeszłości przez poprzedników wzorców. Opisowi kolejnych inicjatyw, zachowań, zwyczajów językowych PIN-a poświęcona jest ta książka. Również mowa jest tu o konkretnych osiągnięciach PIN-a; wśród nich dzisiejszy brak kultury politycznej, obskurantyzm, pogarda dla nauki i oświaty (od szczebla podstawowego po studia wyższe), mylenie nauk medycznych z naukami ekonomicznymi, a przede wszystkim z ideologią zajmują miejsce niepoślednie; o „przeklętych problemach” polskiego Sejmu i Senatu w obliczu katastrofy gospodarczej, podobnie jak o rozgrywkach personalnych prowadzonych przez Belweder już nie wspominam (ostatecznie „Belweder” to także efekt działalności PIN-ów). Otóż tu pojawia się elementarne pytanie: dlaczego jest tak źle, skoro miało być tak dobrze?

W szkicu pt. „Frazes i czyn czyli coś z archeologii kłęski” pisze Grupiński: „Zaczęło się niewinnie, od uzurpacji przez część sił solidarnościowych owoców zwycięstwa, skończyło, i inaczej być nie mogło, na wytworzeniu atmosfery nieufności w szczerze intencji wszelkich przedstawicieli dawnego mózgu 'Solidarności'. Wielu uczestników i obserwatorów sceny politycznej do dzisiaj nie zaakceptowało przejścia od etosu niezłomności do taktyki kompromisu, nie zrozumiało go i do dziś nie rozumie. Ale też nikt z głosicieli konieczności zwalczania komunizmu jako wcielonego Zła nie uznał za konieczne wyjaśnienia, dlaczego równoległe prowadzono starania o rozwiązanie kompromisowe, dlaczego wielkim słowom towarzyszyły małe układy...”. Jak sięgnę pamięcią, opinia publiczna zaangażowana była ówczesnie w groteskową akcję Artyści Rzeczypospolitej, później pojawiła się chyba dyskusja o konieczności przewartościowania romantyzmu, bez mała wszyscy wypowiadali się o wartościach śpiewogry pt. „Metro” (jedni dobrze, drudzy źle). Cóż: „takie były zabawy, spory w one lata...”. To przykład ekstremalny, ale znakomicie chyba ilustruje zachowania PIN-ów, opisywane przez Grupińskiego.

O ile się orientuję, istnieje pojęcie „grzechu przez zaniechanie”, to jeden z grzechów głównych polskiej kultury niezależnej. Przenosząc rozważania na poziom życia społecznego: w Polsce przez lata obowiązywała praktyka tzw. tematów zastępczych; że nie jest to wymysł komunistów, najlepiej uświadamia sięgnięcie do pism Irzykowskiego (choćby do szkicu „Plagiatowy charakter przełomów literackich w Polsce”, z roku bodajże 1932), tę praktykę intelektualną opisuje Grupiński. „Dziedzińca strusich samic” to opowieść o konfrontacji dwóch światów: świata PIN-ów

i świata rzeczywistego. Ten pierwszy wykreowany został przez reanimowanie polskich stereotypów i mitów, drugi — jaki każdy widzi. Między tymi światami, między obowiązującymi tam hierarchiami wartości nie istnieje żaden związek. Jeżeli to nie jest forma kolejnej zdrady klerków, to zaiste nie wiem, jak określić takie postępowanie. PIN-owie nie zrezygnowali nigdy z archaicznego języka, z anachronicznych problemów, dzisiaj trwa nadal proces wmawiania, iż innego języka i innych problemów nie było nigdy. „Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych wartości” (świetne są formuły Grupińskiego, acz nie rozumiem, dlaczego pomija on zasłużone dla Sprawy i Styropianu niewiasty, tudzież spore grono nawiedzonych od dziesięcioleci babiszonów) w dalszym ciągu przyczyniają się do dewastacji umysłów w Polsce, chociażby gładząc bez przerwy o kolaboracji, „hańbie domowej”, wartościach chrześcijańskich, aborcji, przede wszystkim zaś o wielkości literatury polskiej, z którą równać nie mogą się inne literatury na świecie, wreszcie o naturze i przymiotach ducha polskiego. Przede wszystkim o literaturze, gdyż z literatury my wszyscy, ponadto o literaturze mówić może z zaangażowaniem każdy, dzięki czemu człek parający się literaturą zna się na wszystkim (gdyby się nie znał, nie byłby literatem).

„Dziedziniec strusich samic” to niesłuchanie surowa ocena inteligencji polskiej. I to nie tylko tej inteligencji, która była związana bezpośrednio z kręgami opozycji demokratycznej w Polsce, lecz pośrednio i poprzedników — „nauczycieli i mistrzów”, i kontynuatorów. Powiedziałbym nawet, iż jest to ważny głos w dyskusji, gdybym nie był dziwnie spokojny, że żadnej dyskusji nie będzie. Niedawno rekomendując tę książkę znajomemu, człowiekowi sympatycznemu i niegłupiemu, usłyszałem: ten Grupiński to chyba niepoważny facet; ot, „Dziedzińca” nie czytał, innych tekstów też nie, ale swoje wiedział. I tak chyba być powinno, uważna lektura tej książki mogłaby doprowadzić do kryzysu wartości (tych uznawanych przez lata), do zerwania ciągłości polskiego życia umysłowego. Przecież jeżeli nawet jest ono miałkie — po cichu przynajmniej tak wielu powiada — to przynajmniej gwarantuje iluzję ciągłości, a wypracowania pewnej wizji ciągłości ponad większymi i mniejszymi łajdactwami potrzeba nam dzisiaj najbardziej.

Dlatego — powtarzam: zdziwiła mnie niesłuchanie nadzieja autora, wyrażona przezeń w ostatnim słowie. Wybornie wszak powinien zdawać sobie sprawę z tego, że o książkach ważnych w Polsce nigdy się nie rozmawiało i nie dyskutowało, wobec spraw wstydlivych obowiązywała zasada: „nie trzeba głośno mówić”. Inaczej nie będzie i tym razem, wszak analiza PIN-a, który stara się nikogo nie urazić (ale sam też nie lubi być przez nikogo urażony) jest przerażająco prawdziwa.

„Wszystko przed nami” — powiada Grupiński. Do kaduka, do kogo on to mówi?

Ale „nic to” — jak rzekł onego czasu Michał Wołodyjowski, wysadzając się z całą twierdzą w powietrze. Ostatecznie wątpliwość Stanisława Brzozowskiego, którą pozwoliłem sobie przypomnieć na samym początku, też nigdy nie została rozstrzygnięta, wszystko zostało zaprzepaszczone w ujadaniu towarzyszącym problemowi zastępczemu. To także tradycja, do której nawiązuje w swoim postępowaniu PIN, to tradycja inteligencji polskiej. Można mieć tylko nadzieję (?), że kiedyś zostanie napisana rzetelna historia inteligencji XX wieku. Obawiam się, że nie będzie to lektura budująca, podobnie jak przechadzka po „dziedzińcu strusich samic”. Może wtedy zaprzepaszczone szanse „kultury niezależnej” nie będą się rysowały tak drastycznie, przynajmniej świadomość, że „u nich też” będzie niezłą formą samousprawiedliwienia. I znowu na autorefleksję nie będzie czasu...

Marek ADAMIEC

## List otwarty

Adresaci: Prezydent RP, Premier, Marszałek Sejmu.

Zaniepokojeni coraz bardziej pogarszającą się w ostatnich latach sytuacją kultury — zwracamy się z apelem do władz o zaprzestanie lekceważącej i krótkowzrocznej polityki w stosunku do instytucji służących jej upowszechnianiu.

Badania statystyczne wskazują na gwałtowny spadek uczestnictwa w kulturze, co wiąże się z ogólną pauperyzacją społeczeństwa polskiego, a także brakiem skutecznej polityki kulturalnej państwa. Świadczy o tym rosnąca liczba zamykanych placówek kulturalnych, ograniczenia w dostępie do książki, prasy, teatru i kina szczególnie tam, gdzie występują największe zaniedbania. Zaczyna się już ujawniać niebezpieczny podział na regiony biedne pod tym względem i bogatsze. Szeroko reklamowane do niedawna fundacje, które rzekomo miały zajmować się obroną kultury, służą w istocie swej prywatnym interesom osób nimi kierujących.

Ostatnim przejawem działalności, która budzi nasz szcze-

gólny niepokój, jest propozycja obłożenia wydawanych książek siedmioprocentowym podatkiem. W praktyce musi to spowodować jeszcze większe ograniczenie czytelnictwa w kraju i upadek wielu wartościowych inicjatyw wydawniczych.

Książka polska służyła zawsze umacnianiu tożsamości narodowej. Jej obrona jest obowiązkiem państwa i nie wolno się od niej uchylać, stosując kryteria doraźnego zysku.

Apel nasz kierujemy do władz odpowiadających za zaniebania w dziedzinie ochrony i upowszechniania kultury, oraz do samorządów, których odpowiedzialność jest nie mniej poważna.

Domagamy się stanowczo podjęcia skutecznych inicjatyw, które położyłyby kres dalszej dewastacji.

Straty w kulturze, z którymi mamy do czynienia w ostatnim czasie, mogą już w najbliższej przyszłości okazać się niemożliwe do odrobienia.

Warszawa, listopad 1992

*Stanisław BIENIASZ, Zbigniew BIENKOWSKI, Marian BRANDYS, Lidia CIOŁKOŚZOWA, Jerzy GIEDROYC, Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI, Czesław HERNAS, Zbigniew HERBERT, Krzysztof KARASEK, Urszula KOZIOŁ, Janusz KRASIŃSKI, Andrzej KUŚNIEWICZ, Tadeusz NOWAKOWSKI, Marek NOWAKOWSKI, Włodzimierz ODOJEWSKI, Kazimierz ORŁOŚ, Jarosław Marek RYMKIEWICZ, Wisława SZYMBORSKA, Władysław Lech TERLECKI, Witold ZALEWSKI, Zbigniew ŻAKIEWICZ, Tadeusz ŻENCZYKOWSKI*

(List 22 intelektualistów i pisarzy został również wysłany do Polskiej Agencji Prasowej i Inter-Press, oraz do kilku czołowych gazet warszawskich. Po pięciu dniach, w streszczeniu ograniczającym się jedynie do sprawy podatku, wraz z kilkoma wybranymi nazwiskami sygnatariuszy list ogłosiły: *Nowy Świat* i *Rzeczpospolita*. Po tygodniu, 9.11., list w całości, wraz z pełną listą podpisów, nadała w programie wieczornym Radio Wolna Europa. Następnego dnia dopiero, również pełny tekst z wszystkimi podpisami, opublikował warszawski *Ekspres Wieczorny*.

## Nagrody

### FUNDACJA IM. WŁ. I N. TURZAŃSKICH

Fundacja im. Władysława i Nelli Turzańskich przyznała po raz czwarty doroczne nagrody w dziedzinie kultury. Laureatami za rok 1991 zostali:

**BOGDAN CZAYKOWSKI** — wybitny poeta, tłumacz i krytyk, od lat związany z British Columbia University w Vancouver, gdzie pracuje jako wykładowca i kierownik katedry slawistyki. Autor tomów: „Trzciny czcionek” (Londyn 1957), „Reductio ad absurdum i przewyciężenie” (Londyn 1958), „Sura” (Londyn 1961), „Spór z granicami” (Paryż 1964), „Point-No-Point” (Paryż 1971) oraz obszernego tomu wierszy zebranych (ZNAK, Kraków 1990).

**JACEK Z. SAWICKI** — historyk, autor wielu opracowań naukowych z zakresu II wojny światowej, w tym nagrodzonej monografii „VII Obwód Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej Obroza”. Dr Sawicki jest współorganizatorem i członkiem zarządu „Fundacji Archiwum Polski Podziemnej 1939-1956” zajmującej się zbieraniem materiałów archiwalno-historycznych i publikacji oraz wydającej kwartalnik pt. *Materiały Historyczne*, poświęcony najnowszym dziejom Polski.

Dr Sawicki jest współautorem filmu dokumentalnego „Ten dziwny las”, poświęconego zbrodni katyńskiej, wyróżnionego pierwszą nagrodą (wspólnie z filmem amerykańskim) w kategorii filmów historycznych na II Międzynarodowym Festiwalu Filmowym „Armie i ludzie” — Rzym 1991.

**ROMUALD MIECZKOWSKI** — poeta, prozaik, redaktor naczelny dwutygodnika *Znad Wilii*, współorganizator Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków, przekształconego w Związek Polaków na Litwie, od kilku lat prowadzi polski magazyn informacyjno-publicystyczny Panorama Tygodnia w Telewizji Litewskiej.

Wysokość pierwszej nagrody 1.500 dol. kan., dwu pozostałych 1.000 dol. kan. każda.

Ponadto Fundacja postanowiła przyznać dotacje następującym redakcjom i instytucjom:

— Wydawanemu w Lublinie kwartalnikowi *Akcent* 1.250 dol. kan. w uznaniu jego ogromnych zasług w upowszechnianiu literatury polskiej.

— Ukazującemu się w Toronto czasopismu *Pielgrzym* 1.250 dol. kan. jako wyraz uznania dla poziomu wydawnictwa i wysiłku.

— Funduszowi im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego w Wilnie 150 dol. kan. na utrzymanie i rozszerzenie idei bezpłatnej prenumeraty i kolportażu dwutygodnika *Znad Wilii* wśród Polaków mieszkających na terenach byłego Związku Sowieckiego.

(Charity Number: 0898932-23)



## WIECZYSTA NAGRODA JANA KARSKIEGO I POLI NIREŃSKIEJ

Prof. Jan Karski ustanowił wieczystą doroczną nagrodę w wysokości 5 tys. dolarów dla autorów opublikowanych książek dotyczących udziału Polaków żydowskiego pochodzenia bądź polskich Żydów w polskiej kulturze i nauce. Nagroda będzie wypłacana przez Institute for Jewish Research YIVO. Prof. Karski przeznacza na ten cel \$. 100.000. Administracją funduszu zajmie się YIVO. Pieczę nad nim sprawuje prof. Lucjan Dobroszycki, dyrektor YIVO Institute.

Prof. Jan Karski wyraził życzenie, aby obok działających *ex officio* członków jury (dyrektor YIVO, dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie i sekretarz naukowy YIVO) wzięli w nim udział: Czesław Miłosz, Józef Gierowski i Jerzy Turowicz.

Tegoroczne nagrody ZAIKS-u otrzymali m.in.: Irena Lewandowska za tłumaczenia z języka rosyjskiego, przede wszystkim za przekłady twórczości Michaiła Bułhakowa; Janina Kaczmarewicz-Fedorowska również za przekłady z języka rosyjskiego; Teresa Dzieduszycka za przekłady na język francuski; Wiesław S. Kuniczak za przekład „Trylogii” Henryka Sienkiewicza na angielski.

Zarząd polskiego Pen-Clubu przyznał doroczne nagrody dla tłumaczy oraz nagrodę edytorską. Nagrody te otrzymali: Jadwiga Dackiewicz za przekłady z literatury francuskiej, Sławomir Blaut — za przekłady z literatury niemieckojęzycznej, Helena Stachova za przekłady literatury polskiej na język czeski, Lennard Kiellberg za przekłady literatury polskiej na język szwedzki oraz Maria Ofierska za całokształt pracy edytorskiej.

Nagrodę im. Jana Cybisa na rok bieżący otrzymał malarz, rysownik i poeta Zbigniew Makowski.

Nagrody im. Jerzego Łojka otrzymali: Marek Tarczyński za opracowanie „Zbrodnia katyńska. Droga do prawdy”; Longin Tomaszewski za „Kronikę wileńską 1939-1941” i „Kronikę wileńską 1941-1945”; Czesław Holub za „Okręg poleski ZWZ-AK w latach 1939-1944”, Adolf Pilch za „Partyzanci trzech puszt” i ks. Tadeusz Fedorowicz za „Drogi Opatrzności”.

Nagrodę Fundacji Pruszyńskich dla najlepszego dziennikarza (podkreślono „wyjątkową uczciwość i kulturę polemiczną” laureata) otrzymał Aleksander Małachowski.

## FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych we wrześniu 1992 r. Dziękujemy:

- Panu Tadeuszowi Nowakowskiemu z Księgarni Polskiej w Sztokholmie za 70 egz. książek/pism,
- Towarzystwu Przyjaciół Książek w Sztokholmie za 156 egz. książek/pism,
- Wydawnictwu Akapit za 1.519.750 zł., które zebrano podczas Krajowych Targów Książki.

Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo idee Fundacji, podajemy numer naszego konta: FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM, PBK III Oddział w Warszawie, nr konta 370015-975148-132-3.

Nasz adres:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM,  
ul. Hoża 29/31, 00-524 WARSZAWA  
tel. 628-42-57, 21-70-75

Wykazy książek przeznaczonych do rozdawania i inne informacje organizacyjne Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim są systematycznie drukowane w miesięczniku *Biblioteka w Szkole* (00-950 Warszawa skr. poczt. 109).

---

## W A W E L

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA  
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.  
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

---

W Polsce mamy dziś do czynienia z pomieszaniem dwóch pojęć: laickości czyli świeckości państwa i laicyzmu czyli postawy obojętnej lub sprzecznej z chrześcijańskim światopoglądem. To co przebijają łamów np. *Gazety Wyborczej* i innych (nie wszystkich) środków przekazu, odzwierciedla nieraz właśnie to nastawienie laicyzmu jako receptę na życie indywidualne i zbiorowe, a co bywa błędnie identyfikowane ze świeckim charakterem państwa. W praktyce ta recepta oznacza bezkrytyczny odbiór bezdusznego kapitalizmu, który już dzisiaj na Zachodzie coraz częściej jest kwestionowany na skutek niespektowania norm etycznych. Laickość państwa natomiast należy uznać za kategorię obowiązującą we współczesnym prawie konstytucyjnym, co Kościół Powszechny aprobuje. Wynika to jasno z treści adhortacji apostolskiej *Christifideles laici* z 1987 r., ogłoszonej po Synodzie biskupów, poświęconym problematyce laikatu. Warto tu powołać się na lekcję włoską, dającą pośrednią odpowiedź na to polskie poplątanie. Oscar Luigi Scalfaro, niedawno wybrany prezydent Republiki, żarliwy katolik i chadek cieszący się wielkim autorytetem moralnym (głosowali na niego również deputowani lewicowi, niewierzący lub obojętni wobec wartości chrześcijańskich), w orędziu inauguracyjnym podkreślał wierność zasadom świeckości państwa. Jej wyrazem jest „karta konstytucyjna państwa, domu dla wszystkich, bo każdy obywatel powinien i ma prawo utożsamiać się ze swym państwem”. W warunkach polskich rozdział Kościoła i Państwa, przy poszanowaniu autonomii sfer własnej kompetencji, nie oznacza — w ich stosunkach określonych ustawą — jaskrawej separacji. Potrzebna jest bowiem ich współpraca, konieczna zwłaszcza — wobec słabości państwa — w okresie przejściowym do utrwalenia systemu demokratycznego. Zasada tej współpracy znajduje również wyraz w konwencji (konkordacie) pomiędzy Stolicą Apostolską i Polską, której podpisanie przewleka się, bo zależy od zatwierdzenia nowej Konstytucji.

Jest już czas, by nauczyć się żyć w państwie świeckim, szanującym wartości chrześcijańskie i tradycje narodowe — brzmi jedna z tez wielkiej debaty na łamach miesięcznika katolickiego *Więź* („Czy w Polsce toczy się walka o rząd dusz”, nr 5, 1992). Treść niektórych zwłaszcza wystąpień w tej dyskusji wprowadza ożywczy nurt do jałowych dysput dominujących wciąż niestety w polskim życiu politycznym. Nikomu z uczestników tej debaty nie przyszło do głowy eliminować Kościół z życia nowego państwa. Zdaniem Stefana Frankiewicza, red. nac. tego pisma, doraźna, często brutalna, polityka bierze górę nad kulturą, „wszyscy mówią o tolerancji, demokracji, pluralizmie, o godności

## Wolna trybuna

### Pomiędzy sacrum i profanum

(CZYLI JAK ROZSUPŁAĆ POLSKI WĘZEL)

Wśród wielu relikwów komunizmu, które trzeba usunąć z polskiego krajobrazu umysłowego, znajduje się nawyk traktowania państwa jako emanacji określonej opcji ideowej lub politycznej. Kiedyś była to narzucona opcja państwa ideokratycznego, ateistycznego; dziś są tacy, którzy stawiają świadomie lub nieświadomie na przeksztalcenie Polski w „państwo chrześcijańskie”, czyli teokratyczne — inni, w imię mylnie pojętej neutralności, optują na rzecz państwa świeckiego, spychającego Kościół do zakrycia, jeśli nie wręcz zwalczającego wartości chrześcijańskie. Zarówno zwolennicy opcji klerykalnej, jak i wojującego antyklerykalizmu zaplątali się w sieć, w której praktycznie biorąc dominuje instrumentalne podejście do Kościoła jako instytucji której wyznacza się rolę zgodną z własną wizją państwa lub wręcz z własnymi, partykularnymi interesami. Ci, a należą do nich nieraz również redaktorzy pism kościelnych, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości koncepcji świeckości państwa nie orientują się, że działają tym samym jak „woda na młyn” na rzecz przeciwników oskarżających Kościół o zmierzanie do klerykalizacji życia publicznego, co skądinąd jest pozbawione podstaw, mimo pozorów stwarzanych niestety nieraz przez nieroztropnych kapłanów świeckich. Staram się ich zrozumieć — lękają się, że „problem jest delikatny”, bo pojęciu świeckości nadaje się dziś zabarwienie antyklerykalne. Ta wymówka, choć czyniona w dobrej wierze, nie może stanowić usprawiedliwienia, bo w konsekwencji zwalnia duchowieństwo od starań o wychowanie nowych pokoleń w duchu tolerancji, poszanowania państwa prawa i wdrożenia kultury współżycia, bez której trudno nawet marzyć o kulturze politycznej.

człowieka, mamy do czynienia ze zunifikowanym językiem". Ale rzeczywistość zadaje kłam tej pustej inflacji werbalnej — nasuwa się oczywisty wniosek. Często się tak dzieje, na co zwrócił niedawno uwagę ks. prof. Janusz Pasierb, że typ katolicyzmu „posoborowego”, otwartego, światłego, ekumenicznego, przegrywa z katolickim sarmatą, odwołującym się do wartości nie tyle etycznych, co etnicznych. Ale czy nie ma w tym także winy Kościoła instytucjonalnego? Przekonywująco brzmi argument red. S. Frankiewicz, podkreślającego, że edukacja chrześcijańska zanadto wciąż kładzie nacisk na „religię narodu” zamiast na „religię życia codziennego”. W rzeczy samej, w akcji wychowawczej, zwłaszcza w formowaniu nowych kadr do życia społecznego i politycznego (we Włoszech istnieje około 200 szkół wychowania politycznego, diecezjalnych i prowadzonych przez jezuitów) Kościół jest spóźniony. Przyznaje to prywatnie szereg biskupów. Nie ukrywał tego bynajmniej ks. abp. Bronisław Dąbrowski, sekretarz episkopatu, w jednej z rozmów sprzed roku, w której poruszaliśmy rozmaite bolączki i nowe zadania, przed jakimi stoi dziś Kościół, nie tylko hierarchiczny, lecz pojmowany jako lud Boży, a więc laikat, środowiska inteligencji katolickiej (czekające co prawda na inspirację i generalne wytyczne pastoralne ze strony hierarchii — tak jest wszędzie na świecie). Nie mogą wystarczyć protesty przeciw atakom na wartości chrześcijańskie i wojującemu antyklerykalizmowi, a z drugiej strony głosy upatrujące w Kościele i rzekomej klerikalizacji życia publicznego największe zagrożenie dla rodzącej się demokracji. Jedni i drudzy, aczkolwiek osobiście nie stawiam racji obu stron na jednakowej płaszczyźnie (nie jest to jednak istotne w tym kontekście), powinni chyba wyciągnąć wnioski z upadku określonego systemu pewności, opartego na frontalnym uderzeniu. Jedni i drudzy powinni kierować się dewizą papieską, tzn. nauczyć się i przyswoić sobie „umiejętność różnienia się, co polega też na wzajemnym uzupełnianiu się”. Oznacza to korzystanie z obopólnych doświadczeń i dążenie do wzajemnego, duchowego wzbogacania się. W praktyce podejście takie do bliźnich, niewierzących lub agnostyków uchroni katolików od zaślepienia i fundamentalizmu, a ci drudzy też zyskają z szansy docenienia koherencji w poczynaniach osób, które z religijnych też pobudek wnoszą wkład do życia publicznego. Jednym słowem, chodzi o międzyludzki ekumenizm, jako jedną z naczelnych przesłanek kultury współżycia. Inaczej nie znikną z horyzontu nowej Rzeczypospolitej grzechy główne takie jak małostkowość, prywatność, hipokryzja, swoista cenzura wobec rzeczy niewygodnych i przede wszystkim polskie poplątanie. Autorytet Kościoła instytucjonalnego doznaje dziś uszczerbku nie tylko na skutek procesu sekularyzacji i antyklerykalnych nastrojów (we

Włoszech np. sekularyzacja zrobiła większe postępy, ale pozycja Kościoła i laikatu jest nadal mocna i niepodważana). Objawy zniechęcenia i uwrażliwienia społeczeństwa, „szarych ludzi”, na przesadną obecność Kościoła w środkach „bogaty”, a nawet osobliwe rozdrażnienie z powodu „bliskości kościelnych przedstawicieli na każdym kroku”, na co zwrócił uwagę ks. Jan Sochoń, poeta i filozof, w w.w. debacie na łamach *Więzi*, dają wiele do myślenia. Warto tu wskazać na to, że sam papież nie ukrywa bynajmniej istnienia „ograniczeń” i „wad”, a nawet „win”, zdarzających się biskupom i duchownym, którzy „nie wypełniają należycie swojej misji... wyrządzają szkodę wspólnocie” (1 października br. na audiencji generalnej). Niektórzy kapłani (zdarza się i biskupom) natomiast niepotrzebnie reagują negatywnie i ze zniecierpliwieniem na wytknięte takie czy inne niedociągnięcia. Inna rzecz, że przeciwnicy z obozu laicystycznego wszelkie objawy ludzkich niedostatków w postępowaniu duchowieństwa niezwłocznie wykorzystują i złośliwie nadają im rozgłos. Przychodzi mi tu na myśl pewna metafora myśliwska. Ojciec mój, dawno już nieżyjący wielki myśliwy, mawiał do mnie: „kiedy w życiu przeciwnik będzie strzelać do ciebie ślepyimi nabojami, nie przejmuj się, pilnuj jednak, abyś sam nie dostarczał mu okazji do strzelania prawdziwymi nabojami”.

Najważniejszy zarzut merytoryczny, jaki słyszałem nieraz ostatnio w jak najbardziej prawomyślnych, świeckich kręgach katolickich, brzmi: Kościół instytucjonalny nie uczestniczy dostatecznie w wyrzeczeniach zubożającego społeczeństwa i dąży do zagwarantowania sobie uprzywilejowanej pozycji prawnej, zamiast wykorzystywać nową sytuację dla wzmocnienia swej obecności w społeczeństwie. W przytoczonej już wyżej dyskusji na łamach *Więzi* jeden z jej redaktorów, historyk Andrzej Friszke, podsumował stanowisko w tej sprawie, stwierdzając, że przez szereg ostatnich dziesięcioleci Kościół musiał się ograniczać do środków ubogich. Obecnie zaś zmieniona sytuacja „budzi pokusę odwoływania się w bardzo szerokim zakresie do środków bogatych czyli prawa, instytucji, struktur państwowych, co wywołuje sprzeciw znacznej części obywateli”. I precyzuje: „jest natomiast uderzające, że Kościół nie próbuje wykorzystać szerokich możliwości działania ograniczonego, charytatywnego, społecznego, na co w warunkach załamania się wielu instytucji i ogromnego kryzysu jest obecnie duże zapotrzebowanie. Nie w tę stronę skierowane są bezpośrednie zainteresowania”. Szczególne uczulenie wywołuje w społeczeństwie rewindykowanie przez Kościół utraconych nieruchomości, przejętych przez państwo na rzecz różnych placówek naukowych i społecznych. W tym zakresie co prawda zdarzają się przypadki dochodzenia jedynie samego prawa własności, a nie zwrotu przez aktualnych

użytkowników. Nie należy więc oceny tych rewindykacji generalizować. Tak czy inaczej, chodzi o ogólną tendencję — nie o rozważanie konkretnych przypadków rewindykacji (dot. obiektów powojennych i przedwojennych) — głos Kościoła na pewno byłby słuchany uważniej i lepiej przyjmowany niż obecnie, gdyby nie właśnie zła atmosfera wytwarzana przez to, co ludzie na własne oczy zauważają. W obliczu nowych zadań odczuwa się brak wyraźnej wizji strategicznej. Zachodzi coś w rodzaju Gombrowiczowskiej „ogólnej niemożności”, sprawdzalnej choćby na przykładach niepodejmowanych inicjatyw w dziedzinie mass mediów. Od przeszło roku, jeśli nie dłużej, mówi się o dzienniku katolickim o zasięgu krajowym. Już dziś wiadomo, że projekt ten (biskupa Lepy, przewodniczącego Komisji ds. środków przekazu) spalił na panewce, bo jego „sponsor”, senator Baranowski z Łodzi, po prostu splajtował. Rzecz jednak w tym, że od samego początku było wiadome, że na skutek nasycenia rynku zamysł ten był poroniony. Należało, natomiast, co od dawna już głoszę wszem i wobec, uruchomić nowoczesny, popularny tygodnik ilustrowany dla rodzin na modłę włoską.

Ks. bp. Jan Chrapek, członek Episkopatu ds. środków masowego przekazu, nawołuje: „My, księża, mamy kazania, ambony, katechezy i wspaniałe narzędzie, jakim jest konfesjonał. Powinniśmy oczywiście być obecni w środkach przekazu, ale z kilku względów świeccy są do tego bardziej powołani: są bliżej życia, znają jego problemy i mówią językiem «codziennym». Odnosi się to w szczególności do programów telewizji: zamiast „złotej klatki” księdza Koprowskiego (nb. nie wiadomo, kto za ten program odpowiada, episkopat czy jezuiti), wciskającej Kościół do swoistego getta, należałoby pójść w ślad włoskiej telewizji, która chętnie korzysta z udziału biskupów i duchownych w różnych programach, jeśli mają coś interesującego do powiedzenia. Jedynym kryterium jest kompetencja w danej materii. Doskonałym przykładem jest nawet sporadyczny udział ekspertów kościelnych (jak np. emerytowanego biskupa Toninno z Rawenny) w popularnym *talk-show* prowadzonym przez uzdolnionego dziennikarza Maurizia Costanzo. Program ten ma równocześnie charakter rozrywkowy i pedagogiczny, ale ślizga się wspaniale na styku *frivolo* i *serio*, unikając wszelkiej wulgarności. W Polsce, jak się zdaje, przy całym szacunku dla fachowych telewizyjnych zalet gwiazd dziennikarskich i widowiskowych, byłoby to na razie nieosiągalne. Etyka bowiem powinna w tego typu programach (cieszących się ogromnym powodzeniem) iść w parze z poczuciem estetyki, co w Polsce dzisiejszej natrafiłoby na poważne przeszkody.

Nie lepiej, jeśli nie gorzej, wygląda polski krajobraz na przeciwnym biegunie, gdzie prawdziwa kruczata przeciw wartościom humanistycznym prowadzi do panowania kultu nijakości, bezideowości, miernoty i ostentacyjnego lekceważenia i wyszydzenia religijnych uczuć i zasad moralnych. Odczuwając te zjawiska zagrażające kulturze i perspektywom kształtowania demokracji i pluralizmu, należy unikać operowania czarno-białymi schematami. W debacie, wyżej już wzmiankowanej, rzecz znamienna, dwaj dyskutanci z przeciwnych biegunów, ks. J. Sochoń i J. Kuroń, mówili z przejęciem o „szczególnym zagrożeniu na skutek szerzącego się nihilizmu, zaniku poczucia ładu moralnego, indyferentyzmu i egoizmu”, czyli wad których przykład idzie z góry, od elit intelektualnych i politycznych. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy obciąża przede wszystkim tych, którzy kierują informacją (manipulowaną) i publicystyką (destruktywną). Mamy dziś z nią do czynienia głównie na łamach *Gazety Wyborczej* (ongis organu ruchu „Solidarność”). Dziennik ten posuwa się do niesmacznych wręcz, opartych na niewiedzy, ataków na papieża. Zarzuca mu m.in., że zahamował proces posoborowy, podczas kiedy zachodzi sytuacja odwrotna: to właśnie konserwatywne skrzydło w Kościele ma do niego pretensje, że posunął się w tym procesie za daleko. Nie mając nie raz odwagi podjąć — wobec nieprzygotowania — krytyki pontyfikatu, będącego rzekomo u schyłku, przedrukowuje bez komentarza artykuły z prasy zachodniej określone tu jako *spazatura* (śmiecie), które każdy szanujący się dziennikarz-watykanista (jakiegokolwiek narodowości i orientacji) komentuje ze wzruszeniem ramion jako niepoważne wysoki. Skoro już mowa o papieżu: w Watykanie zwrócono ostatnio uwagę na paradoksalne zjawisko: „komuniści odnosili się z większym respektem do Kościoła Powszechnego, byli lepiej przygotowani”. Obecnie wśród przyjeżdżających tu z Polski rozmaitych „doradców” z nieprawdziwego zdarzenia dominuje „dyletanctwo i prowincjonalny partykularyzm”. Jak się okazuje, komuniści — nie aparatczycy, lecz fachowcy — bywają dziś dowartościowywani nie tylko w kraju. A w Watykanie znają się na ludziach jak mało kto. Typowym przykładem beznadziejności tych zarzutów jest treść „błyskotliwych” wystąpień posłanki Barbary Labudy z Unii Demokratycznej, od której jej koleżanka sejmowa i partyjna, premier Hanna Suchocka, uznała za stosowne odciąć się przed ostatnią wizytą w Rzymie. Zarzuciła ona papieżowi, iż „doktryna przyćmiła mu dobroć”. To sztuczne zestawienie dwóch pojęć stanowi proste odwrócenie rzeczywistości: u tego papieża przeciw aktywność na płaszczyźnie humanitarnej, czysto ludzkiej, dominuje wyraźnie nad teorią. Różne wystąpienia prasowe w ramach prowadzonej kruczaty antykościelnej znajdują komplek-

sową, kompetentną odpowiedź na łamach *Więzi* („Jak *Gazeta Wyborcza* pisze o Kościele” — brzmi zapowiedź w nr. październikowym). Wystarczy jednak jako próbkę przytoczyć to, co pisze Sławomir Mazurek (podobno kryptonim), który do wspólnego mianownika sprowadza „wolność erotyczną i wolność polityczną”. Mało tego, stwierdza, że istnieje pomiędzy nimi „związek” (!). Tenże publicysta wykazuje ponadto brak podstawowej wiedzy, stwierdzając, że „człowieczeństwo płodu jest kwestią wiary”. Wiadomo przecież, że współczesna biologia i genetyka już od szeregu lat odkryły ponad wszelką wątpliwość, iż płód posiada określone cechy człowieczeństwa od chwili samego poczęcia. Nie wchodzę tu, z braku miejsca, w meritum sprawy ustawy antyaborcyjnej, którą Mazurek uważa niemal za zamach stanu. Wymagałoby to zresztą omówienia równoległej, istotnej sprawy kontroli urodzin. Takim głosem jak Mazurka można przeciwstawić głos liberalnego katolika Bohdana Cywińskiego, autora głośnej książki o lewicowych rodowodach katolickiej inteligencji, dla którego „sprawa aborcji jest po prostu kwestią praw człowieka”. I dlatego uważa, że „jeśli pojęcie prawa stanowionego ma jakikolwiek sens, to prawo do życia od chwili poczęcia niewątpliwie powinno się w obrębie tego prawa także znaleźć. Nie wystarcza, że jest to tylko prawo moralne”. Cywiński ma bezprzecznie rację, że człowiek, który walczy o prawa ludzkie, a równocześnie jest zwolennikiem aborcji, „postępuje nielogicznie”. I dodajmy: postępuje nietolerancyjnie, jeśli zacietrzewienie antyklerykalne przesłania mu respekt dla postawy wierzących. Aby nie było nieporozumień: tego prawa nie podważa konieczność rozwiązania problemu kontroli urodzin (dyskutowanego również przez teologów) czyli odpowiedzialnego rodzicielstwa, do czego Kościół nawołuje. Jest rzeczą charakterystyczną, że stanowisko publicystów laickich wobec Kościoła w tej i innych kontestowanych sprawach jest dwuznaczne. Uzurpują sobie prawo do decydowania, kiedy ma on występować czynnie i potępiać — kiedy zaś milczeć (np. w sprawach obyczajowych). Starają się w dodatku usilnie wmówić opinii publicznej swoją rzekomą europejską tożsamość i inspirację. Tymczasem jedno i drugie jakże jest dalekie od autentycznych, europejskich wzorców. *Gazeta Wyborcza* chwali nieraz Vaclava Havla, b. prezydenta Czechosłowacji, ale ignoruje zarazem fakt, iż, jeśli idzie o wartości humanistyczne, to podziela on stanowisko papieża. W wywiadzie dla *Le Figaro* (26.10.92) Havel zarzuca Zachodowi, analogicznie jak Jan Paweł II, że nie potrafił obronić wartości, wykorzystać zwycięstwa nad komunizmem i tym samym pośrednio przyczynił się do kryzysu rodzącej się demokracji w b. krajach satelickich. Jak wiadomo, papież już trzy lata temu przestrzegał zachodnich polityków przed triumfalizmem i bierną reakcją na próżnię, jaka

powstała po upadku komunizmu. Aby uniknąć nieporozumień: krytyka pod adresem Kościoła jest oczywiście uprawniona, pod warunkiem jednak, że jest oparta na faktach i rzetelnej wiedzy oraz czyniona w dobrej wierze — inaczej przestaje być nie tylko wiarygodna, ale może ponadto przynieść duże szkody. Wypada tu przypomnieć, co sam papież, mając na myśli nową sytuację, powiedział do biskupów w czasie ostatniej wizyty w kraju (9.6.91): „O ile sytuacja dawniejsza zyskiwała Kościołowi ogólne uznanie (nawet ze strony osób i środowisk 'laickich'), to natomiast w sytuacji obecnej na takie uznanie w wielu wypadkach nie można liczyć. Trzeba raczej liczyć się z krytyką, a może nawet gorzej. Trzeba zdobyć się na *discernimento*: akceptować to, co w każdej krytyce może być słuszne. A co do reszty: jest rzeczą jasną, że Chrystus zawsze będzie «znakiem sprzeciwu»”. Słowo *discernimento* ma tu kluczowe znaczenie. Oznacza ono wysiłek rozpoznania prawdy, rozróżnianie sytuacji wymagających zajęcia jednej lub drugiej postawy. W każdej krytyce Kościoła może być coś słusznego, ale obok tego rodzaju krytyki, nazwijmy ją konstruktywną, pomagającą w osiągnięciu twórczej syntezy, istnieje krytyka o charakterze sprzecznym z chrześcijańską wizją człowieka. W nowej sytuacji społecznej i politycznej pewna rewizja postaw przedstawicieli Kościoła, zarówno duchownych jak i świeckich, jest więc niezbędna. Nie szkodzi, że początkowo wprowadzi nieco nieporozumień (raczej niezrozumienia), będzie bowiem świadectwem siły, jeśli dojdzie do rzetelnego, zbiorowego rachunku sumienia, odznaczającego się autokratycznym spojrzeniem w głąb. W tej zbiorowej refleksji (której przykład dała już *Więź*) chodzi również o to, by odrzucić pokusę jednostronnego upolitycznienia postaw wiernych. Skończyła się era monolityzmu katolickiego, trzeba więc nauczyć się uznawania różnych opcji politycznych i prawidłowej ich koegzystencji. Inaczej nie uwolnimy się ani od zmory nacjonal-populizmu, ani od widma anachronicznego laicyzmu, mającego niewiele wspólnego ze współczesnym, zachodnim liberalizmem.

#### Kilka słów *ad personam*.

Zdaję sobie sprawę, że niniejszy tekst może wywołać takie czy inne zastrzeżenia, nawet tu i ówdzie krytyczne uwagi (oby tylko umotywowane) po obydwu stronach „barykady”. Będę za to niezmiernie wdzięczny, wychodząc z założenia, że warsztat pracy ulega doskonaleniu nie poprzez komplementy, lecz konstruktywną korektę. Doświadczenie zdobyte w namacalnym styku *sacrum* i *profanum*, nie ich separacji, lecz wzajemnego

przenikania, nakłada na mnie szczególnie obowiązek dbania o wyważony tok myślenia i osądzania. Każę mi też, bez żadnej chęci czy skłonności moralizatorskiej, ujawnić refleksje pochodzące z mego rzymskiego schematu watykańskiego obserwatorium, refleksje w licznych przypadkach prowokowane przez cudze spostrzeżenia i opinie, zebrane w czasie kilkunastu już podróży do kraju w ostatnich czterech latach (po ćwierć wieku nieobecności). Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w rozwiązaniu polskich poplątań decydującą rolę powinny odegrać spotkania człowieka z człowiekiem, różnych wyznań, światopoglądów, kulturowych rodowodów czy orientacji politycznych. Wynikające z nich korzyści dla całego społeczeństwa, poprzez trafne podejście do bliźniego, to również używany język; zagadnienie bowiem miłości bliźniego ściśle się z nim wiąże. W dzisiejszej Polsce, gdzie, jak mi ostatnio referowano, liczni katolicy np. w Przemysłu czy Jarosławiu, z nienawiścią odnoszą się wciąż jeszcze do swych współmieszkańców, ukraińskich katolików obrządku wschodniego, uważając ich za prawosławnych (czy w takich, upokarzających nasz naród warunkach można na serio rozważać dialog z prawosławnymi braćmi?). Jeśli chodzi zaś o język, to mam na myśli, co zauważył niedawno jeden z mądrych, polskich jezuitów (nie pamiętam nazwiska), nie tylko sprawę języka w życiu publicznym i międzyludzkim, zachwaszczonego i agresywnego, ale również w katechezie, kaznodziejstwie i duszpasterstwie. Miłość bliźniego może stać się czasem nadzwyczajnym darem Bożym, który człowiekowi odmienia życie, nadając mu szczególnie, brakujący do tej pory sens. Trzeba do tego zmieścić, przelamując wszelkie pozostałości i nawroty antagonizmów. Potrzeba optymizmu woli, opartej na rozważnym działaniu skierowanym ku zwalczaniu nastrojów panującej apatii społecznej i zakładaniu bezradnie rąk. Potrzeba entuzjazmu. Czy da się go wykrzesać? Nie należy tracić nadziei...

Rzym, pisane 4 listopada 1992 r.

*Dominik MORAWSKI*

## Sprawy i troski

### Polski Rzym dzisiaj

Rzym przez długie lata, można powiedzieć, że przez całe niemal mijające tysiąclecie, był tym punktem na mapie Europy, do którego ciągnęli liczni Polacy, zarówno w celach religijnych, jak turystycznych, twórczych, artystycznych. Wielu też osiadało nad Tybrem na stałe, zwłaszcza w okresie zaborów, znajdując tu sprzyjające do pracy warunki. Odpowiadał im klimat Południa (świadczą o tym choćby listy Kazimierza Przerwy-Tetmajera do matki, dotąd nie wydane w całości drukiem), malownicze okolice, a przede wszystkim samo miasto, przyciągające niezwykłym pięknem sztuki, wpływającej zapładniająco na twórczość literacką, poetycką, malarzką i rzeźbiarską. Znamiennym przykładem są wybitni malarze i rzeźbiarze, że wspomnę tylko Henryka Siemiradzkiego, który w Rzymie osiadł na pół życia, tworząc tu wszystkie swoje najważniejsze i najświetniejsze płótna. Przez wiele lat, od końca XVI w., dużą pomoc dla Polaków stanowiło założone przez kard. Stanisława Hozjusza hospicjum przy kościele św. Stanisława przy via delle Botteghe Oscure, które z wyjątkiem XIX i początku XX w., kiedy prawem kaduka zagarnęli je Rosjanie (i z trudem, przy dużych wysiłkach polskich i włoskich, zwrócili Polsce po odzyskaniu niepodległości) było schronieniem dla pielgrzymów i turystów, ale też uczonych i osiadłych na stałe w Rzymie Polaków. Polacy zostawiali po sobie piękne wspomnienia w postaci dzieł sztuki, rzeźb i obrazów, także tablic i nagrobków w kościołach czy na Campo Verano, gdzie wśród wielu innych spoczął również Aleksander Gierymski. Nie wspominam szerzej o kochających Rzym i piszących o nim: Mickiewicz, Krasiński, Norwidzie, Konopnickiej, Kuncewiczowej czy Brandstaetterze lub o związanej mocno z Polakami Caffè Greco koło Placu Hiszpańskiego.

Jakiż jest ten polski Rzym dzisiaj? W okresie rządów komunistycznych, szczególnie w miesiącach stanu wojennego, stał się dla niejednego schronieniem i ucieczką od polskiej rzeczywistości; wracający np. w tym czasie z dalszych placówek handlowych przez

Rzym, zatrzymywali się w Domu Polskim im. Jana Pawła II, oczekując na pozwolenie pobytu w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie lub Australii. Niektórzy Polacy osiedli tu na stałe, podobnie jak kiedyś żołnierze z 2 Korpusu Polskiego gen. Andersa po zakończeniu wojny. Dziś, niestety, przed dawnym hospicjum i kościołem, w którym znajdują się płótna m.in. Smuglewicza, Czechowicza i Kuntzego (Konicza) zbierają się Polacy, których wygląd, zachowanie i bynajmniej nie eleganckie maniery świadczą o napływie do Rzymu elementów wcale tu z utęsknieniem nie oczekiwanych. Jak słyszałem, liczba ich w sierpniu mogła pono sięgać ok. 25 tysięcy!

Zamiast obrazów, rzeźb i dzieł literackich, Polacy zostawiają poszarpane gazety i flaszki po piwie (warto dodać, że ilość pojemników na śmieci wzrosła w Rzymie nieprawdopodobnie) i to pod kościołem, który jest symbolem polskiego Rzymu, a w latach reżimu komunistycznego gromadził w sali parafialnej, w obecności nieocenionego gospodarza, pracującego do dziś ks. Mariana Burniaka, przy herbacie i lampce (a nie strumieniach) wina, tęskniących za wolnością Polaków; zawsze obecny był autor „Polaka we Włoszech”, Witold Zahorski, obdarowujący chętnych *Kulturą* i innymi emigracyjnymi publikacjami, pierwszy, który po wojnie wykreślił włoski — tak jak potrafił — szlak poloników. Dziś, oprócz autentycznych turystów i pielgrzymów oraz ludzi pragnących rzeczywiście poznać piękno artystyczne i krajobrazowe Półwyspu Apenińskiego, do Rzymu ciągną istne watahy wyrostków o podejrzanym wyglądzie, nie zachęcającym do bliższego zetknięcia i kontaktu (przykład tego miałem wczesnym sierpniowym porankiem obok Stazione Termini), jak i do przyznania się przed Włochem, iż ma się z nimi coś wspólnego...

Spotkać ich można wszędzie: i w okolicach S. Giovanni in Laterano, i pod Koloseum, na Zatybrzu, i oczywiście na Piazza Vittorio Emanuele, gdzie nie tylko kupują tanie owoce, warzywa, wędliny i sery, ale i próbują handlować byle czym (jak w Polsce Rosjanie i Ukraińcy). Całymi dniami, aż do wieczora, dopóki ich nie przegoni policja, tkwią grupkami przed polskim kościołem, oczekując na gwiazdkę z nieba, która w Rzymie jest może nieco bliżej. Najgorsza jest niedziela, wtedy gromadzą się nie tyle dla wysłuchania mszy św., ile dla handlowania polskimi gazetami, łącznie z brukowcami w stylu *Nie* i *Skandale*, a nawet lichymi samochodami, którymi tu przyjechali. Opowieści o dzisiejszych emigrantach słyszałem wiele, i w obu naszych ambasadach, i od miejscowych księży: a to, że śpią byle gdzie, póki jeszcze ciepło, że handlują narkotykami, gwałcą narzeczone kolegów, a nawet uciekają się do zabójstw Włochów i rodaków. Niektórzy już gniją w więzieniach. Raczej niemożliwe jest przebywanie ich na terenie Forum Romanum, o czym — bodaj w *Życiu Warszawy* — pisała Anna T. Kowalewska, opowiadając o pijackich, wieczornych śpiewach wokół starożytnych ruin, co z pewnością spotkałoby się z interwencją policji municypalnej. Ale prawdą jest, co sam stwierdziłem, że u stóp Kapitolu

można nieraz usłyszeć gromkie i soczyste zawołanie narodowe: „kurwa!” i być świadkiem pijackiej awantury w autobusach, w których biletów nie płacą. Tych Polaków nikt nad Tybrem nie chce, są postrachem Włochów i Ambasady RP, która przede wszystkim powinna pomagać prawdziwym turystom, pokrzywdzonym i napadanym np. przez nieletnie Cyganki (co sam widziałem) obok Forum Romanum i Koloseum, a nie włóczęgom i pijakom. Ale co na to poradzić w dobie demokracji i prawa do paszportu (choć pono przybywają też nielegalnie z Francji i Niemiec)? Europa, do której ciągniemy, po takich ekscesach, zamknijcie nam w końcu drzwi przed nosem. W Travisio byłem świadkiem, jak nie wpuszczono do Włoch polskiego autobusu...

Józef DUŻYK

## BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

# ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNALEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkiewicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

## Książki

### Historia pod prąd

Zmarły trzydzieści lat temu Leon Kruczkowski w powieści „Kordian i cham”, napisanej w roku 1932, zadał pytanie, czy polska legenda historyczna, stworzona przez romantyków, była jednakowo dobrą ojczyzną dla wszystkich Polaków.

By na to pytanie odpowiedzieć, musiał — jak sam się wyraził — „...przebić się przez sieć legend, zakłamań i przemilczeń oficjalnej historii”. Niewiele się zmieniło od tego czasu.

Wprawdzie tu i ówdzie odzywały się głosy realizmu, jednak w społeczeństwie polskim są nader popularni historycy, którzy koncentrują się na gloryfikowaniu przeszłości, zapominając że historia jest nauką, której zadaniem jest przedstawienie dzisiejszemu czytelnikowi przeszłości tak, jak ona naprawdę wyglądała.

Pierwszy poważny wyłom w tym przeszło sto lat budowanym murze ignorancji i niepotrzebnej megalomanii uczynił Brytyjczyk, bezprzeczenie nasz przyjaciel, autor historii Polski, napisanej w języku angielskim, profesor Norman Davies, urodzony w 1939 roku w Anglii.

W 1962, jako absolwent uniwersytetu oksfordzkiego, przypadkiem spotkał się z Polską. Planował wyjechać na dalsze studia do Rosji, ale nie otrzymał wizy wjazdowej. Zatrzymał się w Krakowie, zapisał na Uniwersytet Jagielloński jako doktorant w dziedzinie historii i po latach studiów doktorat polskiej uczelni otrzymał.

Po powrocie do Anglii pierwszym owocem jego pracy była książka pt. „The White Eagle, Red Star” (Biały orzeł, czerwona gwiazda). Jest to obszerna i wnikliwa analiza historii polskiej lat 1919 i 1920, włącznie z dokładnym przedstawieniem szczegółów bitwy warszawskiej. Zawodowi historycy przyjęli książkę pozytywnie. Następną pracą to dwutomowa historia Polski, od prehistorycznych i legendarnych początków do późnych lat siedemdziesiątych naszego stulecia. Tytuł „God's playground” (Boże

igrzysko) jest zapożyczony z 16-wiecznego poematu Jana Kochanowskiego. By lepiej udostępnić angielskojęzycznemu czytelnikowi historię Polski, napisał w latach osiemdziesiątych jednotomowe dzieło, „The Heart of Europe” (Serce Europy). Ostatnio, ubiegłego roku, na prośbę uniwersytetu oksfordzkiego opracował i opublikował w języku angielskim historię Europy. Norman Davies podkreśla, że pracę tę pisał ze szczególnym uwzględnieniem historii Europy Środkowej i Wschodniej, gdyż w dotychczasowych wydaniach te tereny były tylko pobieżnie traktowane.

Pierwszy tom „Bożego igrzyska” (wersja angielska napisana w roku 1979) został przetłumaczony na język polski w roku 1987. Davies zaopatrzył książkę we wstęp do wydania polskiego. Tłumaczenia dokonano w czasie rządów komunistycznych i publikacja uległa skrupulatnej cenzurze. Usunięto nie tylko zdania ambarasujące reżym komunistyczny, ale także ustępy wytykające prymitywny nacjonalizm, szczególnie w odniesieniu do nowych granic zachodnich.

W ubiegłym roku wydano drugi tom „Bożego igrzyska” w języku polskim. Załączono teraz fragmenty usunięte poprzednio przez cenzurę oraz, co jest istotnym dopełnieniem polskiego wydania, trzy „post-scripta”: dwa napisane przez Daviesa w latach 1980-81, oraz trzecie w roku 1990. Oczywiście dopiski napisane w latach panowania władzy komunistycznej znajdują odbicie czasu w swojej treści.

Całość tłumaczenia polskiego jest przychylnie przyjęta przez autora, choć zaznacza, że „za pełny i autentyczny należy uznać oryginalny tekst angielski”. Podkreśla, „że zdaje sobie sprawę z faktu, że przekład jest problemem omal nie do pokonania i żaden tłumacz nie może oddać treści, która by w pełni odpowiadała oryginałowi”. „Tłumacz ma prawo być artystą”, mówi autor.

Davies doskonale opanował język polski i gratuluje polskiej tłumaczce (dr Elżbieta Tabakowska — Uniwersytet Jagielloński) że „z taką sprawnością uporała się z idiomatyką i ironią tekstu angielskiego”. Davies jest świadom, że „cudzoziemiec pisząc o największej świętości narodu, jego historii, musi wywołać wzburzenie w niejednym patriotycznym sercu”. Ale prosi, aby czytelnik był świadom, że ten cudzoziemiec jest wolny od przesądów, tradycji, zahamowań i nie jest zaangażowany emocjonalnie, co daje mu przewagę w napisaniu tego co było, to znaczy historii.

Po opublikowaniu pierwszego angielskiego wydania ukazało się wiele recenzji. Uniwersytet Jagielloński zorganizował sympozjum historyków i w rezultacie książka została przyjęta bez zastrzeżeń.

Szeroki wachlarz recenzji reprezentuje z jednej strony pochwały. Np. profesor Leszek Kołakowski z uniwersytetu w



Oxfordzie zaryzykował twierdzenie, że „Boże igrzysko” jest jedyną prawdziwą książką o Polsce, jaką kiedykolwiek napisano w jakimkolwiek języku”. Zawodowi historycy, zachowując należytą rezerwę, dawali również pochlebne opinie. Profesor Wandycz z uniwersytetu w Yale pisze: „jest to książka wybitna...”.

Na drugim krańcu tego szerokiego wachlarza są koła skrajnych polskich nacjonalistów i — o dziwo — skrajnych żydowskich nacjonalistów. Obie grupy nigdy sobie nie okazywały wzajemnej miłości i choć ostro krytykują „Boże igrzysko”, różnią się jednak tym, co potępiają. Pierwsi piszą, że historia Daviesa jest antypolska i wręcz karygodna, zaś nacjonałiści żydowscy poniżają książkę mówiąc, że „Igrzysko Boże” jest bezwartościowym wytworem obrońcy Polaków, który wymazał antysemityzm z dziejów polskich.

Davies komentuje te wypowiedzi mówiąc: „Odnoszę wrażenie, że żadna strona nie zapoznała się dokładnie z tekstem książki i nie wiem, czy ma prawo do wyrażania sądów w imieniu narodu polskiego i żydowskiego”. W swojej książce autor jest nader ostrożny w wyrażaniu konkluzji czy własnego sądu. Wyraźnie stara się przedstawić problemy przeszłości Polski w oparciu o dokumentarne fakty. Pisze we współpracy z polskimi i zagranicznymi historykami, specjalistami w danych dziedzinach. Wyraźnie jednak unika powoływania się na autorytety powszechnie znanych pisarzy historycznych. W obszernym spisie osób, z których pomocy korzystał, jest mało ogólnie znanych nazwisk.

W „post-scriptach” nie ukrywa opinii, że polska historiografia wymaga rewizji, gdyż jak dotychczas raczej niepotrzebnie schlebiała narodowej próżności. Myśli swoje ujmuje często w lapidarnych zdaniach. Uważa, że trudności, jakie naród polski dziś przeżywa, wynikają częściowo z powszechnej nieznajomości własnych dziejów.

Kilka wyjątków z „post-scriptów”:

„Zdrowie polskiej historiografii jest, powiedzmy, w stanie średnio ciężkim. Pacjent na pewno przeżyje, ale jest mu potrzebna intensywna kuracja”.

„Żaden podróżnik nie może zaplanować dalszej trasy, jeśli nie wie, skąd przybywa. Nikt nie może zacząć rozważać spraw mających nadzieję, jeśli żywo nie zachowa w pamięci spraw przeszłych”.

„Aby człowiek wiedział dokąd idzie, musi wiedzieć skąd przychodzi. Naród bez historii błędzi, jak człowiek bez pamięci”.

„Przeszłość Polski jest równie burzliwa, równie złożona i w ostatecznym rozrachunku równie niejednoznaczna, jak przeszłość jakiegokolwiek innego kraju. Nikogo nie przekona żadna próba udawania, że jest inaczej”.

„Polacy muszą zdać sobie sprawę z tego, że wiele z ich pism historycznych — od autochtonicznych teorii odnoszących się do prehistorii, po etnocentryczne interpretacje wydarzeń, nie bez powodu budzi za granicą ostupienie”.

Dalej pisze: „Jeśli zatem Polacy mają się wyrwać z nałożonego im przez politycznych władców umysłowego kaftana bezpieczeństwa, muszą zacząć, jak to uczynili ich przodkowie — od przesłedzenia własnej historii”.

Ma tutaj na myśli tzw. grupę Stańczyka, zespół historyków krakowskich z końca ubiegłego wieku, którzy wręcz powiedzieli, że nieszczęścia i tragedie Polski, spowodowane siłami zewnętrznymi, w istocie były skutkami własnych niedomagań.

„Jeśli Polaków nauczono myśleć o Rzeczypospolitej jako szczytowym celu w sobie, to zostali okrutnie oszukani, a imponujące uroczystości z okazji sześćdziesiątej rocznicy niepodległości były tylko pustą celebrą”.

„Dziś, bardziej niż kiedykolwiek dotąd, Polacy muszą sobie zadać pytanie, jakie właściwie są te cele. Jeśli ich ukochana Rzeczpospolita naprawdę istnieje po to, aby rozwijać i wspierać dobrobyt swoich obywateli oraz przyczyniać się do ogólnego postępu ludzkości, to wszystko w porządku”.

Jako historyka określa Davies osobę, która pośredniczy między tym co się działo w przeszłości, a dzisiejszym człowiekiem, zainteresowanym tym, co miało miejsce w przeszłym czasie.

Jan Szczepanowski w artykule we wrocławskiej *Odrze* (nr 1 1987) stawia pytanie. „Czy historia jest mistrzynią życia?” Odpowiada, pisząc: „Zależy to od historyków. Jeżeli piszą dzieje z przyjętą tezą przewodnią, aby kogoś albo coś idealizować, aby tworzyć legendy, albo służyć czyjejś megalomanii itp., wtedy taka historia jest zwykłym nieporozumieniem”.

Historia Polski „Boże igrzysko” swoją oryginalnością i usilnym poszukiwaniem prawdy historycznej w przeszłości Polski niewątpliwie wstrząsnęła świadomością czytelnika. W prasie ukazało się wiele artykułów i wywiadów z tak kontrowersyjnym na nasze stosunki, przekonania i pojęcia autorem. Ktoś się Daviesa

zapytał, „dlaczego Polska nie stała się mocarstwem, tylko Moskwa, która zdawałoby się miała mniejsze szanse, albo Prusy, które były niczym, a stały się potęgą”. Davies odpowiedział: „Rozpatrujemy sprawę w kategoriach psychologicznych: Moskwa i Prusy miały trudne początki i racjonalnie patrząc, widoki na ich przeżycie były nikłe, zwłaszcza w przypadku Prus. I może dlatego, że początki były tak trudne, ta roślina politycznie okrzepła. Polska rozwijała się w XV i XVI wieku niesłychanie szybko, powiedziałbym za szybko. To sprawiło, że Polacy odurzyli się swoim powodzeniem, przestali dopuszczać do świadomości ewentualność porażki”.

A co się Panu u nas nie podoba?

„Co mi się nie podoba do dziś, to wasza wieczna pretensja do obcych za historię własnego kraju... Wielu reprezentuje stanowisko dla mnie absolutnie nie do przyjęcia. Jest nim polski nacjonalizm, który się spotyka na każdym kroku. Stąd bierze się przerysowane poczucie własnej krzywdy. Stąd ksenofobia, a co mi się najmniej podoba, to wasz brak tolerancji wobec mniejszości narodowych: Niemców, Żydów, Ukraińców...”

„Bardzo często słyszę od młodych Polaków, że Gdańsk był zawsze miastem polskim. ABSURD! Jako historyk jestem szczególnie na to zjawisko wyczulony. Niestety propaganda pokrywa się z opinią społeczną. Według mnie jest się czym szczyścić, że właśnie miasto niemieckie Danzig było tak lojalne wobec Rzeczypospolitej, że ci dawni Niemcy w Gdańsku, choć byli antypruscy — byli jednak Niemcami, którzy czuli się dobrze w Polsce. Jest nonsensem to, czego uczy się dziś w polskich szkołach, że Gdańszczanie to byli albo polscy patrioci, albo Niemcy — polakożercy. Nic podobnego! To stało się dopiero w XIX i XX wieku”. (Wywiad *Kultury* paryskiej — listopad 1986).

Jerzy Piekarczyk pisze w *Przekroju* (12 stycznia 1992): „Napisana przez Anglika historia Polski powinna stać się obowiązkową lekturą nie tylko dla młodzieży szkolnej. Ale szanse są nikłe, nawet jeśli programy szkolne nie będą cenzurowane przez ekspertów mających narodowego fioła. Obraz dziejów, jaki wylania się spod pióra angielskiego historyka nie bardzo przystaje do naszej przeciętnej wyobraźni, ukształtowanej na ukrzyżowanym narodzie, „Trylogii” i bogoojczyźnianych śpiewach”.

Z końcem ubiegłego stulecia naród polski — szczególnie pod zaborem rosyjskim — był w głębokiej depresji. Beznadziejność opanowała umysły. Tak, jak choremu i przygnębionemu pacjentowi lekarz przepisuje odurzające lekarstwo, by go wyrwać z depresji, tak Sienkiewicz dał narodowi „Trylogię”. Podziałała ona jak silny narkotyk i odciągnęła od szarej rzeczywistości bez jutra. Pacjent jednak nie może żyć narkotykiem i przychodzi okres, że musi się od niego oderwać i zacząć żyć codziennym realizmem.

Dziś Polska po raz pierwszy od stuleci nie jest zagrożona przez sąsiadów. Granice ma ustalone i zagwarantowane. Nie pozostaje nic innego, jak solidna i uczciwa praca na każdym szczeblu, dla teraźniejszości i przyszłości.

Z omal proroczą dalekowzrocznością Norman Davies pisze:

„Przeciętny Polak z pewnością ma poczucie, że tradycyjnie podsycana świadomość narodowa jego rodaków jest jednym z najistotniejszych elementów gwarantujących przetrwanie kraju. Jest jednak możliwe, że rola nacjonalizmu będzie coraz bardziej podawana w wątpliwość. W miarę jak błędne wojenne wspomnienia, muszą także tracić żywość barw dawne postawy zrodzone z obawy przed osaczeniem i unicestwieniem gatunku. Teraz, gdy istnieniu Polski jako odrębnej wspólnoty narodowej nie zagraża już niebezpieczeństwo, aspiracje Polaków zwracają się w innych kierunkach: od obsesji nacjonalistycznych ku ideom politycznych swobód i międzynarodowego braterstwa. Być może, zrodzi się poczucie, iż polskie życie polityczne zostało wpedzone w moralnie ślepą uliczkę, z której młodzi i niecierpliwi muszą w jakiś sposób się wydostać. Okaże się, że nacjonalizm — ideologia dominująca na ziemiach polskich nieprzerwanie od epoki rozbiorów — wreszcie odegrał swoją historyczną rolę. Pokoleniu powojennemu wystarczała radość z tego, że żyje i że zostali Polakami; ich synowie i córki mogą zechcieć zostać Europejczykami, kosmopolitami, obywatelami świata”.

Adelaide-Australia, wrzesień 1992

Leon J. GRABOWSKI

Polnische Buchhandlung

**KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

30. 09. 92

W Krakowie zmarła w wieku 88 lat Maria Malicka, wybitna polska aktorka.

1. 10. 92

W Warszawie utworzono Fundację Narodową im. Romana Dmowskiego. Przewodniczącym Fundacji jest senator Jan Zamoyski, przewodniczący ruchu narodowo-demokratycznego. Fundacja przejęła prawa własności do tytułu *Myśl Polska* — pisma wychodzącego w Londynie od 45 lat. *Myśl Polska* będzie wychodziła jako miesięcznik a od nowego roku jako tygodnik. ■ Janina Elżbieta Smulek została mianowana ambasadorem RP w republice Białorusi. P. Smulek była profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, slawistką, specjalistką w zakresie językoznawstwa białoruskiego i problematyki polsko-białorusko-litewskiego pogranicza etnicznego. W 1991 r. była konsulem generalnym RP w Mińsku.

24. 10. 92

Przemysław Grudziński został mianowany podsekretarzem Stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej.

29. 10. 92

Międzynarodowy holding Luxemburg Cambridge Holding Group zakupił za 1 mln. 20 tys. dolarów 51 procent udziałów Państwowego Wydawnictwa Naukowego PWN. Holding zobowiązał się w ciągu dwóch lat zainwestować 400 tys. dolarów, ponadto spółka zapłaci skarbowi państwa 70 mld. 528 mln zł. oraz 1 mln dolarów za budynek, w którym wydawnictwo ma swoją siedzibę.

1. 11. 92

Rząd rosyjski zdecydował się na uprzywilejowanie 70 lotnisk na 74, które były administrowane przez Aeroflot. Decyzja ta jest spowodowana ogromnym wzrostem kosztu paliwa i ekwipunku. Były ZSSR liczył w sumie 135 lotnisk na całym swym terytorium.

5. 11. 92

Na prośbę rządu Bośni i Hercegowiny Polska przyjęła grupę około 900 dzieci i młodzieży z Boznańskiego Brodu. Dzieciom towarzyszyło około 30 osób dorosłych — nauczyciele i matki dzieci poniżej 10 lat. P.C.K. oblicza, że na każde dziecko potrzeba około 3 milionów zł. miesięcznie.

6. 11. 92

W Krakowie otwarto wystawę prac Jana Lebensteina zorganizowaną przez Muzeum Narodowe w Krakowie i Ambasadę Francji. W Muzeum Sztuki w Łodzi otwarto wystawę prac rzeźbiarskich i rysunków Holendra Carela Vissera.

7. 11. 92

Zmarł w szpitalu w Pradze, w wieku lat 70, Aleksander Dubczek, przywódca „Praskiej Wiosny” w 1968 roku. Przez ostatnie 20 lat znajdował się

w całkowitej izolacji w Bratysławie, a po odzyskaniu niepodległości przez Słowację był przewodniczącym Parlamentu Federalnego. Zamierzał kandydować na stanowisko prezydenta Słowacji.

9. 11. 92

Staraniem Koła Polonistów studentów KUL'u został otwarty III Tydzień Polonistów „Stare i nowe literaturoznawstwo w Lublinie”.

10. 11. 92

Artur Międzyrzeczki, prezes PEN Clubu, obchodził 70-lecie urodzin i 50-lecie pracy twórczej.

12. 11. 92

Prochy gen. Kazimierza Sosnkowskiego, które były złożone tymczasowo na polskim cmentarzu w Montmorency pod Paryżem, zostały złożone w katedrze św. Jana w Warszawie.

16. 11. 92

Senat Politechniki Wrocławskiej nadał doktorat *honoris causa* inż. architektowi Zdzisławowi Pręgowskiemu za jego zasługi w dziedzinie architektury, budownictwa i plastyki oraz za całokształt działalności społecznej, artystycznej i charytatywnej. Ostatnią akcją charytatywną p. Pręgowskiego była pomoc dla Sybiraków, którym ofiarował sumę Dol. 100.000 w formie funduszu, z którego roczne odsetki (ok. Dol. 10.000) są wypłacane najbardziej szym Sybirakom roku, w Polsce.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

14. 10. 92

Przedstawiciele Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce: prof. Feliks Gross i prof. Tadeusz Gromada złożyli wizytę w Polsce. Podczas licznych spotkań i konferencji ustalono m.in., że stacja Polskiej Akademii Umiejętności będzie oficjalnie urzędować w domu Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku. P.I.N. będzie systematycznie publikować raporty i sprawozdania P.A.U. w swoim piśmie *Polish Review*.

17. 10. 92

Walne zebranie Samodzielnego Oddziału Koła b. Żołnierzy A.K. we Francji, które odbyło się w Paryżu, wybrało nowy zarząd w składzie: prezes — Tadeusz Wyrwa, wiceprezes — Jerzy Lipowicz, sekretarz — Jerzy Szumański, skarbnik — Barbara Belta, referent prasowy — Marek Rudnicki oraz Andrzej Karpiński — członek zarządu.

18. 10. 92

Zmarł w Warszawie w wieku 75 lat komandor podporucznik Andrzej Jarczewski. W czasie ostatniej wojny dowódca grupy ścigaczy, oficer nawigacyjny w konwojach atlantyckich. Po wojnie zamieszkał w Londynie, gdzie brał aktywny udział w życiu społecznym, w szczególności na polu niesienia pomocy dla Polski.

20. 10. 92

Bronisław Geremek został mianowany profesorem Katedry Międzynarodowej

College de France w roku 1992/1993. ■ François Fejtő otrzymał nagrodę parlamentu francuskiego za swoją pracę „La fin des démocraties populaires”, napisaną z pomocą p. Kulesza-Mietkowskiej.

21.10.92

Zmarła w Pino Torinese w wieku 85 lat Marina Bersano Begey, znakomita polonistka włoska, profesor literatury polskiej na uniwersytecie w Turynie. Przez kilka dziesięcioleci kierowała Instytutem Kultury Polskiej im. Attilio Begey. Wybitna znawczyni ruchu Towiańskiego.

24.10.92

Zmarła w Nowym Jorku w wieku 91 lat Walentyna Rudzka, autorka prac z dziejów powstań polskich w XIX wieku.

25.10.92

Dla uczczenia wybitnego pisarza *science fiction*, Stanisława Lema, Międzynarodowa Unia Astronomiczna nazwała jego imieniem planetoidę oznaczoną numerem 3836.

3.11.92

Ponad 190 mln Amerykanów wzięło udział w 232 lokalnych referendach. 14 dotyczyło zmniejszenia liczby mandatów przedstawicielskich oraz prawa do przerywania ciąży. (Większość osób proponuje aby je ograniczyć). W Arizonie przedmiotem referendum był wniosek o całkowity zakaz aborcji, z wyjątkiem przypadków, w których jest zagrożone życie matki. W Kalifornii odbyło się referendum na temat prawa do śmierci. O ile jego zwolennicy okażą się w większości, dorośli ludzie „zdrowi na umyśle” a dotknięci nieuleczalną chorobą będą mieli prawo domagać się pomocy lekarskiej przy samobójstwie. Stolica — Waszyngton (DC) miasto o największej liczbie przestępstw w kraju, organizuje referendum na temat przywrócenia kary śmierci, która miałaby być stosowana również wobec nieletnich i umyślowo chorych. Stany Maine i Colorado wypowiedziały się na temat ograniczenia praw homoseksualistów. W tym przedmiocie najdalej posuwa się stan Oregon: mieszkańcom proponuje się tam, aby uznali homoseksualizm za „nie-normalny, zły, sprzeczny z naturą i perwersyjny”. Jeśli projekt ten przejdzie, nauczyciele i policjanci homoseksualiści będą mogli być zwalniani z pracy, a adwokaci i lekarze pozbawiani prawa do praktyki. W dziesięciu stanach odbyły się referenda dotyczące gier hazardowych i zakładów; chodzi o zwiększenie ich liczby, aby zasilić kasy stanowe.

4.11.92

Zmarł w Anglii w wieku 96 lat Kazimierz Maciej Smogorzewski, dziennikarz i pisarz polityczny. W okresie międzywojennym był korespondentem zagranicznym szeregu pism z *Gazetą Polską* na czele. W latach 1940-1945 redaktor dwutygodnika *Free Europe* w Londynie, w latach 1942-1988 był współpracownikiem *Encyclopedia Britannica*. ■ W stacji naukowej P.A.N. w Paryżu odbył się wieczór dyskusyjny na temat „L'Echelle de Jacob — ou le récit de voyage imaginaire” z udziałem pisarza Władysława Terleckiego, Béatrice Didier, profesora Uniwersytetu Paris VIII i Ewy Bienkowskiej.

5.11.92

Nagrodę Wartburga, przyznawaną za zasługi w rozwoju i propagowaniu porozumienia między narodami Europy otrzymali ministrowie spraw zagranicznych: Polski — Krzysztof Skubiszewski, Francji — Roland Dumas, oraz

b. szef niemieckiej dyplomacji Hans Dietrich Genscher.

7.11.92

W Londynie odbyło się Walne Zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Prezesem po raz 18-ty został Józef Garliński. Jednocześnie ukazał się XVII-y tom *Pamiętnika Literackiego*, poświęcony recepcji polskiej literatury na terenie Szwecji. Nagrodę Związku Pisarzy za rok 1992 otrzymał Zbigniew S. Siemaszko za pracę „W sowieckim osaczeniu”.

9.11.92

Janina Zabięto, b. sekretarka dwóch ambasadorów we Francji — Juliusza Łukaszczyka i Kajetana Morawskiego — została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta przez konsula generalnego R.P. w Paryżu, Marka Janikowskiego. Uroczystość odbyła się w Polskim Domu Spokojnej Starości w Lailly-en-Val, którego pensjonariuszką od lat jest p. Zabięto.

14.11.92

W siedzibie Konsulatu R.P. w Nowym Jorku odbyła się aukcja dobroczynna współczesnego malarstwa polskiego, z której całkowity dochód został przeznaczony na rzecz Funduszu Daru Narodowego. 80-ciu najbardziej znanych polskich malarzy przeznaczyło swoje prace na ten cel. Druga sesja aukcji odbędzie się 12 grudnia br.

18.11.92

W stacji naukowej PAN w Paryżu odbył się wieczór poświęcony 100-leciu Polskiej Partii Socjalistycznej z udziałem wybitnych przedstawicieli PPS i Francuskiej Partii Socjalistycznej.

30.11.92

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt ambasadora R.P. we Francji, Jerzego Łukaszczyka, na temat „La Révolution polonaise 1830 et l'Europe”.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

Federalny premier Australii Paul Keating zdecydowanie opowiedział się jako sojusznik po stronie Japonii w szerokim zakresie spraw politycznych. Poparł roszczenia Japonii do Wysp Kurylskich, wypowiedział się przeciw propozycjom amerykańskim zawierania dwustronnych umów handlowych z krajami azjatyckimi (Japonia sprzeciwia się takim umowom), nie zgodził się na projekt Malesji regionalnego bloku ASEAN (Malesja, Singapur, Filipiny, Indonezja, Tajlandia) bez włączenia Japonii. Premier Keating wyraźnie określa rolę Australii w powiązaniu z rejonem Azji i Południowego Pacyfiku. Japonia jest obecnie największym partnerem handlowym Australii, największym rynkiem zbytu dla australijskiej produkcji. W niedawno przeprowadzonych badaniach opinii publicznej w Japonii, znaczna większość Japończyków powiedziała, że gdyby miała wybrać kraj, poza swoim macierzystym, do zamieszkania, wybrałaby Australię.

Dalszą ilustracją powiązań japońsko-australijskich jest fakt, że sto tysięcy australijskich studentów uczy się języka japońskiego; najwięcej na świecie, poza Chinami i Koreą. Australia ostatnio zamknęła trzy swoje ambasady w Europie, a otworzyła cztery konsulaty w Japonii. ■ Australia odgrywa nadal dużą rolę w pokojowej misji ONZ w Kambodży. Wojska ONZ w Kambodży (16 tys. żołnierzy z różnych krajów, m.in. z Japonii) są pod komendą australijskiego generała Johna Sandersona. ■ Przed pierwszym masowym napływem emigrantów do Australii (1947-1951, przybyło wtedy 470 tys. emigrantów), kraj ten miał 7 milionów ludności. Obecnie Australia liczy ponad 17 milionów ludności (obszar równający się 3/4 obszaru Europy). Do roku 1970 około 50% emigrantów pochodziło z Wielkiej Brytanii i Irlandii. Dzisiaj procent emigrantów z Wielkiej Brytanii i Irlandii wynosi 32%, z Azji 17%, Nowej Zelandii 8%, Italii 7%, ze Środkowego Wschodu 5%, Grecji 4%... Tak więc na początku lat dziewięćdziesiątych 60% emigrantów przybywało do Australii z krajów nie anglojęzycznych. ■ Na Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy, który odbył się w Krakowie w dniach 19-23 sierpnia 92 r., delegacja australijskiej Polonii zajęła wyraźne stanowisko w sprawie współpracy ośrodków polonijnych z krajem. Jak podał w wywiadzie dla *Tygodnika Polskiego* w Melbourne prezes Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, Krzysztof Łańcucki: „Wspólnota Polska przy poparciu Polonii z Wielkiej Brytanii i Argentyny lansowała koncepcję wielkiej centralnej organizacji ze sztabem w Warszawie, w której organizację polonijne byłyby wykonawcami. My natomiast, poparci przez Kanadyjczyków i Amerykanów, zaprezentowaliśmy inne stanowisko, do którego ostatecznie udało nam się przekonać większość uczestników Zjazdu. Uważamy, że władze polskie, jak i Wspólnota Polska muszą uszanować naszą podmiotowość. Jesteśmy suwerennymi mniejszościami etnicznymi i pełnoprawnymi obywatelami w krajach osiedlenia. Z tej pozycji możemy zrobić dla Polski najwięcej. Moim zdaniem rozwiązanie, które narzuca nam hegemonię z Warszawy, nie jest dobre, a to dlatego, że my najlepiej możemy występować wobec władz w krajach zamieszkania jako obywatele tych krajów”. ■ W roku 1992 mija pięćdziesiąt lat od pierwszego wydania *Wiadomości Polskich*, ogólnoaustralijskiego tygodnika polonijnego, ukazującego się w Sydney. *Wiadomości Polskie* zaczęły wychodzić podczas drugiej wojny światowej jako biuletyn konsulatu RP w Sydney; pierwszy numer ukazał się w maju 1942 roku. Od czterdziestu lat pismo prowadzi redaktor Jan Dunin-Karwicki. *Wiadomości Polskie* przez dłuższy czas redagowane były raczej dla inteligencji spośród tutejszej Polonii. Tygodnik ten skupiał znaczną większość dziennikarzy, literatów i działaczy kulturalnych, jacy znaleźli się na fali emigracyjnej w Australii. ■ Konsulem honorowym RP w Melbourne mianowany został Henryk Syriatowicz, naczelny dyrektor dużej i znanej polonijnej firmy Contal Co. i prezes Polsko-Australijskiej Izby Handlowej. ■ Istniejąca od dziesięciu lat Sekcja Polska na Uniwersytecie Macquarie w

Sydney jest jedyną tego rodzaju placówką w Australii. Dzięki wprowadzeniu nauki metodą korespondencyjną, udostępnione zostało nauczanie na terenie całej Australii. Sekcja Polska oferuje trzy grupy przedmiotów: język polski, literatura i kultura polska oraz wiedza o Polsce współczesnej. Od pięciu lat możliwe jest pisanie prac magisterskich i doktorskich w zakresie języka i kultury polskiej. ■ Federacja Polskich Żydów w stanie Wiktorii oraz Australijski Instytut Spraw Polskich zorganizowali spotkanie w Holocaust Centre w Melbourne. Na to spotkanie przybyło ponad 300 osób, Żydów i Polaków. Głównym punktem programu było wyświetlenie filmu o „Żegocie” — polskiej organizacji pomocy Żydom w czasie okupacji niemieckiej. Z dużym zainteresowaniem zebrani przyjęli wprowadzenie do filmu, wygłoszone przez młodego żydowskiego historyka Marka Bakera, wykładowcę historii na Melbourne University. M. Baker podkreślił, że bez szczerości i wzajemnej dobrej woli nie można mówić o autentycznym dialogu. Przedstawił on historię stosunków polsko-żydowskich bardzo przekonująco i rzeczowo. ■ Na zaproszenie federalnego parlamentu Australii przebywała w Australii z sześciomiesięczną wizytą delegacja Sejmu i Senatu RP, na czele z marszałkiem Sejmu prof. Wiesławem Chrzanowskim. W czasie pobytu delegacji odbyło się szereg spotkań z australijską Polonią. ■ Muzeum i Archiwum Polonii Australijskiej (prezes dr Zdzisław Derwiński, z młodszej emigracji) zorganizowało w Melbourne wystawę prasy polskiej w Australii. Na wystawie było 61 tytułów — tygodników, miesięczników, kwartalników, biuletynów itp. Obecnie w Australii ukazują się w zasięgu ogólnoaustralijskim dwa polonijne tygodniki: w Melbourne *Tygodnik Polski* i w Sydney *Wiadomości Polskie*. Oprócz wymienionych tygodników, wydawane są (również w zasięgu ogólnoaustralijskim) dwa polonijne miesięczniki: *Przegląd Katolicki*, publikowany w Sydney oraz *Kurier Zachodni* w Perth (w stanie Zachodniej Australii). ■ W Launceston (stan Tasmania) zmarł kapitan żeglugi Bogdan Kołodziej, jeden z pionierów żeglarstwa Drugiej Rzeczypospolitej. Był m.in. instruktorem w Państwowej Szkole Morskiej, odbywał rejsy transatlantyckie na „Darze Pomorza”. Za udział w najśłynniejszej akcji ratowniczej drugiej wojny światowej, gdy „Narwik” wyratował ponad tysiąc pasażerów storpedowanego statku „Orcades”, otrzymał wysokie odznaczenia polskie i brytyjskie. ■ W Warszawie i Krakowie odbyły się konferencje, zorganizowane przez Polsko-Australijskie Stowarzyszenie Prawnicze, przy udziale australijskich prawników, specjalizujących się w ustawodawstwie przemysłowym i sprawach administracyjnych. Celem tych konferencji było zapoznanie polskich prawników, członków parlamentu i władz państwowych z australijskimi doświadczeniami w tej dziedzinie. Przewodniczącym konferencji był Jerzy Zubrzycki, profesor-założyciel katedry socjologii na Australijskim Narodowym Uniwersytecie w Canberze, pionier i architekt wielokulturowości w Australii. Polsko-Australijskie Stowarzyszenie Prawnicze założył australijski adwokat Tony Macken, właściciel dużej

australijskiej firmy prawniczej, przyjaciel Polski, znawca Norwida i Mickiewicza. ■ Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne w Melbourne urządziło wielki koncert jubileuszowy na cześć Gwidona Boruckiego, z okazji sześćdziesięciolecia jego działalności artystycznej. Przed wojną występował m.in. w Cyruliku Warszawskim, w czasie wojny w czołówce teatralnej Drugiego Korpusu — Polskiej Parady. W dniu 20 maja 1944 roku, to jest dwa dni po zwycięstwie na Monte Cassino, Gwidon Borucki zaśpiewał dla żołnierzy Drugiego Korpusu po raz pierwszy słynną później pieśń „Czerwone maki”, napisaną przez Feliksa Konarskiego do melodii Alfreda Schütza. Po wojnie, jako Gwido Lorraine, grał w różnych rolach w 34 filmach, nakręconych w większości w Anglii („Top Secret”, „Above Us the Waves”, „Colditz Story”, „Hotel Sahara” i in.). Gwidon Borucki występował również na scenach i estradach Londynu, m.in. w operetce „Carissima”. Rekord jednak pobił grając przez dwa lata główną rolę księcia w komedii muzycznej „Grab me a Gondola”. Po osiedleniu się w Australii był przez dwanaście lat prezesem Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego w Melbourne; zorganizował i reżyserował wiele artystycznych i kulturalnych polonijnych imprez. ■ Delegaci 16 organizacji członkowskich wzięli udział w walnym zebraniu Federacji Polskich Organizacji w Południowej Australii, jakie odbyło się w stolicy stanu — Adelaide. Prezesem Federacji ponownie został wybrany Andrzej Szczygielski. ■ W Nowej Zelandii wydana została ciekawa monografia historyczna pt. „Russophobia in New Zealand, 1838-1908”, autora Glynn Barratta. Książka ukazała się dzięki pomocy funduszu wydawniczego kanadyjskiego uniwersytetu Carleton w Ottawie. Monografia ta podaje, że polskie powstanie listopadowe było powodem kampanii prasowej w Anglii, Szkocji, Australii, wskazującej na fakt zagrożenia Nowej Zelandii przez flotę rosyjską. Oprócz częstego nawiązywania do spraw polskich oraz do roli nielicznej ówczesnej emigracji polskiej w Australii, w monografii widoczny jest wpływ książki Lecha Paszkowskiego „Polacy w Australii i Oceanii, 1790-1940”, wydanej w Londynie, nakładem B. Świdarskiego, w roku 1962. Poza końcową bibliografią nazwisko Paszkowskiego pojawia się raz w tekście i cztery razy w przypisach, ale wpływ jego książki jest wyraźny. Barratt omówił też krótko tło polskiej emigracji w Australii i Nowej Zelandii w XIX wieku i jej rolę w mobilizowaniu opinii antyrosyjskiej w tych krajach, również przy pomocy polskich Żydów. ■ Na dorocznym walnym zebraniu Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii wybrano ponownie na prezesa Michała Mendrunia. ■ W Warszawie, podczas światowego zjazdu polskich kombatantów, zmarł Marian Gorzkowski, delegat Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Nowej Zelandii, długoletni i bardzo czynny członek SPK, Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii, Skarbu Narodowego i Komitetu Katyńskiego.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

## Listy do Redakcji

Ottawa, 25 października 92r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z powodu okoliczności, dopiero obecnie mogłem zaznajomić się z zeszytami nr 7/8 oraz nr. 9 *Kultury*. Z olbrzymim zainteresowaniem przeczytałem szereg wypowiedzi w ramach ankiety „Jak wyjść z impasu?”. Nie taję, że byłem tymi wypowiedziami, z wyjątkiem wypowiedzi pani Ewy Łętowskiej, raczej rozczarowany. Jestem zaskoczony również faktem, że nikt z czytelników nie zabrał dotychczas głosu w tej tak ważnej sprawie.

Wyjątkowo mądra i wyważona wypowiedź p. Łętowskiej położyła chyba rękę na pra-przyczynie wszelakiego rodzaju zła w kraju, o co z pewnością chodziło w pierwszym rzędzie redakcji *Kultury*. Pisze ona: „Skoro mam powiedzieć, co jest najgorsze dla Polski w chwili obecnej, ...to sprawą numer jeden jest lenistwo”. Może jednakże należałoby diagnozę p. Łętowskiej wyraźniej rozszerzyć i uzupełnić: w wyniku bowiem niejako genetycznie zakodowanego lenistwa, duża część elity społecznej odznacza się również wyjątkowym brakiem zmysłu, doświadczenia i kompetencji organizacyjnej i to na wszystkich szczeblach życia w czynnościach planowania i zarządzania włącznie. Sprawa jest o tyle nieprzyjemna i trudna, że o ile brak zwykłej wiedzy w jakiejś dziedzinie można stosunkowo łatwo opanować przez naukę w szkole lub też wysiłkiem osobistym, to niedołęstwo organizacyjne i w zarządzaniu wynikające z braku podstawowego zrozumienia, u rządzących i rządzonych, konieczności zdyscyplinowanego wysiłku podporządkowanego prawom zbiorowości, nie da się opanować w tak zasadniczo prosty i szybki sposób.

Mówiąc o przyczynach smutnej sytuacji pod tym względem w Polsce, p. Łętowska pisze: „I nie tylko minione czterdziestolecie tu winne. Ono oczywiście też, ale i brak zakorzenionego poczucia wartości prawa, instytucji państwowych, mający swe źródło w historii. Gdy w XIX wieku społeczeństwa pracownicy uczyły się tego, co to wybory, jaki ich sens, jakie zalety ma stabilne prawo, jak musi być

tworzone i aplikowane, ...my mieliśmy obce, wrogie państwo i prawo. Nie nauczyliśmy się szanować tego, co warte było szacunku nawet w zaborczym państwie i prawie"... Może jednakże należałoby tu dodać, że gdy inne społeczeństwa tworzyły również swe prężne warstwy średnie, a więc mieszczaństwo, kupców i wszelkiego rodzaju przedsiębiorców, *oparte na etosie pracy* wymagającej dużego, systematycznego i zdyscyplinowanego wysiłku, my pielęgnowaliśmy głównie beztroskie, ale bardzo absorbujące i raczej próżne życie towarzyskie. Można je stale jeszcze obserwować w części swej okazałości na wychodźstwie! Gadulstwo, a nawet zwykłe warcholstwo, zostały podniesione nieomal do rangi czynu narodowego. W wyniku, w dominującym modelu naszego życia praca była jeśli nie w pogardzie, to z pewnością lekceważona, a z nią wszyscy ci, którzy tej pracy musieli się oddawać, a więc chłopi, rękodzielnicy, kupcy, przedsiębiorcy. Pamiętam, jak w moim małym miasteczku przed wojną, i to na solidnym Śląsku, inspektor szkolny (a więc niby nie tyle jaka figura!) naraził się opinii miejscowej elity, gdyż własnoręcznie łopatą uprawiał ziemię w ogrodzie! Uznano to za prowokacyjną bufonadę. W tej atmosferze, nawet umiejętność wykonywania praktycznych czynności, nie mówiąc już o takich jak robienie zakupów, malowanie wnętrza mieszkań, *pisania na maszynie* (obecnie jeden z warunków sprawnego operowania systemami komputerowymi) uznano za przynoszące ujemny statusowi społecznemu. Powstawała więc prymitywna i rozleniwiona klasa, mało przydatna ale jedyna, która mogła sobie rościć pretensję do roli przewodnictwa. Jak to przewodnictwo wygląda w praktyce świadczy o tym, niestety zbyt często, sytuacja kraju. Okoliczność zaś, że wielu członków „elity rządzącej” nie miało sposobności wyjść poza warsztat szkolny czy naukowy, nie polepsza sytuacji. Nie mogło to być bez wpływu również na charakter naszych „intelektualistów”, zwłaszcza z branży pisarskiej, którzy lubują się przede wszystkim we wszelkiego rodzaju ezoterycznych rozważaniach i spekulacjach. Niech następujące spostrzeżenie posłuży jako przykład. Dwa lata temu będąc w Warszawie (pobyt roboczy, nie turystyczny), postanowiłem zorientować się w kalibrze czołowych gazet i tygodników, z myślą o zaprenumerowaniu któregoś z nich do Kanady. Przyjaciół zatrzymał auto przed większym kioskiem i kupiłem siedem różnych wydawnictw. Był to okres (tak jak i dzisiaj) w którym wszystkie dziedziny życia kraju czekały na gruntowne zmiany i odbudowę. Były więc tysiące problemów wymagających analizy i dyskusji. A jednak jedynie w *Tygodniku Powszechnym* znalazłem poważny artykuł Stefana Bratkowskiego godny przeczytania, pod tytułem „Rolnictwo jakie mogłoby być” (cytuję z pamięci). Szukając wytłumaczenia tego faktu, zwróciłem uwagę na powyższe spostrzeżenie ks. Tischnerowi, który niedawno odwiedził Kanadę z odczytami. Odpowiedział, że i on zauważył tę anomalie (w mojej opinii), ale nie wiedział czym to tłumaczyć. Obecnie wydaje mi się, że wytłumaczenie jest oczywiste: brak u piszących zainteresowania i *kompetencji* w dodatku bez

widocznego zapotrzebowania społecznego. Przecież „mało kto abonuje pisma, ci co abonują nie czytają, a ci co czytają nie rozumieją” — bo i to wszystko wymaga świadomego wysiłku i dużo dyscypliny.

Nie chcę nadużywać cierpliwości Redaktora i Czytelników dalszymi wywodami, mimo że temat jest nadzwyczaj obszerny i o krytycznym znaczeniu dla dalszego rozwoju sytuacji w Polsce. Dobrze jednakże, że znalazł się ktoś kompetentny i mądry, co zechciał jasno wypowiedzieć podstawową prawdę o sytuacji w kraju. Okoliczność, że p. Łętowska żyje i pracuje w kraju zajmując pełne odpowiedzialności stanowiska, ma olbrzymią wagę. Jej wypowiedzi nie można bowiem zlekceważyć, względnie zbyć argumentem, że żyjąc w „przepychu Zachodu” — tak jak niektórzy z nas, włączeni z zewnątrz w wysiłki na terenie kraju — nie jest w stanie wczuć się i zrozumieć istoty życia w kraju. Nie ma też chyba żadnej wątpliwości, że jedyne wyjście z obecnego „impasu” to świadomy wysiłek wdrażający *całe społeczeństwo*, poczynając od przedszkola, do solidnej pracy, dyscypliny, poszanowania prawa, przy równoczesnym szacunku dla otoczenia i bliźnich. Istotnie, żadne skrót i „czarodziejskie zaklęcia” tu nie pomogą. Pięknie to ujęła p. Łętowska: „Uczyć, popularyzować, oświecać, wyśmiewać. Bez nadziei na efektywny sukces czy uznanie, uporczywie bez końca. *Jakieś piętnaście lat*” (podkreślenie moje). A nieco dalej: „Nieefektywne? Trudne? A pyta nas kto o zdanie? Czy mamy położyć się na ziemi i kopać nogami jak niegrzeczne dzieci? Nie ma innej rady: zacisnąć zęby i robić swoje. I nie dać się zatupać”... Jakież to słuszne, proste i przekonujące. Nie należy przy tym zapominać, że przecież nie całe społeczeństwo mogło sobie pozwolić na luksus lenistwa. Mimo różnych ich braków, są i warstwy społeczne, które potrafiły oprzeć się niebawemu naporowi okupantów i wytrwały przy swoich zasadniczych wartościach. To z nich głównie składają się liczne rzesze kombatantów i „Związków Polaków” budujących na uchodźstwie w pocie czoła różne domy polskie i ośrodki polonijne, *mające służyć całej naszej grupie*. Sprawa nie jest więc beznadziejna, tyle, że opanowanie obecnej sytuacji będzie wymagało celowej pracy chyba dwóch pokoleń. Zaniedbania bowiem wieków, oraz wyniszczenia i deformacji ostatniego półwiecza nie da się nadrobić w przeciągu kilkunastu lat. Poza tym jeśli jest prawdą, że „jaki pan taki kram”, to również jest prawdą, że „narody mają takie rządy na jakie sobie zasługują”. Wysiłek naprawy musi więc objąć całe społeczeństwo.

Nie ma się jednakże o co spierać: „nie mamy innej rady”. Jeśli uda nam się opanować sytuację wcześniej, to tym lepiej. Poza tym, jak mówili Grecy (ponoć mamy szansę dorównać im gospodarczo za jakieś dwadzieścia lat!): „początek jest połową wszystkiego”. Rzecz więc w tym, aby zacząć już dzisiaj. Może przy tym będzie korzystne dla sprawy jeśli część naszych opatrnościowych polityków (mam na myśli również opatrnościowych mężów naszej diaspory!) dowie się, że myślące społeczeństwo ma mało szacunku dla ich niedołęznego miotania się.

Jeśli Redakcja *Kultury* liczyła na to, że w wypowiedziach znajdzie się może przekonujące rozwiązanie pytania „Jak wyjść z impasu?”, to istotnie pomysł udał się nadzwyczajnie w postaci wypowiedzi p. Łętowskiej. Że przy tym musiała się powołać na przykład codziennej pracy kobiety w domu, to tylko dodatkowy przyczynek do sytuacji, w której znaleźliśmy się. Czy i to nie daje dużo do myślenia?

Teodor J. BŁACHUT

23 października 1992

Drogi Panie Redaktorze,

Edward Możejko dziwi się (w artykule „O literaturze emigracyjnej i nadmiarze krytyki”), że mnie dziwi określenie „poeta polsko-kanadyjski” i wyjaśnia mi cierpliwie, że odzwierciedla ono wielokulturową politykę Kanady. Na temat tej polityki wypowiedziałem się rok temu w *Twórczości*: „Za czasów mojej młodości problemy tożsamości etnicznej mniejszości narodowościowych, niefortunny przyłapanych w różnych koniecznościach historycznych, nie były tak modne jak dziś. Musieliśmy sobie sami radzić np. w Anglii z naszą polskością. Wielu z tych, których los skonfrontował z zamkniętym, ksenofobicznym społeczeństwem brytyjskim w latach powojennych, zdecydowało, że łatwiej im będzie zachować swą odrębność kulturowo-narodową np. w otwartych na wszelkie prądy społecznościach Ameryki Północnej. Po latach dostrzegam paradoksalne konsekwencje tych decyzji. Zdecydowanie określona kultura Anglików ułatwiała młodemu Polakowi, czy też Węgrowi lub Hindusowi, samookreślenie we własnej kulturze, a zarazem uświadomiła mu dokładnie, na co się decyduje przejmując czy to połowicznie, czy w pełni, jakże przecież wartościową kulturę brytyjską. Zaś pozornie zbawienny liberalizm nowego świata zaciera granice, nie przysusza do żadnej decyzji, na wszystko zezwala, nie stawia przeszkód, nie określa celów i w rezultacie tamtejsi Polacy szybko się w tym trzęsawisku tolerancji zatracają, gubią swój język, swą tożsamość kulturalną. Niestety, Anglia uległa wreszcie modzie wielo-etniczności, która już przemieniła Stany Zjednoczone i Kanadę w przypadkowe, niespójne konglomeraty ludzkie, których nic nie łączy poza Disneylandem i pogonią za mirażem dobrobytu”.

Mimo, że posiadam paszport brytyjski i mieszkam w Anglii, a władze III Rzeczypospolitej nie spieszą się z wręczeniem mi paszportu polskiego, pozostają poetą polskim. Żaden polityczny *fiat* nie może polskiej literatury przemienić w kanadyjską lub angielską. Kto jak kto, ale Polacy powinni wiedzieć co to znaczy, kiedy ktoś narzuca politykę kulturalną. Lecz tu nie o politykę chodzi, tylko o zdrowy rozsądek. Pisarz piszący po polsku jest pisarzem polskim, dlatego nie jest nim Joseph Conrad. A jeśli posłużymy się drugim argumentem Możejki, że kraj zamieszkiwania wpływa na charakter twórczości (z czym oczywiście należy się zgodzić) i wobec tego (tu nasze drogi się rozchodzą) Wacław Iwaniuk i Bogdan Czaykowski są poetami polsko-kanadyjskimi, otwiera się szansa zrewidowania polskiej literatury od podstaw. Mamy więc Adama Mickiewicza, poetę zarazem polsko-rosyjskiego (*Sonetny krymskie*), polsko-litewskiego (*Dziady*) i polsko-szwajcarskiego

(*Liryki lozańskie*); mamy Juliusza Słowackiego, jednocześnie poetę polsko-szwajcarskiego (*W Szwajcarii*) i polsko-arabskiego (*Podróż na Wschód i Ojciec zadżumionych*); mamy Cypriana Norwida, poetę polsko-włoskiego (*Italiam, Italiam!*); mamy polsko-argentyńskich Gombrowicza i Straszewicza...

Trzymanie się mojej zasady zdrowego rozsądku w żaden sposób nie koliduje ze zdaniem Możejki, że twórczość Iwaniuka i Czaykowskiego wzbogaca literaturę kanadyjską. Krytyk brytyjski John Osborne wyraził opinię (w zredagowanym przeze mnie zbiorze esejów o poezji polskiej *The Mature Laurel*), że poezja Tadeusza Różewicza w przekładzie wzbogaciła kulturę angielską, podobnie jak wzbogacił ją kiedyś elżbietański przekład Homera.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Adam CZERNAWSKI

Kopenhaga, 3. 11. 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* nr 10, w *Dzienniku pisanym nocą*, p. Gustaw Herling-Grudziński opowiada — nie podając źródeł — historię Mesjasza z Bagdadu, Menahema ben Solomona. Według moich źródeł — a są to m.in. *The Jewish Encyclopaedia* i *Encyclopedia Judaica* — był to zapewne oszust w wielkim stylu, ale nie taki gangster, czy wręcz morderca, jakim przedstawia go p. Gustaw. Menahem ben Solomon był człowiekiem wielkiej wiedzy, wybitnym talmudystą i znawcą kultury muzułmańskiej. Był także przywódcą powstania żydowskiego przeciw sułtanowi Seljukowi Mustafie (wspomagany w tym przez niektóre sekty muzułmańskie). Powstanie upadło, Menahem został zgładzony. Przygotowanie do „odlotu” Żydów z Bagdadu do Jerozolimy, które tak dramatycznie opisuje p. Gustaw, miało miejsce po jego śmierci.

Wszystkie źródła, nawet tzw. „antyżydowskie”, zgodne są co do tego, że to nie Menahem ben Solomon, a dwóch oszustów, którzy podali się za jego powierników, namówiło Żydów do powierzenia im swoich kosztowności i obiecało „odlot do Jerozolimy”. Po czym ulotnili się wraz z bizerią. W moich źródłach nie ma mowy o „trupach roztrzaskanych o ziemię”, natomiast jest mowa o tym, że nazajutrz po nieudanym „odlocie” cały Bagdad pękał ze śmiechu.

Jest chyba także pewna przesada w twierdzeniu p. Gustawa: „Długo przeklinano Mesjasza z Bagdadu, który zniknął bez śladu”. Według moich źródeł wielbiono go nadal; dla uczczenia jego pamięci powstała między innymi sekta Menahemitów.

Nie wątpię, że p. Gustaw gdzieś tę swoją historię przeczytał; źródła naukowych i legend na temat Mesjasza z Bagdadu jest sporo. Między innymi Benjamin Disraeli napisał na jego temat apologetyczną książkę, której jednak historycy żydowscy nie traktują poważnie. Ja mam dwie pretensje: o to, że p. Gustaw na żadne źródła się nie powołuje (i nie wspomina, że są różne i kontrowersyjne), i o zakończenie. Brzmi ono tak: „Asocjacje? Nazbyt okropne, aby je palcem wskazywać”.

Przyznam, że nie rozumiem subtelnej aluzji. Bo przecież — przy całym



współczuciu dla oszukanych Żydów — nie wyobrażam sobie, żeby p. Gustaw porównywał ten bagdadzki epizod z XII wieku z tragedią z ostatniej wojny: np. losem Żydów, którzy płacili Niemcom za paszporty do Południowej Ameryki, a potem ginęli w krematoriach.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Janina KATZ-HEWETSON

Ottawa, 20 IX 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziwię się dlaczego drukuje Pan (zresztą po kilku publikacjach na podobny temat w *Polityce*) artykuł wychwalający zawziętego, i wiedzącego jak robić sobie reklamę, bezwzględnie marksistę Bronisława Baczkę (*Kultura*, Nr 9/510, 1992, Andrzej Dobosz).

P.S. Aby nie być gołosłownym w sprawie naukowych obyczajów Baczki, podaję niektóre cytaty z odpowiedzi T. Kotarbińskiego na jedną z jego napaści (Baczko „specjalizował się” w Kotarbińskim; artykuł Baczki „O poglądach filozoficznych i społeczno-politycznych Tadeusza Kotarbińskiego”, *Mysł Filozoficzna*, Warszawa, 1952 nr 1/2):

„Bardzo będąc ciekaw, jakie też są naprawdę moje poglądy filozoficzne i społeczno-polityczne, sięgnąłem do wydanej niedawno książki Bronisława Baczki, temu tematowi poświęconej... Dowiedziałem się z tej lektury, że moje poglądy w wymienionych sprawach są w gruncie rzeczy zgoła inne, niż sobie dotychczas wyobrażałem” (str. 52).

Kotarbiński tak charakteryzuje niektóre epitety Baczki: „To są dynamiczne przezwiska” (str. 57).

Kotarbiński odpowiada: „... tylko proszę wskazać kleksy autentyczne, nie zaś plamy, migocące przed oczyma obserwatora” (str. 64).

Kotarbiński przyznaje: „Że nie biorę udziału w zorganizowanej politycznie walce klasowej — to prawda” (str. 65).

Kotarbiński poucza: „W obliczu perturbacji dziejowych można się zachowywać na wzór wskazówki barometru, zmieniającej położenie w miarę zmiany ciśnienia, a można też zachowywać się na wzór igły magnesowej, wskazującej stały kierunek, niezależnie od okoliczności...” (str. 65).

T. Kotarbiński, „Odpowiedź” w *Mysł Filozoficzna*, Warszawa, 1952, Nr 2, s. 283-294; cytowane za Tadeusz Kotarbiński, *Drogi dociekań własnych*, 1986, PWN, Warszawa.

Należy zauważyć, że tego rodzaju odpowiedź Kotarbińskiego, na napaść inspirowaną niewątpliwie przez „czynniki wyższe”, względnie chłodna w swym polemicznym tonie, charakteryzowała piśmiennictwo Kotarbińskiego w ogóle. Nie był on bowiem skłonny do wypowiedzi emocjonalnych, czy też mocniejszych przycinków. Jednakże i taka wypowiedź, w kontekście ówczesnego klimatu politycznego (rok 1952), była wyrazem dużej odwagi cywilnej. To właśnie postawa Kotarbińskiego spowodowała, jak wiadomo, pozbawienie go zajęć uniwersyteckich na kilka lat.

Z wyrazami szacunku

Adam PODGÓRECKI

Thônex, 22 października 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Oto znów przykład różnic w interpretacji jednego i tego samego zjawiska. Adam Nasielski w Nr. 10/541 *Kultury* zauważa, że „to już nie ten sam miesięcznik” i wspomina znakomitych autorów, którzy niestety odeszli. Tak, to rzeczywiście smutne, ale niestety nieuniknione, i oczywiście nie może pozostać bez wpływu na pismo. Ale dla Adama Nasielskiego to nie tylko sprawa autorów, dla niego *Kultura* jest inna, ponieważ przestała być walczącą, a (tylko) „obserwuje, subtelnie krytykuje, delikatnie poucza, ironizuje dydaktycznie — i redaguje pismo paralelne, i dla emigrantów i — przy pomocy krajowych ekspertów — dla krajowej rzeszy czytelniczej”. To tak jakby *Kultura* kiedykolwiek była pismem wyłącznie dla emigracji, nie chciała i nie docierała do czytelników w Polsce i, co równie ważne, nie drukowała autorów „krajowych”, jak m.in. Kisielewski.

Ja widzę coś zupełnie przeciwnego. Podziwiam, że *Kultura* nadal zachowuje swoje zaangażowanie, swój pazur. A to przede wszystkim dzięki mądrej polityce redakcyjnej oraz doskonałym współpracownikom jak Chrzanowski, Pospieszalski, Unger, Wolicki i Smecz przepelniony co prawda żółcią w stopniu sugerującym, że cierpi z powodu wrzodu żołądka, no i innymi.

*Nota bene* w tymże numerze *Kultury* Redakcja, w swych wypowiedziach, daje dwukrotnie dowód, że Nasielski w swym czarnowidztwie nie ma racji.

*Kultura* nadal stanowi ważny, niezależny, wolny od katerii punkt odniesienia. Niezbędny i za taki uważany tak wśród czytelników krajowych jak i emigracyjnych. Co nie znaczy, że ze wszystkim co drukuje trzeba się zgadzać, wystarczy, że trzeba się zastanowić. Na podzwonne jeszcze dużo za wcześniej.

Adam Nasielski pisze: „Nie wiem, ilu jest czytelników krajowych i ilu ich pozostało na emigracji. Wiem, że całkowity zanik tych ostatnich jest nieunikniony i nie tak daleki”. Skąd ta pewność? A może Redakcja, o ile to nie tajemnica, zechciałaby coś na ten temat powiedzieć? Moim zdaniem *Kultura*, pismo niezależne w stopniu znacznie większym niż jest to możliwe dla pisma wychodzącego w Polsce, długo jeszcze nie będzie cierpieć na brak czytelników, tak w Polsce jak i w świecie. Nasielski, jestem przekonany, myli się w swych alternatywach.

Swego czasu Redaktor napisał w *Kulturze*, że po jego śmierci *Kultura* przestanie wychodzić. Zastanawiałem się wówczas, czy jest to słuszne. Bo czemu dzieło nie miałoby przeżyć swego twórcy pod warunkiem, że linia *Kultury* zostałaby utrzymana? I tu chciałbym wyrazić nadzieję, że Redakcja ma już opracowane plany.

Życząc jeszcze wielu lat owocnej pracy, pozostaję z głębokim szacunkiem.

Jan VENULET

W-wa, 27 października 1992

Szanowny Panie Redaktorze

W październikowym numerze *Kultury* opublikowane zostało rzekome „sprostowanie” pióra pani mecenas Marcjanny Rejman, pełnomocnika Macieja Zalewskiego, dotyczące mego artykułu z nr 7/8 *Kultury*, a mianowicie następujących zdań: „Tygodnik *Wprost* oskarżył niedawno posła Z., z Porozumienia Centrum — po szczegółach nietrudno rozpoznać Macieja Zalewskiego — o współdziałania z Bąsikiem i Gąsiorowskim i uprzedzenie ich o zamierzonym aresztowaniu... 'Modliszki z PC' brzmiał tytuł artykułu; nic nie słychać o sprawie o zniesławienie”.

Moje teksty opatruję zawsze datą. Tym razem był to „14 czerwca 1992”. Wówczas, jak pani mecenas najpewniej wiadomo, Maciej Zalewski żadnej jeszcze skargi nie był złożył, choć czasu miał dosyć. Twierdząc zatem, z powołaniem na informacje ogłoszone ponad miesiąc później, że „wypowiedź Krzysztofa Wolickiego w części dotyczącej osoby Macieja Zalewskiego jest nieprawdziwa” pani mecenas mija się z prawdą. O dalszych losach sprawy nie omieszkałam powiadomić.

Z poważaniem

Krzysztof WOLICKI

Paryż, 11 października 1992r.

Drogi Panie Redaktorze!

Wśród różnorodnych organizacji kombatanckich w Polsce (jest ich już ponad sto) i niemniej różnej ich działalności, na wyróżnienie zasługuje udana inicjatywa małego grona bezinteresownie pracujących osób, uwieńczona uroczystym otwarciem w maju br. pierwszego w Polsce Muzeum Historii Armii Krajowej z siedzibą w Krakowie, co też chciałbym zasynalizować Panu Redaktorowi i Czytelnikom *Kultury*.

Celem Muzeum jest upamiętnienie nie tylko historii Armii Krajowej i wszystkich formacji Państwa Podziemnego, ale również walk Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz zbrodni popełnionych w okresie rządów komunistycznych. Cenne eksponaty zapełniają już trzy duże sale, dwie inne są do dyspozycji organizatorów, którzy apelują „o przekazywanie do Muzeum wszelkich pamiątek, oryginałów lub duplikatów dokumentów na własność lub w depozyt. Potrzebna jest również pomoc do działalności w postaci wyposażenia technicznego jak: aparaty fotograficzne, sprzęt video, komputery, urządzenia drukujące i kserujące, magnetofony, maszyny do pisania, aparatura nagłaśniająca itp., oraz wszelka pomoc materialno-finansowa”, którą można przesyłać na adres: Fundacja Muzeum Armii Krajowej, ul. Bosacka, 31-508 Kraków.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawatu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Zbigniew Mirosławski w Tarnowie, Mirosław Kasjan w Bydgoszczy, Piotr Czakański-Sporek w Pszczynie — Dziękujemy za tomiki poezji i prozy. Po przeczytaniu włączymy je do naszej biblioteki.

M. G., Polska: — Nie wchodząc w meritum Pana Listu otwartego do Adama Michnika, sądzimy że powinien Pan go posłać adresatowi, który ostatecznie jest redaktorem wysokonakładowej gazety. Tam zapewne wydrukuje Pana list i odpowie nań. *Hymn polskich liberatów* zadedykowany jest Korwinowi-Mikke, ma więc określonego adresata. Traktujemy Pana teksty jako przysłane do wiadomości *Kultury*.

P. S. M., Polska, S. R., Francja, J. D. Polska, A. K.-M., Francja: — Z wierszy nie skorzystamy.

A. L., Polska: — List dr. Ziemowita Szumskiego z Wrocławia jest rozumny i słuszny. Ale powinien ukazać się w piśmie, które wydrukowało felieton Lema. Fakt, że ten list został przez *Tygodnik Powszechny* odrzucony wydaje nam się po prostu niezrozumiały i niewłaściwy.

R. C., Polska: — Pana opowiadanie o komorniku jest zbyt drobiazgowe i rozwlekłe, mogłoby zainteresować jakieś pismo prawnicze.

S. D. Polska: — Dziękujemy za miłe słowa. Trzeba rozszerzyć i pogłębić ten okruh o poezji Iwaniuka, w obecnej postaci nie nadaje się do niczego.

T. S., Polska: — Rzecz napisana z temperamentem, przeładowana jednak dowcipami i złośliwościami. Co za dużo...

J. H., Kanada: — Przekładu artykułu z *The Gazette* nie zamieścimy, gdyż unikamy przedruków. Te tematy są zresztą poruszane w *Kulturze*.

J. C., Szczecin, W. Ch. i J. D., Wrocław: — Artykułów nie zamieścimy. Są to tematy dla pism specjalistycznych.

## Indeks autorów i tematów rocznika „Kultura” za rok 1992

### Spis autorów

(A), ADAMIEC Marek. — BAGŁAJEWSKI Arkadiusz, BAKUŁA Bogusław, BAKOWSKI Adam Tadeusz, BEDNARCZYK Czesław, BEREZA Henryk, BERLIŃCZYK, B. H., BIENIASZ Stanisław, BIENKOWSKI Zbigniew, BIEREZIN Jacek, BIERNACKI Andrzej, BŁACHUT Teodor, BŁOŃSKI Jan, BOCHENSKI Józef Maria, BOJARSKA Anna, BOLECKI Włodzimierz, BONIECKI Jerzy, BORKOWICZ Jacek, BORKOWSKA Grażyna, BRANDYS Marian, BREJDYGANT Stanisław, BRONCELL Zdzisław, BRONSKI M., BUREK Tomasz, BUZYKIN A., BYRSKI Zbigniew. — CHRZANOWSKI Tadeusz, CHYLIŃSKA Kamila, CIECHAŃSKI Jerzy, CIOŁKOSZOWA Lidia, CZECHOWSKI Tadeusz, CZERMIŃSKA Małgorzata, CZERNIAWSKI Adam. — DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DARSKI Józef, DASZKIEWICZ Piotr, DŁUGOPOLSKI M., DŁUSKI Stanisław, D. M., DOBOSZ Andrzej, DUŻYK Józef, DZIERŻYKRAJ MORAWSKI Robert, DZIEWIECKA Małgorzata. — ESTRYN Anatol. — FIEDIN Natasza, FLORCZAK Zbigniew (Pelikan), FRANK Z., FRYSZLIŃSKI Józef, GAWLIKOWSKI Krzysztof, GAWRYŚ Maria (Tula Kowalska), GIEDROYC Jerzy, GIEŁZYŃSKI Wojciech, GŁOWIŃSKI Michał, GOMBROWICZ Witold, GORBAŃSKA Natalia, GORCZYŃSKA Renata, GÓRSKI Bohdan, GRABOWSKA Alina, GRABOWSKI Leon J., GROCHULSKA Barbara, GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy, GRUSZ-

CZYŃSKI Lesław. — HALIKOWSKA-SMITH Teresa, HASS Robert, HAVEL Vaclav, HEJNAR Jacek, HELLER Michał, HERBERT Zbigniew, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERNANDEZ DE PALUCH Maria, HERNAS Czesław, HERNIK-SPALIŃSKA Jagoda, HEYDENKORN Benedykt, HNATIUK Ola, HOŁYŃSKA Tatiana, HORZELSKI Jerzy. — JACOBSEN Rolf, JANUSZEWSKA-SKREIBERG Janina, JASTRZĘBOWSKI Jerzy, JENTES Szymon, JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga. — KACZMAREK Robert, KACZMARSKI Jacek, KAJDAŃSKI Jarosław, KAPLAR Anna, KARASEK Krzysztof, KARNKOWSKI Kazimierz, KATZHEWETSON Janina, KITASZEWSKI K., KOEHLER Krzysztof, KORASZEWSKI Andrzej, KOSINOWA Tatiana, KOSOWSKA Stefania, KOWALCZYK Andrzej, KOWALCZYK Andrzej St., KOZIOŁ Urszula, KOŹMIŃSKI Leszek M., KRASIŃSKI Janusz, KRÓLIKOWSKI Jeremi T., KRÓTKI Karol J., KRUCZEK Adam, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KUCZYŃSKA FLIS Halina, KULIK Adam, KURSKI Jarosław, KUŚNIEWICZ Andrzej. — LEBIEDZIŃSKI Aleksander, LEM Stanisław, LIBERA Antoni, LIZAKOWSKI Adam, LOHMAN Jerzy, LORCA Federico Garcia. — ŁĘTOWSKA Ewa, ŁUCZAK Aleksander. — MACHEJ Zbigniew, MACIEJEWSKI Janusz, MANN Aleksander, MATUSIAK Remigiusz Włast, MATYWIECKI Piotr, MAYEWSKI Paweł, MEI Yuan, MIANOWICZ Tomasz, MICHALCZYK Jan, MICHALSKI Cezary, MICHELSON-KAMIŃSKI A., MIGOŃ Krystian, MIŁOSZ Czesław, MITZNER Piotr, MODZELEWSKI Karol, MONDRY Janusz, MORAWSKI Dominik, MORGAN Robert, MOŻEJKO Edward, MROŻEK Sławomir. — NAGÓRSKI Zygmunt, NASIELSKI Adam, NAWROT Teresa, NIEČKO Jacek, NIEMIEC Maciej, NOWAK Andrzej, NOWAKOWSKI Marek, NOWOTARSKA Róża, NYCZEK Tadeusz. — ODOJEWSKI Włodzimierz, OKULICZ-KOZARYN Radosław, ORŁOŚ Kazimierz, ORSKI Mieczysław, OSADCZUK Bohdan, OSTATEK Albert O. — PAWŁYCZKO Dymtro, PETRAJTIS O'NEIL E., PIESZCZACHOWICZ Jan, PIETRKIEWICZ Jerzy, PIĘTAK Piotr, PODGÓRECKI Adam, POLACZEK Stanisław, POLESKI Maciej, POMIAN Grażyna, POMIAN Krzysztof, POPŁAWSKI Wojciech, POSPIEŚZAŁSKI Antoni, PRZYBYLSKI Ryszard K., PRZYJACIELE. — REDAKCJA, REDAKCJA „KONTYMENTU”, REDAKCJA „KULTURY”, REDAKTOR, REJMAN Marcjanna, RUDIUK Maria Magdalena, RUTKOWSKI Krzysztof, RYMKIEWICZ Marek Jarosław. — SERDAKOWSKI Stanisław, SEVCENKO Ihor, SIEMASZKO Zbigniew S., SIERADZKI Jacek, SIKORA Wojciech, SKÓRZYŃSKI Piotr, SŁAWIŃSKI Janusz, SMECZ,

SOŁTAN Jerzy, STACH Andrzej, STRUMIŁŁO Paweł, STRUMIŃSKI Bohdan, SURDYKOWSKI Jerzy, SU TUNG PO, SZARUGA Leszek, SZCZEPIŃSKA TRAMER Joanna, SZNARBACHOWSKI Włodzimierz, SZWEDE Jerzy, SZYMBORSKA Wisława. — ŚWIDERSKA Hanna, ŚWIĘCH Jerzy. — TALLAT Józef, TATAROWSKI Konrad W., TEKIELI Robert, TERLECKI Władysław Lech, TOMASZEWSKI Jerzy, TOMASZKIEWICZ Jan A., TOMKOWSKI Jan, TORAŃSKA Teresa, TUNG PO SU. — UNGER Leopold, URBAN Waław. — VENULET Jan, VINCENZ Andrzej. — WALC Jan, WINCZAKIEWICZ Jan, WITKIEWICZ Jan Stanisław, WOLICKI Krzysztof, WYRWA Tadeusz. — ZALEWSKI Witold, ZAWRAT Krzysztof, ZOLYNAS Al., ZRALEK Peter. — ŻABA Norbert, ŻAKIEWICZ Zbigniew, ŻENCZYKOWSKI Tadeusz, ŻUŁAWSKI Andrzej.

#### Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

(A.): *Teczki* (7/538-8/539).  
 Amerykańska Agencja do Spraw Rozwoju Międzynarodowego (USDA) (4/535).  
 B. H.: *Kronika kanadyjska* (1/532-2/533, 4/535, 9/540, 11/542).  
 BONIECKI Jerzy: *Niesamowity rok 1991* (3/534).  
 BORKOWICZ Jacek (patrz HERNIK-Spalińska Jagoda).  
 BUZYKIN A.: *Rosyjski Nostradamus* (4/535).  
 CHRZANOWSKI Tadeusz: *Prognostyk* (3/534).  
 — *Taniec oszołomów* (9/540).  
 CIOŁKOSZOWA Lidia: *Stulecie PPS* (12/543).  
 DŁUGOPOLSKI M. — prof. NAGÓRSKI Zygmunt: *U.S.A. a Polska* (3/534).  
 DZIEWIĘCKA Małgorzata: *Otwarcie Ambasady R. P. w Pretorii* (3/534).  
 GAJOWNICZEK Paweł: *Kronika norweska* (1/532-2/533, 5/536).  
 GARLIŃSKI Józef: *List z Londynu* (3/534, 9/540, 12/543).  
 GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Gdyby święty Mao tego dożył...* (9/540).  
 GIEDROYC Jerzy: *Jak wyjść z impasu?* (1/532-2/533).  
 GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowozelandzka* (7/538-8/539, 12/543).  
 HAVEL Vaclav: *Godot nie przyjdzie, bo go nie ma* (12/543).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *O wygnaniu* (9/540).  
 HERNIK-SPALIŃSKA Jagoda, BORKOWICZ Jacek: *Powrót „Śród literackich”* (7/538-8/539).  
 KACZMAREK Robert: *Czy nowy plan Marshalla jest możliwy?* (5/536).

— *Jaka złotówka?* (7/538-8/539).  
 — *Mała Youko i groźny celnik* (12/543).  
 — *Pieniądz światowy* (4/535).  
 — *W stronę przyszłego stulecia* (11/542).  
 LEM Stanisław: *Świat i Polska* (5/536).  
 MIŁOSZ Czesław: *Początki sporu o enklawę* (1/532-2/533).  
 MONDRY Janusz: *Nowy system monetarny z perspektywy Tokio* (3/534).  
 — *Podstawy sukcesów gospodarczych Japonii* (6/537).  
 — *Polska a Japonia* (10/541).  
 — *Program „Japonia”* (7/538-8/539).  
 — *Sprawa Wysp Kurylekich* (11/542).  
 NAGÓRSKI Zygmunt (patrz Długopolski M.).  
 POLESKI Maciej: *Siedem prawd o rządzeniu* (1/532-2/533).  
 POSPIESZALSKI Antoni: *Jedna ludzkość wystarczy* (4/535).  
 — *Uwagi o tolerancji* (10/541).  
*Protokół z konferencji najwyższego aktywu M.B.P. z listopada 1954 roku* (11/542).  
 REDAKCJA „KULTURY”: *Ankieta: Jak wyjść z impasu?* (wzięli udział: A. Friszke, R. Kaczmarek, E. Łętowska, K. Modzelewski, M. Poleski, K. Pomian, A. Pospieszalski) (7/538-8/539).  
 SEVCENKO Ihor: *Ukraina między Wschodem a Zachodem* (12/543).  
 STRUMIŁŁO Paweł: *Powrót na Bałkany* (4/535).  
 SZARUGA LESZEK: *Symposium o Juliuszu Mieroszewskim* (3/534).  
 UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli — Cena strachu* (4/535).  
 — *Początek historii* (5/536).  
 — *W prawo patrz* (1/532-2/533).  
 — *Widziane z Brukseli i z Warszawy — Między Ubu a Rasputinem* (7/538-8/539).  
 — *Widziane z Moskwy i Brukseli — Krajobraz (rok) po puczu* (10/541).  
 WINCZAKIEWICZ Jan: *Nie igrac z referendum* (12/543).  
*Wydarzenia miesiąca* (1/532-2/533, 3/534, 4/535, 5/536, 6/537, 7/538-8/539, 9/540, 10/541, 11/542, 12/543).  
 ŻABA Norbert i ZRALEK Peter: *Kronika szwedzka* (6/537).

#### Obserwatorium

*Polska „lekcja etyki”* (6/537).  
 REDAKCJA: *Dekomunizacja: pozory i rzeczywistość* (10/541).  
 — *Sen i jawa* (10/541).

## Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- FLORCZAK Zbigniew (Pelikan): *Strach* (11/542).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/532-2/533, 3/534, 4/535, 7/538-8/539, 10/541, 12/543).

## Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- GORCZYŃSKA Renata: *P o* (10/541).  
 GRUSZCZYŃSKI Lesław: *Ziemia nieobiecana* (1/532-2/533).  
 MROŻEK Sławomir: *Pod mostem* (3/534).  
 ODOJEWSKI Włodzimierz: *Grzech* (7/538-8/539).  
 ORŁOŚ Kazimierz: *Śmierć cygańskiego króla* (1/532-2/533).

## Utwory poetyckie

- BAKOWSKI Adam Tadeusz: *Izaak* (4/535).  
 — *Malchos* (4/535).  
 — *My* (12/543).  
 — *Uczeń* (12/543).  
 BIEREZIN Jacek: *Motyw z Préverta* (5/536).  
 — *Motyw żartobliwy z Brunona Jasińskiego* (5/536).  
 BREJDYGANT Stanisław: *Golgota* (10/541).  
 — ... *Zapewnem wydał sygnał* (10/541).  
 DŁUSKI Stanisław: *Wstuchany* (10/541).  
 FIEDIN Natasza: ... *Polskie wierzby* (4/535).  
 KACZMARSKI Jacek: *Luter* (10/541).  
 KAJDAŃSKI Jarosław: ... *Skąd wzięłaś się wyspa* (11/542).  
 KAPLAR Anna: *Obraz* (11/542).  
 LIZAKOWSKI Adam: *Czternasty list do Pieszyc* (4/535).  
 — *Prezes* (11/542).  
 LORCA Federico García (Dedykacja) (patrz PIETRKIEWICZ Jerzy) (12/543).  
 MACHEJ Zbigniew: *Droga na północ* (12/543).  
 MAYEWSKI Paweł: ... *Dzisiaj sygnałem* (6/537).  
 — *Komi* (6/537).  
 — *Testament* (6/537).  
 — *W lesie* (6/537).  
 MIŁOSZ Czesław: *Wypisy z ksiąg użytecznych: O rzeczach* (Przekłady: Su Tung Po, Morgan Robert, Jacobsen Rolf, Hass Robert, Zolynas Al., Mei Yuan, Tu Fu) (9/540).  
 NIEMIEC Maciej: *Kalka z Roberta Lowella* (11/542).

- PIETRKIEWICZ Jerzy: *Dwa przekłady z hiszpańskiego* (patrz LORCA Federico García) (12/543).  
 RUDIUK Maria Magdalena: *Przekraczając* (4/535).

## Sprawy krajowe

- CHRZANOWSKI Tadeusz: *Polacy, Polonusy i Polusy a historia* (6/537).  
*Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim* (12/543).  
 GIEŁZYŃSKI Wojciech: *Nie zginęła... jeszcze nie...* (6/537).  
 KACZMAREK Robert: *Bałtyckie forum ekologiczne* (3/534).  
*Koalicje rządowe* (12/543).  
 KRÓLIKOWSKI Jeremi T.: *Symbol niemożności* (6/537).  
 NAGÓRSKI Zygmunt: *Ameryka i Polska: współzycie czy małżeństwo* (10/541).  
 ODOJEWSKI Włodzimierz: *Co robi pewien urząd?* (4/535).  
 POLACZEK Stanisław: *Jak nie zreformować gospodarki* (10/541).  
 — *Znaczenie Maastricht dla polskiej gospodarki* (12/543).  
 POMIAN Grażyna: *Panowie w stolicy gadają* (9/540).  
 SMECZ: *Z ukosa* (1/532-2/533, 3/534, 4/535, 5/536, 6/537, 7/538-8/539, 10/541, 11/542, 12/543).  
 SOŁTAN Jerzy: *O warszawskim Pałacu Kultury* (11/542).  
 WOLICKI Krzysztof: *Historia w biegu — ruch prawostronny* (7/538-8/539).  
 — *Każdy wie swoje* (4/535).  
 — *Media i polityka* (1/532-2/533).  
 — *O złym użytku z wolności* (11/542).  
 — *Przesuwanie rządu* (12/543).  
 — *Spadanie* (6/537).  
 — *Trudny rok 1992* (9/540).  
 — *Zabawa w wojsko* (5/536).
- Sąsiedzi**
- BAKUŁA Bogusław: *Z prasy ukraińskiej* (9/540, 11/542).  
 BERLIŃCZYK: *List z Berlina* (11/542).  
 — *Nowe Niemcy* (3/534).  
 CHYLIŃSKA Kamila: *Ekscesy, pokusy i sygnały* (5/536).  
 DARSKI Józef: *Kronika litewska, białoruska i ukraińska* (1/532-2/533).  
 — *Kronika litewska i białoruska* (4/535).  
*Fragmenty wypowiedzi ambasadora Ukrainy w Warszawie, Teodoriusza Staraka* (1/532-2/533).  
 GRABOWSKA Alina: *Polacy w Niemczech* (12/543).

- HEYDENKORN Benedykt: *Kanadyjscy Ukraińcy a niepodległa Ukraina* (4/535).
- HOŁYŃSKA Tatiana: *Sesja ku czci Mychajły Hruszewskiego* (1/532-2/533).
- KARNKOWSKI Kazimierz: *Polska a Czechy* (1/532-2/533).
- KOSINOWA Tatiana (opr. Piotr MITZNER): *W oczach Wschodu* (11/542).
- KRUCZEK Adam: *Notatki rosyjskie* (10/541, 11/542, 12/543).  
— *Notatki z Rosji* (7/538-8/539).  
— *W sowieckiej prasie* (1/532-2/533, 3/534, 4/535, 5/536, 6/537).
- MORAWSKI Dominik: *Lux ex Oriente?* (Notatki z podróży na Ukrainę) (9/540).
- OSADCZUK Bohdan: *Obrazki z Ukrainy* (4/535).  
— *Od Belwederu do Kamieńca Podolskiego* (7/538-8/539).  
— *Rozmowa z Myrosławem Popowyczem — „Musimy budować demokrację od początku”* (6/537).  
— *Trudna budowa państwa ukraińskiego* (3/534).  
— *Ukraina i sąsiedzi* (6/537).  
— *Ukraińska Jesień* (11/542).  
— *Ukraińskie dekompozycje* (10/541).  
— *Wywiad z Iwanem Draczem* (6/537).
- PAWŁYCZKO Dymtro: *Idźmy razem — Oświadczenie* (6/537).
- STACH Andrzej: *Jesień w Niemczech* (1/532-2/533).  
— *Kronika niemiecka* (4/535, 7/538-8/539, 10/541).  
— *Marlboro, marki und mafiosi* (3/534).
- VINCENZ Andrzej: *Dwie konferencje naukowe w Kamieńcu Podolskim* (10/541).

#### O religii bez namaszczenia

- D.M.: *Nota watykańska* (3/534).
- MORAWSKI Dominik: *Bez euforii — Synod europejski biskupów* (1/532-2/533).  
— *Powrót na Syberię* (5/536).  
— *Watykan i Ukraina* (5/536).
- POSPIESZALSKI Antoni: *Chryścianizacja Europy* (3/534).

#### Wywiady „Kultury”

- GORBANIEWSKA Natalia: *Rozmowa z Władimirem Maksimowem* (11/542).
- OSADCZUK Bohdan: *Rozmowa z ambasadorem Polski w*

- Kijowie, Jerzym Kozakiewiczem* (1/532-2/533).  
— *„Sytuacja jest bardzo poważna”* (Rozmowa z Wacławem Czornowilem) (10/541).  
— *Wywiad z prezydentem Ukrainy, Leonidem Krawczukiem* (1/532-2/533).
- POMIAN Krzysztof: *Rozmowa z Jerzym Giedroyciem* (1/532-2/533).
- REDAKCJA „KULTURY”: *Pożegnanie „Kontynentu” Maksimową* (11/542).
- TORAŃSKA Teresa: *Rozmowa z J.K. Bieleckim* (9/540).
- WOLICKI Krzysztof: *Rozmowa z rzecznikiem praw obywatelskich, Ewą Łętowską* (3/534).

#### Polemiki — Wolna trybuna

- BIERNACKI Andrzej: *Niegodziwość* (7/538-8/539).
- FRYSZMAN Aleksiej: *Dialog i kapitał. Odpowiedź Ewie Thompson* (1/532-2/533).
- HERNAS Czesław: *O testamentach Marii Dąbrowskiej* (3/534).
- KOWALCZYK Andrzej: *Rzeczpospolita telekomunikacyjna — Największy skandal 3-iej R.P.* (6/537).
- MORAWSKI Dominik: *Pomiędzy sacrum a profanum* (12/543).
- NASIELSKI Adam: *Nowe oblicze „Kultury”* (10/541).
- OSTATEK Albert, O., *Dlaczego przestałem prenumerować „Kulturę”* (4/535).
- POSPIESZALSKI Antoni: *Odpowiedź O. Ostatkowi* (4/535).  
— *Odpowiedź na listy* (7/538-8/539).
- TOMASZEWSKI Jerzy: *Polemika z Kazimierzem Karnkowskim* (3/534).
- WINCZAKIEWICZ Jan: *O przyszłej konstytucji* (9/540).

#### Sprawy i troski

- ADAMIEC Marek: *O jednym aspekcie zdżyczenia obyczajów intelektualnych* (9/540).
- Apel Polskiego Pen-Clubu* (4/535).
- BONIECKI Jerzy: *Cechy Polaków* (6/537).
- DUŻYK Józef: *Polski Rzym dzisiaj* (12/543).
- Dziwaczna sytuacja* (3/534).
- GRABOWSKA Alina: *Handel grobami* (4/535).  
*„Idealny inwestor”. Korespondencja z Poznania* (3/534).
- JASTRZĘBOWSKI Jerzy: *No win* (9/540).  
*Jeszcze o sprawie P. Mroczyka* (10/541).
- Komisja Likwidacyjna Skarbu Narodowego* (1/532-2/533).

Kongres Polaków w Niemczech (4/535).  
KORASZEWSKI Andrzej: *Kochaj bliźniego swego* (9/540).

#### Ci, co odeszli

BIERNACKI Andrzej: *Juliana Krzyżanowskiego żywot i sprawy* (7/538-8/539).  
BRONCELL Zdzisław: *Inka* (4/535).  
CHYLŃSKA Kamila: *Edda Werfel* (10/541).  
DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Pół wieku w Portugalii* (Wspomnienia o mężu śp. Adamie Kazimierzu Zielińskim) (3/534).  
DOBOSZ Andrzej: *O Bohdanie Korzeniewskim (1905-1992)* (11/542).  
NIECKO Jacek: *O Pawle Mayewskim* (6/537).  
NOWOTARSKA Róża: *Jan Leszcza* (5/536).  
POPŁAWSKI Wojciech: *Prof. Jan Skowroński (1930-1992)* (9/540).  
PRZYJACIELE: *Roman Zimand (Leopolita)* (5/536).  
REDAKCJA: *Jerzy Lerski* (10/541).  
SZCZEPAŃSKA-TRAMER Joanna: *O Karolu Sterlingu* (9/540).  
SZNARBACHOWSKI Włodzimierz: *Wspominając Kisiela* (1/532-2/533).

#### Kronika kulturalna

ADAMIEC Marek: *Cywilizacja postkomunizmu* (3/534).  
— *PIN — jaki był, jest i będzie* (12/543).  
— *Słowa kończące się na -acja — czyli coś się dzieje w państwie polskim* (11/542).  
BAKUŁA Bolesław: *Poezja ukraińskich „nieobecnych”* (6/537).  
BIERNACKI Andrzej: *Na marginesach „Kultury polskiej po Jalcie”* (1/532-2/533).  
BOLECKI Włodzimierz: *Pisarze niedocenieni — pisarze przece-nieni* (Ankieta — wzięli udział: Bereza Henryk, Błoński Jan, Bojarska Anna, Burek Tomasz, Borkowska Grażyna, Czermińska Małgorzata, Głowiński Michał, Koehler Krzysztof, Kowalczyk Andrzej St., Libera Antoni, Maciejewski Janusz, Matywiecki Piotr, Michalski Cezary, Nowak Andrzej, Nyczek Tadeusz, Orski Mieczysław, Przybylski Ryszard K., Rutkowski Krzysztof, Sławiński Janusz, Święch Jerzy, Szaruga Leszek, Tekieli Robert, Tomkowski Jan, Walc Jan) (7/538-8/539).  
DOBOSZ Andrzej: *O chłodnej wodzie* (9/540).  
FLORCZAK Zbigniew: *Trzy epizody tożsamości* (1/532-2/533).

— *W oprawie nieokreślonej całości* (3/534).  
Wieczysta Fundacja Jana Karskiego i Poli Nireńskiej (12/543).  
GOMBROWICZ Witold: *Nieznany fragment z „Dziennika”* (6/537).  
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Ribera — hiszpańczyk partenopejski* (6/537).  
HERNANDEZ de PALUCH Maria: *Festiwal Europy Środkowej* (7/538-8/539).  
JANUSZEWSKA-SKREIBERG Janina: *Norweskie polonika* (3/534, 11/542).  
KOZMIŃSKI Leszek M.: *Literatura i życie* (9/540).  
KULIK Adam: *Pogranicze* (6/537).  
*List otwarty do Prezydenta RP, Premiera, Marszałka Sejmu* (22 podpisy) (12/543).  
LOHMAN Jerzy: *Odszedł symbol* (4/535).  
MOŻEJKO Edward: *O literaturze emigracyjnej i nadmiarze krytyki* (10/541).  
*Nagrody* (12/543).  
*Nagrody „Kultury” za rok 1991*: Tadeusz WYRWA — nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego; Włodzimierz BOLECKI (Jerzy Malewski) — nagroda literacka im. Zygmunta Hertza (1/532-2/533).  
NAWROT Teresa: *Po latach wśród sępów* (10/541).  
NOWAKOWSKI Marek: *Nawijaj, nawijaj!* (11/542).  
*Oświadczenie w sprawie Józefa Mackiewicza* (1/532-2/533).  
PETRAJTIS-O'NEIL Elżbieta: *Kazimierskie „shalom”* (10/541).  
SIKORA Wojciech: *Sprawozdanie Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej za lata 1990 i 1991* (3/534).  
TATAROWSKI Konrad W.: *Powroty Jacka Bierzina* (4/535).  
*W obronie czci Józefa Mackiewicza* (3/534).  
*W obronie śp. Bronisława Przyłuskiego* (1/532-2/533).

#### Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

BAGŁAJEWSKI Arkadiusz: *Wygnaniec z dwóch miast* (4/535).  
BIERNACKI Andrzej: *„Akcent” — dwunastolatek* (9/540).  
BRONŃSKI M.: *Detektywi* (5/536).  
— *„Dziecko wojny” na Łyczakowie* (4/535).  
CHRZANOWSKI Tadeusz: *Gdańskie tytuły* (10/541).  
ESTRYN Anatol: *Jacek i Jankiel* (4/535).  
GRABOWSKI Leon J.: *Historia pod prąd* (12/543).  
HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *Adam Czerniawski: Scenes from a disturbed childhood* (9/540).  
— *Znad Niemna do Kornwalii* (10/541).  
HELLER Michał: *„Memuary” wirują po planecie* (1/532-2/533).

- HEYDENKORN Benedykt: *Biogramy Polonii Kanadyjskiej* (10/541).  
 HNATIUK Ola: *Trzecia straż Jurija Szewelowa* (1/532-2/533).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Nicola: Profil włoskiego przyjaciela* (5/536).  
 JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga: *Cenne opracowanie* (11/542).  
 KATZ HEWETSON Janina: *Proza Pawła Huelle* (6/537).  
 KOSSOWSKA Stefania: „*Zagubieni romantycy*” i inni (6/537).  
 MIANOWICZ Tomasz: *Papież a komunizm* (6/537).  
 MIŁOSZ Czesław: *Dostojewski teraz* (5/536).  
*Nadestane nowości wydawnicze* (1/532-2/533, 3/534, 4/535, 5/536, 6/537, 9/540, 10/541, 11/542).  
 SKÓRZYŃSKI Piotr: *Arka podziurawiona?* (10/541).  
 STRUMIŃSKI Bohdan: *Szczasniści* (1961-1991) (5/536).  
 SZARUGA Leszek: *Brak zmysłu formy* (11/542).  
 — *Głupota całkowicie niezależna* (4/535).  
 — *Nowa bibliografia wydawnictw podziemnych* (5/536).  
 — *Po tebkach* (3/534).  
 ŚWIDERSKA Hanna: *Wydawnictwa emigracyjne 1945-1989* (5/536).  
 ZAWRAT Krzysztof: *Asymetria* (5/536).

### Tłumaczenia

#### Z języka angielskiego

- MIŁOSZ Czesław: *Wypisy z ksiąg użytecznych: O rzeczach* (Przekłady: SU TUNG PO, MORGAN Robert, JACOBSEN Rolf, HASS Robert, ZOLYNAS Al., MEI Youan, TU FU) (9/540).

#### Z języka hiszpańskiego

- LORCA Federico Garcìa: *Dwa przekłady z hiszpańskiego* (12/543) przełożył Jerzy Pietrkiewicz.

### Bibliografia

*Indeks autorów i tematów „Kultury” za rok 1992* (12/543).

#### Noty biograficzne

- Fryszman Aleksiej (1/532-2/533).  
 Kaczmarek Robert (3/534).

### Listy do redakcji

- BAKOWSKI Adam Tadeusz (9/540). BEDNARCZYK Czesław (3/534). BIEREZIN Jacek (6/537). BŁACHUT Teodor J. (12/543). BOCHENSKI Józef Maria (1/532-2/533, 9/540). BONIECKI Jerzy (7/538-8/539), BUREK Tomasz (10/541). BYRSKI Zbigniew (3/534). CHRZANOWSKI Tadeusz (3/534, 10/541). CIECHAŃSKI Jerzy (3/534). CZECHOWSKI Tadeusz (5/536). CZERNIAWSKI Adam (12/543). DASZKIEWICZ Piotr (9/540). DZIERŻYKRAJ MORAWSKI Robert (7/538-8/539). FIEDIN Natasza (6/537). FRANK Zbigniew (9/540). GARLIŃSKI Józef (5/536). GAWRYŚ Maria (Tula Kowalska) (3/534). GÓRSKI Bohdan (3/534). GROCHULSKA Barbara (1/532-2/533). HEJNAR Jacek (9/540). HORZELSKI Jerzy (7/538-8/539). JENTES Szymon (3/534). KARNKOWSKI Kazimierz (6/537). KATZ HEWETSON Janina (12/543). KOWALCZYK Andrzej (10/541). KRÓTKI Karol J. (5/536). KRZYŻANOWSKI Jerzy R. (10/541). KUCZYŃSKA FLIS Halina (3/534). MANN Aleksander (10/541). MATUSIAK Remigiusz Włost (7/538-8/539). MICHALCZYK Jan (3/534). MIGOŃ Krystian (5/536). MONDRY Janusz (1/532-2/533, 5/536). OKULICZ-KOZARYN Radosław (10/541). PIESZCZACHOWICZ Jan (12/543). PIĘTAK Piotr (3/534). PODGÓRECKI Adam (12/543). POSPIESZAŁSKI Antoni (4/535). REJMAN Marcjanna (10/541). SERDAKOWSKI Stanisław (10/541). SIEMASZKO Zbigniew S. (1/532-2/533). SIERADZKI Jacek (7/538-8/539). SURDYKOWSKI Jerzy (3/534). SZWEDE Jerzy (7/538-8/539). TOMASZKIEWICZ Jan A. (6/537, 9/540). URBAN Waclaw (5/536). VENULET Jan (12/543). WITKIEWICZ Jan Stanisław (4/535). WOLICKI Krzysztof (12/543). WYRWA Tadeusz (12/543). ŻUŁAWSKI Andrzej (11/542).

●  
 Odpowiedzi Redakcji (1/532-2/533, 3/534, 6/537, 7/538-8/539, 9/540, 10/541, 11/542, 12/543).

### Różne

- Apel Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Ameryce* (9/540).  
*Komunikat Archiwum Wschodniego* (6/537).  
*Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim* (10/541).  
*Komunikat Polonia Aid Foundation Trust* (7/538-8/539).  
*Komunikat Związku Polaków w Rosji* (7/538-8/539).



LEBIEDZIŃSKI Aleksander i TALLAT Józef: *Oświadczenie* (5/536).

Podziękowanie Redakcji „Kontinentu” (10/541).

REDAKCJA „KULTURY”: *Do prenumeratorów i Czytelników „Kultury”* (11/542).

Sprostowania: BONIECKI Jerzy (5/536).

— KACZMAREK Robert (5/536).

— STACH Andrzej (3/534).

Wpłata na Fundację Archiwum Polski Podziemnej 1939-1956 w Warszawie (3/534).

Wpłata na Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim (3/534).

Wpłata na Fundusz Jana Strzeleckiego (5/536).

Wpłata na inwalidów z Oddziałów A.K. we Francji (3/534).

Wpłata na odbudowę katedry w Mobyliowie (3/534).

Wpłata na Światowy Związek Żołnierzy A.K. w Warszawie — Fundusz roku historii A.K. (3/534).

Wpłaty na Fundację Armii Krajowej im. gen. Okulickiego w Warszawie (3/534, 7/538-8/539).

Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/532-2/533, 3/534, 4/535, 5/536, 6/537, 7/538-8/539, 9/540, 10/541, 11/542, 12/543).

Wpłaty na pomoc Polakom w Rosji (3/534, 4/535, 7/538-8/539, 9/540/ 12/543).

#### Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury” w roku 1992

Tom 471 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 99-ty). Str. 240.

Tom 472 — Wacław Zbyszewski: — *Zagubieni romantycy i inni*. Str. 338.

Tom 473 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 100). Str. 240.

Tom 474 — Zygmunt Hertz: — *Listy do Czesława Miłosza (1952-1979)*. Str. 520.

Tom 475 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 101). Str. 240.

Tom 478 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 102). Str. 240.

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1992 roku.

Zeszyt 99-ty — Agata Tuszyńska: *Israel is a real thing*; Leon Antoni Sulek: *Wojenne losy Polaków żołnierzy Armii Czerwonej (1940-1945)*; Andrzej Albrecht: *Noc generała*; Tadeusz Stanisław Piotrowski: *Studenci gdańscy w grudniu 1970*; Grzegorz Mazur: *Raport Jerzego Rutkowskiego*; *Komunikat prezydenta R.P. A. Zaleskiego z okazji zaprzysiężenia rządu gen. Bór-Komorowskiego*

2 lipca 1947 r.; *Uchwała LNP z 1 lipca 1947*; Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. II.*; Piotr Wandycz: *Henri Rollet*; Gustaw Kerszman: *Książka o Marcu*; Katsuyoshi Watanabe: *Historia Polski w badaniach japońskich w latach 80-tych*; Krzysztof Adam Tochman: *Uzupelnienia do „Cichociemnych” J. Tucholskiego*; Tadeusz Wyrwa: *„Przegląd kawalerii i broni pancernej”*; Tadeusz Wyrwa: *Początki internowania 2-jej Dywizji w Szwajcarii*; Józef Garliński: *Książka ciągle aktualna*; B. Dytrych: *Legia Oficerska na Środkowym Wschodzie (uzupelnienia)*; Statut „NIE”; *Instrukcja „NIE”*; *Komunikat Centrum Badań Represji na Litwie*.

Zeszyt 100-ny — Edward Możejko: *Wierność i cierpienie: o Polakach w Związku Sowieckim przed 1939 r.*; Adam W. Kulik: *Prawosławie w Polsce. Rozmowa z bp. Ablem*; Bp Szczepan Wesoly: *Podwójna jurysdykcja dla Polaków w Anglii*; Andrzej Paczkowski (opr.): *Nastroje przed bitwą*; Piotr Wandycz: *List Jana Masaryka do Stalina*; Józef Rybicki: *Wspomnienia o organizowaniu „NIE”*; Ołeh Puszkarski: *Spotkania Ukraińca z Polakami w łagrze stalinogorskim*; Dora Kacnelson: *Ossolineum we Lwowie w latach 1961-1991*; Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. III.*; Andrzej Grzywacz, Grzegorz Mazur: *„Polska i świat” w krzywym zwierciadle*; Piotr Wandycz: *O polskiej dyplomacji*; Józef Lewandowski: *Powstanie, kryzys i rozpad bloku sowieckiego w Europie*; Janet Zmroczek: *Ruch wydawniczy w Polsce po 1945 r.*; Tadeusz Wyrwa: *Żydzi polscy we Francji*; *List z Krakowa z 26 marca 1794 r.*

Zeszyt 101-szy — Tomasz Kizny: *Martwa Droga*; Z.S. Siemaszko: *Problemy podziemia pod okupacją sowiecką (1939-1941)*; Tadeusz Wyrwa: *Stosunki rządu generała Sikorskiego z rządem Pétaina*; Hanna Świdarska: *Z dziejów polskiej prasy opozycyjnej w Londynie 1941-45*; Władysław Kijuc: *Rzeczywistość i mity polsko-litewskie*; Andrzej M. Kobos (opr.): *Gen. Fieldorf „Nil” (wspomnienia żony)*; Rudolf M. Falkowski: *Polacy w Armii Czerwonej (1940-1945)*; Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym, Wspomnienia (dok.)*; Teresa Torńska: *Rozmowa z Wikto-rem Kulerskim*; *Mowa króla JMCI Jana Kazimierza ostatnia przy abdykacji*; Władysław Bartoszewski: *Mowa dziękczynna po otrzymaniu obywatelstwa honorowego Izraela*; Zygmunt Albert: *24-ta rocznica niepodległości Polski (11 listopada 1942 r. we Lwowie)*; Andrzej Bogusławski: *Jeszcze o „Cichociemnych” J. Tucholskiego*; Piotr Daszkiewicz: *Archiwum profesora Kopaczewskiego*; *Światowy Kongres Czechosłowackiego Towarzystwa Naukowego*; *Kongres Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce*; Krzysztof Pomian: *Bizancjum i Słowianie*; Maria Danilewicz Zielińska: *Lekcja nawrotów historii*.

Zeszyt 102-gi — Aldona Chojnowska: *Operacja „Wisła” (przesiedlenie ludności ukraińskiej na ziemie zachodnie i północne w 1947 r.)*; Roman Dzwonkowski SAC: *Kościół katolicki w b. ZSSR*; Jerzy R. Krzyżanowski (opr.): *Juliana Krzyżanowskiego listy z Syberii*; *Studia generała Orlicz-Dreszera z 1926-1927 r. na temat wojny z Niemcami* (opr. Andrzej Grzywacz); Tadeusz Wyrwa: *Rokowania francusko-sowieckie w Moskwie w sierpniu 1939 r.*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Jerzy Lerski: *Vademecum polonijne*; *Wykaz książek o tematyce historycznej wydanych przez Instytut Literacki*; Józef Lewandowski: *Białe plamy w historii Czech*; Tadeusz Wyrwa: *Układ Sikorski-Majski*; Eryk M. Budzyński: *Poczta japońska*; Tomasz Mianowicz: *Zamiast dyskusji (na marginesie ostatnich publikacji na temat dziejów najnowszych Kościoła)*; Władysław Michniewicz: *Moje spotkania z Ksawerym Pruszyńskim*.

Numery *Kultury* marcowy (3/534), wrześniowy (9/540) miały po stron 176.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 4° trimestre 1992.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.  
42, av. de Wagram, 75008 Paris  
Imprimé en France.  
N° d'imprimeur 941-1992

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04  
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1993</b>			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 .....	\$A. 15,00	\$A. 90,00	\$A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/11, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 .....	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 6213111 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherzdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63 .....	\$can. 13,00	\$can. 75,00	\$can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessestrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60 .....	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84 .....	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgratan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgironkonto Nr 48 82 34 6 .....	K.S. 60,00	K.S. 330,00	K.S. 650,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., Inc., Christina Szala 9 East 48th Str., Bayonne, N.J. 07002; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 .....	\$US 11,00	\$US 60,00	\$US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

### LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

TOM 478 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT STO DRUGI

zawiera opracowania: Aldona Chojnowska: *Operacja „Wista” (przesiedlenie ludności ukraińskiej na ziemię zachodnie i północne w 1947 r.)*; Roman Dzwonkowski SAC: *Kościół katolicki w b. ZSSR*; Jerzy R. Krzyżanowski (opr.): *Juliana Krzyżanowskiego listy z Syberii*; *Studia generała Orlicz-Dreszera z 1926-1927 r. na temat wojny z Niemcami* (opr. Andrzej Grzywacz); Tadeusz Wyrwa: *Rokowania francusko-sowieckie w Moskwie w sierpniu 1939 r.*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Jerzy Lerski: *Vademecum polonijne*; *Wykaz książek o tematyce historycznej wydanych przez Instytut Literacki*; Józef Lewandowski: *Białe plamy w historii Czech*; Tadeusz Wyrwa: *Układ Sikorski-Majski*; Eryk M. Budzyński: *Pocztą japońską*; Tomasz Mianowicz: *Zamiast dyskusji (na marginesie ostatnich publikacji na temat dziejów najnowszych Kościoła)*; Władysław Michniewicz: *Moje spotkania z Ksawerym Pruszyńskim oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240

Cena F. 90,00